

Cecelia Ahern

Podarunek

Z angielskiego przełożyła Dominika Lewandowska

Tytuł oryginału

THE GIFT

Z całego serca dziękuję rodzinie za przyjaźń, wsparcie i miłość:

Mim, Tacie, Georginie, Nicky'emu, Rocco i Jayowi.

Dziękuję, Davidzie.

Ogromne podziękowania dla wszystkich moich przyjaciół za to,

że wnoszą w moje życie tyle radości;

Yo Yo i Leoni za Rantaramas.

Ahoy, McCoy, dzięki, że podzieliłeś się ze mną wiedzą o żeglarstwie.

Dziękuję zespołowi z HarperCollins za ich wiarę i wsparcie,

które stale mnie motywują:

Amandzie Ridout i moim redaktorkom

Lynne Drew i Claire Bord.

Dziękuję Fionie McIntosh i Moirze Reilly.

Marianne Gunn O'Connor, dziękuję ci za to, kim jesteś.

Pat Lynch i Vicky Satlow, dzięki.

Dziękuję czytelnikom moich książek,

jestem niezmiernie wdzięczna za wasze wsparcie.

*Dla Rocco i Jaya,
moich podarunków od losu,
obu, jednocześnie*

Rozdział pierwszy

Rzesze tajemnic

Gdyby ktoś wczesnym świątecznym porankiem przeszedł się wzdłuż cukierkowej fasady podmiejskiego osiedla zauważyłby, że tamtejsze domy w swojej błyszczącej chwale przypominają poowijane w papier paczki spoczywające pod choinkami w ich wnętrzach. Każdy skrywa w sobie tajemnice. Pokusa, żeby pomajstrować przy opakowaniu równa się chęci, by zerknąć przez szparę między zasłonami na rodzinę w gorączce świątecznego poranka; pochwycić chwilę skrywaną przed wścibskimi oczami. Na zewnątrz, w kojącej, acz niesamowitej ciszy, która zapada co roku w ten jeden jedyny dzień, domy stoją ramię w ramię niczym kolorowe ołowiane żołnierzyki: piersi wypięte, brzuchy wciągnięte, dumnie bronią zawartości.

W świąteczny poranek domy to skrzynie skarbów wypełnione ukrytymi prawdami. Wieniec na drzwiach jest niczym palec na ustach; opuszczone rolety to zamknięte powieki. Wtem, w jakimś nieokreślonym momencie, za opuszczonymi roletami i zaciągniętymi zasłonami pojawia się ciepły blask, najdrobniejszy znak, że w środku coś się dzieje. Jak gwiazdy na niebie, które jedna po drugiej objawiają się ludzkiemu oku, jak drobiny złota, które wyłaniają się ze strumienia i osiadają na sicie, w przydymionym świetle zmroku za roletami i zasłonami zapalają się światła. Kiedy na niebie rozsiewają się gwiazdy, a ludzie zostają milionerami, ulica budzi się do życia — pokój po pokoju, dom po domu.

W świąteczny poranek na dworze panuje spokój. Pustka na ulicach nie budzi strachu; właściwie wręcz przeciwnie. To oaza bezpieczeństwa i mimo zimowego mrozu czuje się ciepło. Z różnych powodów domownicy wolą spędzać ten dzień u siebie. Podczas gdy na zewnątrz panuje ponura atmosfera wnętrza przeistaczają się w świat jaskrawych, szalonych barw, rozdzieranego niecierpliwie ozdobnego

papieru i fruujących wstążek. W powietrzu unosi się muzyka świąteczna, zapach cynamonu, przypraw i wszelkich innych wspaniałości. Okrzyki radości, uściski i podziękowania wypełniają pokoje niczym konfetti. Świąteczne dni to dni spędzane w domu; ani grzesznika na dworze, bo nawet oni mają dach nad głową.

Jedynymi punkcikami na ulicach są ci w drodze między jednym domem a drugim. Samochody się zatrzymują, z bagażników wyciągane są prezenty. Od otwartych drzwi niosą się przez zimne powietrze odgłosy powitań, zapowiedź tego, co dzieje się wewnątrz. I kiedy stoisz obok napawasz się atmosferą i cieszysz zaproszeniem, gotowy przekroczyć próg jak mile widziany gość, choć tak naprawdę jesteś obcy, nagle drzwi się zamykają, odcinając tych w środku od reszty dnia, przypominają, że ta chwila nie należy do ciebie.

W jednej takiej okolicy, pełnej domów-zabawek, po ulicach błąka się pewna dusza. Nie widzi jednak piękna w świecie ukrytym za zasłonami. Ta dusza pragnie wojny, chce rozerwać wstążkę i rozedrzyć papier, by ukazać, co znajduje się za drzwiami numer dwadzieścia cztery.

Nie ma dla nas żadnego znaczenia, co robią mieszkańcy numeru dwadzieścia cztery, ale jeśli musicie wiedzieć dziesięciomiesięczny chłopczyk, który nie bardzo wie, czemu w kącie pokoju stoi duży zielony świecący kłujący przedmiot, właśnie wyciąga rączkę ku lśniącej czerwonej bombce, tak komicznie odbijającej znajomą tłusciutką rączkę i bezzębną buzię. Tymczasem dwuletnia dziewczynka tarza się w papierze po prezentach niczym hipopotam w błocie. Obok „On” zapina „Jej” na karku nowy naszyjnik z brylantami, a ona wzdycha, z dłonią przy piersi, i kręci głową z niedowierzaniem, tak jak to robią kobiety w czarno-białych filmach.

Nic z tego nie jest istotne dla naszej historii, ale znaczy bardzo wiele dla osobnika, który stoi w ogródku domu numer dwadzieścia cztery i patrzy na zaciągnięte zasłony w oknach salonu. Ma czternaście lat i sztylet w sercu, i choć nie widzi, co się dzieje w środku łyż wylewane codziennie przez matkę na tyle

rozbudziły jego wyobraźnię, że może się domyślić. Tak więc unosi ramiona nad głowę, robi krok w tył i z całej siły wyrzuca przed siebie coś, co trzyma w rękach. Cofa się i z gorzką satysfakcją patrzy, jak siedmiokilogramowy zamrożony indyk rozbija szybę w salonie domu numer dwadzieścia cztery. Zaciągnięte zasłony znowu służą jako bariera między nim a nimi, spowalniając lot ptaka. Indyk pozbawiony życia, które pozwoliłoby mu wyhamować — wraz ze swoimi podrobami — zbliża się szybko do drewnianej podłogi, ląduje z hukiem i przetacza się do miejsca ostatecznego spoczynku pod choinką. Jego podarunek dla nich.

Ludzie, jak domy, mają swoje tajemnice. Czasem te tajemnice skrywają się w nich, czasem oni skrywają się w tajemnicach. Obejmują je mocno ramionami, łamią języki, by ominąć prawdę. Ale po jakimś czasie ona zwycięża, wynosi się ponad wszystko. Wierci się i kręci w środku, rośnie, aż spuchnięty język nie może więcej kłamać, przychodzi czas, kiedy musi wypluć prawdę; wtedy ta przecina powietrze i z hukiem ląduje w rzeczywistości. Prawda i czas zawsze ze sobą współdziałają.

Oto opowieść o ludziach, sekretach i czasie. O ludziach, którzy — podobnie jak paczki — skrywają tajemnice, otaczają się kolejnymi warstwami, aż zaofiarują się właściwym osobom, a te pomogą im się otworzyć i zajrzą do środka. Czasem trzeba się komuś ofiarować, żeby zobaczyć, kim się jest. Czasem trzeba rozwiązać pewne sprawy, żeby dotrzeć do sedna.

To opowieść o człowieku, który odkrywa, kim jest. O człowieku, który otworzył się, a jego sedno ukazało się ważnym dla niego osobom. A ważne dla niego osoby ukazały się jemu. W samą porę.

Rozdział drugi

Poranek półśmiechów

Sierżant Raphael O'Reilly poruszał się wolno i metodycznie po ciasnej kuchni posterunku policji w Howth, rozmyślając w kółko o rewelacjach tego ranka. Pięćdziesięciodziewięciolatek znany jako Raphie, wymawiane Rej-fi, miał przed sobą rok do emerytury. Nigdy nie przypuszczał, że będzie jej kiedyś wyczekiwał, aż wydarzenia tego dnia chwyciły go za ramiona, przekreśliły do góry nogami i w rezultacie był zmuszony patrzeć, jak wszystkie jego przekonania wypadają z kieszeni na ziemię. Teraz z każdym krokiem słyszał pod nogami trzask tych niegdyś silnych przeświadczeń. Ze wszystkich poranków i chwil, które przeżył w swojej czterdziestoletniej karierze, ten był najbardziej niezwykły.

Wsypał do kubka dwie czubate łyżeczki kawy rozpuszczalnej. Naczynie w kształcie radiowozu nowojorskiej policji było prezentem świątecznym od jednego z chłopaków, który przywiózł je ze Stanów. Raphie udawał, że widok kubka go oburza, ale tak naprawdę poprawiał mu samopoczucie. Ściskając go mocno w rękach po porannym ataku Krisa Kringle'a cofnął się w czasie o ponad pięćdziesiąt lat, do chwili, kiedy dostał od rodziców na gwiazdkę radiowozik. Uwielbiał ten samochód, ale pewnego dnia zostawił go na noc na dworze i ten tak zardzewiał na deszczu, że jego ludzie musieli przejść na wczesną emeryturę. Teraz trzymał w dłoniach kubek i czuł, że powinien przejechać nim po blacie, wyjąc jak syrena, a następnie zderzyć się z torebką cukru, która — o ile wokół nie będzie nikogo — przechyli się, a jej zawartość wysypie się do wozu.

Zamiast przeprowadzać tę akcję rozejrzał się po kuchni dla pewności, że jest sam, po czym wsypał do kawy pół łyżeczki cukru. Ośmielony zakaszał, żeby zamaskować szelest torby, kiedy łyżeczka ponownie się w niej zanurzyła, po czym błyskawicznie wrzucił zdobycz do kubka. Jako że dwie łyżeczki uszły mu

na sucho rozzuchwalał się i po raz kolejny sięgnął do torebki.

— Proszę rzucić broń — odezwał się w drzwiach stanowczy żeński głos.

Raphie drgnął, zaskoczony niespodziewanym towarzystwem, a cukier z łyżeczki wylądował na blacie. Kawowo-cukrowy wypadek przy pracy. Czas wezwać posiłki.

— Zostałeś złapany na gorącym uczynku, Raphie.

Jessica, koleżanka z pracy, stanęła obok i wyciągnęła mu z ręki łyżeczkę.

Wyjęła z szafki drugi kubek — świąteczny drobiazg z Jessicą Rabbit, z życzeniami od Krisa Kringle'a — i podsunęła mu. Obfity porcelanowy biust Jessiki otarł się o nowojorski wóz i chłopiec w Raphiem pomyślał, że jego ludzie w środku muszą się bardzo cieszyć.

— Ja też się napiję — powiedziała, wyrywając go z rozmyślań o tym, jak jego chłopcy bawią się z Jessicą Rabbit w koci-koci-łapci.

— Proszę — poprawił koleżankę.

— Proszę — powtórzyła, przewracając oczami.

Jessica była nowa. Dołączyła do zespołu zaledwie sześć miesięcy temu, a Raphie już zdążył się do niej bardzo przywiązać. Miał słabość do tej dwudziestosześcioletniej wysportowanej blondynki, która jest zawsze chętna i gotowa do działania, nieważne, jakie ma przed sobą zadanie. Czuł też, że wniosła do męskiej ekipy na posterunku bardzo potrzebną kobiecą energię. Wielu zgadzało się z Raphiem, choć z nieco innych powodów. On widział w niej córkę, której nigdy nie miał. Albo którą miał, ale stracił. Wypchnął tę myśl z głowy i zaczął się przyglądać, jak Jessica zgarnia z blatu rozsypany cukier.

Mimo całej tej energii w jej oczach — migdałowych i tak ciemnobrązowych, że niemal czarnych — coś się kryło. Jakby dodano świeżą warstwę ziemi i wkrótce chwasty, czy co tam wykluwa się pod spodem, miały przedrzeć się na zewnątrz. Te oczy skrywały tajemnicę, której Raphie nie chciał badać, ale wiedział, że cokolwiek to jest sprawa, że Jessica wysuwa się naprzód w sytuacjach, kiedy większość rozsądnych ludzi ruszyłaby w przeciwnym kierunku.

— Pół łyżeczki przecież mnie nie zabije — oświadczył gderliwie, spróbował swojej kawy; wiedział, że jeszcze jedna łyżeczka uczyniłaby ją doskonałą.

— Skoro zatrzymanie tamtego porsche w zeszłym tygodniu omal cię nie zabiło, to pół łyżeczki cukru na pewno cię wykończy. Czy ty pracujesz na kolejny zawał serca?

Raphie poczerwieniał.

— To był szmer sercowy, Jessico, nic więcej; i mów ciszej — syknął.

— Powinieneś odpoczywać — odrzekła cichszym głosem.

— Lekarz powiedział, że wszystko jest w całkowitej normie.

— W takim razie ten lekarz powinien przebadać sobie mózg, bo ty nigdy nie byłeś całkiem normalny.

— Znasz mnie tylko sześć miesięcy — mruknął, podając jej kubek.

— Najdłuższe sześć miesięcy w moim życiu — zakpiła. — No dobrze, weź brązowy.

Poczuła się winna; sięgnęła do torebki z brązowym cukrem i wsypała mu do kawy kopiastrą łyżeczkę.

— Brązowy chleb, brązowy ryż, brązowe to, brązowe tamto. Pamiętam czasy, kiedy moje życie było w technikolorze.

— Założę się, że pamiętasz też czasy, kiedy patrząc w dół widziałeś swoje stopy.

Żeby rozpuścić cukier w jego kawie zamieszała łyżeczką tak energicznie, że w środku pojawił się portal wirującego płynu. Raphie wpatrywał się w niego i rozmyślał: gdyby zanurkował w tym kubku dokąd by trafił?

— Nie obwiniaj mnie, jeśli umrzesz, gdy to wypijesz — oświadczyła, podając mu kawę.

— Jeśli tak się stanie będę cię nawiedzał aż do twojej śmierci.

Na jej ustach pojawił się uśmiech, ale nie dotarł do oczu, tylko zniknął gdzieś w okolicach nosa.

Raphie patrzył, jak portal w kubku zaczyna się rozplýwać. Szansa na skok do innego świata przepadła wraz z parą unoszącą się nad płynem. Tak, to był piekielny poranek. Nie na uśmiechy. A może i tak. Może to poranek na półuśmiechy. Nie mógł się zdecydować.

Podał Jessice kubek gorącej kawy — czarnej, bez cukru, tak jak lubi — po czym oboje oparli się o blat; ich usta dmuchały na zawartość kubków, stopy dotykały ziemi, a myśli błądziły w chmurach.

Raphie przyjrzał się Jessice: ścisnęła obiema rękami kubek i wpatrywała się w kawę, jakby to była kryształowa kula. Tak bardzo chciał, żeby nią była; tak bardzo pragnął, żeby umieli przewidzieć przyszłość i zapobiec wielu zjawiskom, których są świadkami. Jessica miała blade policzki i tylko czerwone obwódki wokół oczu zdradzały, co wydarzyło się tego dnia.

— Niezły poranek, mała, co?

Migdałowe oczy zalśniły, ale się opanowała. Z twardą miną skinęła głową i upiła łyk kawy. Próbowwała ukryć grymas, z którego Raphie wyczytał, że się oparzyła, ale wypiła kolejny łyk, jakby na przekór. Nawet kawie rzucała wyzwanie.

— Na pierwszej służbie w święta przez całą zmianę grałem z sierżantem w szachy.

W końcu się odezwała:

— Szczęściarz z ciebie.

— Tak. — Skinął głową, wspominając tamte czasy. — Chociaż wtedy tak tego nie widziałem. Miałem nadzieję, że coś będzie się działo.

Czterdzieści lat później dostał to, na co wtedy liczył i teraz chciał to oddać. Zwrócić podarunek. I otrzymać rekompensatę w postaci czasu.

— Wygrałeś?

Wyrwał się z transu.

— Co wygrałem?

— Partię szachów.

— Nie. — Zachichotał. — Lepiej pozwolić wygrać sierżantowi.

Zmarszczyła nos.

— Ja bym ci nie dała wygrać.

— Nie wątpię.

Raphie domyślił się, że napój osiągnął już odpowiednią temperaturę i wreszcie się napił. Natychmiast chwycił się za gardło i zaczął kaszleć i prychać, udając, że umiera; od razu też wiedział, że mimo wysiłków, by rozładować atmosferę jego żart jest w złym guście.

Jessica uniosła tylko brew i dalej popijała kawę.

Zaśmiał się, po czym znów zapadła cisza.

— Nic ci nie będzie — zapewnił Jessicę.

Ponownie skinęła.

— Tak — odrzekła krótko, jakby już to wiedziała. — Dzwoniłeś do Mary?

Odpowiedział skinieniem.

— Od razu. Jest teraz z siostrą.

Białe kłamstwo w białe święta.

— A ty do kogoś dzwoniłaś?

Potaknęła, ale odwróciła wzrok, by nie dać mu nic więcej, byle tylko nie dać więcej.

— Powiedziałeś... powiedziałeś jej?

— Nie. Nie.

— A powiesz?

Znowu zapatrzył się w przestrzeń.

— Nie wiem. Ty komuś powiesz?

Wzruszyła ramionami, a jej twarz miała jak zwykle nieprzenikniony wyraz. Skinęła głową w kierunku pokoju zatrzymań na końcu korytarza.

— Chłopak z Indykiem wciąż tam czeka.

— Co za strata — westchnął Raphie.

Nie wyjaśnił, czy mówi o utraconym życiu, czy o własnym czasie.

— Jemu akurat dobrze by zrobiło, gdyby się dowiedział. — Zawahała się z kubkiem przy ustach; jej czarne migdałowe oczy posłały mu znad niego spojrzenie. Jej głos był pewny jak wiara w klasztorze, tak mocny i pozbawiony wątpliwości, że Raphie nie musiał kwestionować jej przekonania.

— Powiedz mu — powiedziała. — Jeśli już nigdy nikomu o tym nie powiemy, powiedzmy choć jemu.

Rozdział trzeci

Chłopak z Indykiem

Raphie wkroczył do pokoju przesłuchań tak, jakby wchodził do swojego salonu z zamiarem wyciągnięcia się na kanapie z nogami w górze. W jego zachowaniu nie było nic groźnego. Mimo blisko metra dziewięćdziesięciu wzrostu nie wypełniał całej przestrzeni. Miał, jak zwykle, głowę pochyloną w zamyśleniu, a brwi opadały na oczy wielkości ziaren groszku. Był przygarbiony, jakby nosił na karku schronienie w postaci muszli. Na brzuchu miał większą muszlę. W jednej ręce trzymał styropianowy kubek, a w drugiej swoją do połowy wypitą kawę.

Chłopak z Indykiem zerknął na radiowóz Raphiego.

— Beznadziejny.

— Tak jak i rzucanie w okno indykiem.

Chłopak uśmiechnął się pod nosem i zaczął żuć sznurek od kaptura bluzy.

— Czemu to zrobiłeś?

— Mój tata to palant.

— Domyśliłem się, że to nie świąteczny prezent dla Ojca Roku. Czemu akurat indyk?

Chłopak wzruszył ramionami.

— Mama kazała wyjąć go z zamrażarki — wyjaśnił, jakby to wszystko tłumaczyło.

— Więc jak trafił z zamrażarki na podłogę w domu twojego taty?

— Większość drogi go niosłem, a resztę przeleciał.

Znowu uśmiezek.

— Kiedy mieliście jeść obiad?

— O trzeciej.

— Pytałem o dzień. Każde dwa i pół kilo indyka rozmraża się przynajmniej dwadzieścia cztery godziny. Wasz ważył siedem i pół. Jeśli zamierzaliście go zjeść dzisiaj trzeba go było wyciągnąć trzy dni temu.

— Jak sobie chcesz, Ratatouille. — Spojrzał na Raphiego jak na wariata. — Czy gdybym nafaszerował go bananami miałbym teraz mniejsze kłopoty?

— Mówię o tym, bo gdybyś wyjął go w porę z zamrażarki nie byłby aż tak twardy i może nie wyrządziłby takich szkód. Ława przysięgłych może uznać, że wszystko zaplanowałeś. A banany i indyk to też kiepski pomysł.

— Nie zaplanowałem tego!

Żaloszny pisk zdradził jego wiek.

Raphie napił się kawy, obserwując nastolatka.

Chłopak spojrzał na kubek przed sobą i potarł nos.

— Nie piję kawy.

— W porządku.

Raphie wziął styropianowy kubek ze stołu i przelał zawartość do swojego.

— Jeszcze ciepła. Dzięki. Opowiedz mi o dzisiejszym poranku. Co ty sobie myślałeś, synu?

— Jeśli ty jesteś tym grubym draniem, któremu wybiłem ptakiem okno, to ja nie jestem twoim synem. I co to ma być, sesja terapeutyczna czy przesłuchanie? Stawiasz mi jakieś zarzuty?

— Czekamy na informację, czy twój ojciec wniesie skargę.

— Nie zrobi tego. — Przewrócił oczami. — Nie może. Nie mam szesnastu lat.

Jeśli mnie teraz puścicie nie będziesz tracić więcej czasu.

— Już i tak sporo mi go zmarnowałeś.

— Są święta. Nie sądzę, żebyś miał tu dziś dużo do roboty. — Spojrzał na brzuch Raphiego. — Poza jedzeniem pączków.

— Zdziwiłbyś się.

— Czyżby?

— Dziś rano jakiś durny dzieciak rozbił okno indykiem.

Chłopak znowu przewrócił oczami i spojrzał na tykający na ścianie zegar.

— Gdzie moi rodzice?

— Zmywają tłuszcz z podłogi.

— To nie moi rodzice. — Splunął. — A przynajmniej ona nie jest moją matką. Jeśli przyjdzie z nim po mnie, to nigdzie nie idę.

— Bardzo wątpię, żeby przyszli zabrać cię ze sobą do domu.

Raphie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej czekoladkę. Rozpakował ją powoli, szeleszcząc papierkiem w ciszy pokoju.

— Zauważyłeś, że na końcu w opakowaniu zawsze zostają truskawkowe?

Uśmiechnął się, po czym włożył czekoladkę do ust.

— Założę się, że gdy ty jesteś w okolicy, to w opakowaniu nic nie zostaje — odszczeknął się chłopak.

— Twój ojciec i jego partnerka...

— Która, dodajmy — przerwał Raphiemu Chłopak z Indykiem i pochylił się nad dyktafonem — jest dziwką.

— ...mogą złożyć nam wizytę, żeby wnieść oskarżenie.

— Tata by tego nie zrobił.

Chłopak przełknął ślinę. Oczy miał spuchnięte od frustracji.

— Rozważa to.

— Nieprawda — burknął. — A jeśli, to ona go do tego zmusza. Jędza.

— Bardziej prawdopodobne, że zrobi to, bo teraz w jego salonie sypie śnieg.

— Pada śnieg?

Z szeroko otwartymi, pełnymi nadziei oczami znowu wyglądał jak dziecko.

Raphie skupił się na ssaniu czekoladki.

— Niektórzy wolą od razu wgryźć się w czekoladę; ja zdecydowanie wolę ją ssać.

— Possij to.

Chłopak z Indykiem złapał się za krocze.

— O to będziesz musiał poprosić swojego chłopaka.

— Nie jestem gejem — obruszył się. Potem pochylił się i wróciło dziecko. — No powiedz, pada? Pozwól mi zobaczyć. Wyrzę tylko przez okno.

Raphie połknął czekoladkę, oparł łokcie na stole i przemówił stanowczo.

— Kawalki szyb wylądowały na dziesięciomiesięcznym dziecku.

— No i? — warknął chłopak, odchylając się gwałtownie na krześle.

Widać było jednak, że się zaniepokoił. Zaczął skubać skórę przy paznokciu.

— Niemowlak leżał obok choinki, pod którą wylądował indyk. Na szczęście nie został zraniony. Niemowlak, nie indyk. Indyk odniósł sporo obrażeń. Raczej z tego nie wyjdzie.

Chłopak miał taką minę, jakby mu ulżyło, a jednocześnie nie wiedział, co jest grane.

— Kiedy przyjedzie mama?

— Jest w drodze.

— Dwie godziny temu to samo mówiła laska — wykonał wymowny gest — z dużymi balonami. A w ogóle co z jej twarzą? Mielście sprzeczkę kochanków?

Raphiego rozsierdziło, że chłopak tak mówi o Jessice, ale zachował spokój. Dzieciak nie był tego wart. A czy był wart tego, by podzielić się z nim historią?

— Może twoja matka jedzie powoli. Drogi są bardzo śliskie.

Chłopak z Indykiem zastanowił się chwilę i znów się zatroskał. Nie przestawał skubać skórki.

— Indyk był za duży — odezwał się po długim milczeniu. Zacisnął i rozluźnił spoczywające na stole pięści. — Kupiła ptaka takiej samej wielkości jak wtedy,

gdy on mieszkał z nami. Myślała, że wróci.

— Twoja matka myślała, że twój tata się zjawi.

Stwierdzenie, nie pytanie.

Chłopak skinął głową.

— Kiedy wyjąłem go z zamrażalnika wściekłem się. Był za duży.

Znowu cisza.

— Nie sądziłem, że rozbije szybę — powiedział ciszej i odwrócił wzrok. — Kto by pomyślał, że indykiem da się wybić okno?

Spojrzał na Raphiego z taką desperacją, że mimo powagi sytuacji Raphie musiał się wysilić, żeby powstrzymać uśmiech.

— Chciałem ich tylko przestraszyć. Wiedziałem, że będą się tam bawić w szczęśliwą rodzinę.

— Cóż, teraz z pewnością się nie bawią.

Chłopak nic nie powiedział, ale wydawał się mniej ucieszony, niż kiedy Raphie wszedł do pokoju.

— Siedmiokilogramowy indyk to sporo dla trzech osób.

— Cóż poradzić, ojciec to tłusty drań.

Raphie uznał, że traci czas. Zniecierpliwiony wstał i skierował się do wyjścia.

— Co roku przychodziła na kolację rodzina taty — zawołał chłopak za Raphiem, chcąc go zatrzymać. — Ale oni też postanowili, że w tym roku się nie pojawiają. Ten cholerny indyk był za wielki dla nas dwojga — powtórzył, kręcąc głową. Jego zuchwalstwo zniknęło, a głos nabrał nowego tonu. — Kiedy przyjedzie mama?

Raphie wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Pewnie kiedy uzna, że dostałeś już lekcję.

— Ale są święta.

— Dzień równie dobry na lekcję jak każdy inny.

— Lekcje są dla dzieciaków.

Raphie się uśmiechnął.

— A co? — warknął nieufnie chłopak.

— Ja dziś dostałem lekcję.

— Zapomniałem dodać do dzieci kretyków.

Raphie skierował się ku drzwiom.

— To czego się dziś nauczyłeś? — zapytał szybko chłopak i można było wyczuć w jego głosie, że nie chce zostać sam.

Raphie zatrzymał się i odwrócił. Czuł smutek i było go po nim widać.

— Widocznie to była gówniana lekcja.

— Jak większość lekcji.

Chłopak z Indykiem siedział przy stole zgarbiony. Rozpięta bluza z kapturem zwisała z ramienia, małe różowe uszy wyglądały spośród tłustych włosów do ramion, policzki pokrywały pryszcze, a oczy lśniły błękitem. Był tylko dzieckiem.

Raphie westchnął. Za tę historię na bank zmuszą go do przejścia na wczesną emeryturę. Odsunął krzesło i usiadł.

— Pamiętaj tylko, że to ty poprosiłeś, żebym ci opowiedział.

Początek opowieści

Rozdział czwarty

Obserwator butów

Lou Suffern zawsze musiał być w dwóch miejscach jednocześnie. Kiedy spał, śnił. Między snami przebiegał w pamięci wydarzenia danego dnia, jednocześnie planując następny, tak więc, gdy co rano o szóstej rozbrzmiewał dźwięk budzika, Lou nie czuł się wcale wypoczęty. Pod prysznicem ćwiczył prezentacje, a niekiedy z jedną ręką za zasłoną odpowiadał na mejle przez BlackBerry. W czasie śniadania czytał gazetę, a gdy pięcioletnia córka opowiadała mu swoje niespójne historie słuchał porannych wiadomości. Kiedy jego trzynastomiesięczny syn co dzień demonstrował nowe umiejętności twarz Lou wyrażała zainteresowanie, natomiast zakamarki umysłu analizowały, czemu czuje coś dokładnie przeciwnego. Całując żonę na do widzenia Lou myślał o innej.

Na każdą czynność, ruch, spotkanie, na każde posunięcie i każdą myśl nakładały się kolejne. Jazda do pracy była konferencją przez zestaw słuchawkowy. Śniadania przechodziły w lunch, lunch w drinki przed kolacją, drinki w kolacje, kolacje w drinki po kolacji, drinki po kolacji w... cóż, to zależało od tego, czy danego wieczoru miał farta. W te szczęśliwe noce, spędzane w jakimś domu, mieszkaniu, pokoju hotelowym czy biurze, kiedy był tak bardzo rad z siebie i towarzystwa drugiej osoby, musiał, rzecz jasna, przekonywać tych, którzy nie podzielali jego zadowolenia — a mianowicie żonę — że jest gdzie indziej. Dla niej siedział na spotkaniu, na lotnisku, kończył ważną robotę papierkową albo tkwił w świątecznych korkach. W dwóch miejscach jednocześnie — magia.

Wszystko na siebie zachodziło, Lou był w ciągłym ruchu, zawsze musiał być gdzie indziej, zawsze chciał być w innym miejscu albo dzięki jakiejś boskiej interwencji znaleźć się w dwóch miejscach jednocześnie. Z każdą osobą spędzał

możliwie najmniej czasu i wszystkich zostawiał z poczuciem, że to wystarczy. Nie spóźniał się, był dokładny, zawsze o czasie. W pracy funkcjonował jak najprecyzyjniejszy mechanizm zegarowy; w życiu prywatnym jak zepsuty zegarek kieszonkowy. Dążył do perfekcji, a pogoń za sukcesem wyzwalała w nim niewyczerpane pokłady energii. Ale to właśnie ta pogoń — chęć zdobycia wszystkiego na wciąż wydłużającej się liście pragnień oraz ambicja, by wspinać się na coraz bardziej zawrotne wysokości — sprawiła, że Lou szybował nad tym, co najważniejsze. W jego planie dnia brakowało czasu dla tych, którzy — gdyby tylko poświęcił im trochę uwagi — mogliby wynieść go wyżej niż jakiegokolwiek nowe przedsięwzięcie.

W pewien mroźny wtorkowy poranek, we wciąż rozwijającej się dublińskiej dzielnicy portowej, perfekcyjnie wypolerowane czarne skórzane buty Lou przecinały energicznym krokiem pole widzenia pewnego mężczyzny. Mężczyzna obserwował tego ranka ruch jego butów, tak jak i poprzedniego, i tak jak przypuszczalnie będzie obserwował następnego. Nie było gorszej stopy — obie były równie sprawne. Każdy krok miał tę samą długość i był stawiany z niezwykłą precyzją: but skierowany do przodu, najpierw opadał obcas, potem było wypchnięcie z palucha, naprężone mięśnie śródstopia. Za każdym razem doskonale. Buty uderzały o chodnik rytmicznie. To nie było ciężkie stąpanie, które poruszałoby ziemię, jak u tych bezgłowych pędzących tędy o tej godzinie; ich głowy wciąż spoczywały na poduszkach, choć ciała znajdowały się już na świeżym powietrzu. Nie, te buty wydawały z siebie energiczny stukot, natrętny jak bębnienie kropli deszczu o dach oranżerii, a nogawki spodni furkotały lekko, niczym flaga przy osiemnastym dołku na łagodnym wietrze.

Obserwator niemal oczekiwał, że płyty chodnikowe zaświecą pod każdym krokiem tych butów, a ich właściciel nagle zacznie stepować z radości, jakież to wspaniały dzień się zapowiada. Dla obserwatora z całą pewnością równie wspaniały.

Zazwyczaj błyszczące czarne buty pod nieskazitelnym czarnym garniturem

mijały obserwatora, przechodziły przez drzwi obrotowe i znikwały w dużym marmurowym holu najnowszej, nowoczesnej szklanej budowli, jaki wtłoczono na nabrzeżu i wystrzelono w dublińskie niebo. Ale tego ranka buty zatrzymały się na wysokości obserwatora, a następnie zachrobotyły, robiąc obrót na zimnym betonie. Obserwator był zmuszony podnieść znad nich wzrok.

— Proszę — powiedział Lou, wyciągając ku niemu rękę z kawą. — Americana. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza. Mieli kłopot z maszyną i nie mogli zrobić latte.

— W takim razie odnieś ją — odparł obserwator, krzywiąc się i kręcąc nosem nad zaproponowanym mu kubkiem gorącego płynu.

Jego komentarz spotkał się z pełną zdumienia ciszą.

— Żartuję. — Zaśmiał się na widok miny mężczyzny i bardzo szybko, na wypadek gdyby dowcip nie został doceniony, a miły gest miał być zrewidowany i cofnięty, wziął kubek i otoczył go zmarzniętymi palcami.

— Czy ja wyglądam na kogoś, komu zależy na spienionym mleku? — Wyszczrzył się, po czym na jego twarzy pojawił się wyraz czystej ekstazy. — Mmmmm.

Zbliżył nos do brzegu kubka i zaciągnął się zapachem kawy. Zamknął oczy i delektował się, nie chcąc, by doznania wzrokowe w jakikolwiek sposób umniejszyły boskość woni. Tekturopodobny kubek był tak gorący albo jego dłonie tak zimne, że żar przeszył je i posłał fale gorąca i dreszczy przez całe ciało. Obserwator nie wiedział, jak bardzo jest mu zimno, dopóki nie poczuł ciepła.

— Bardzo dziękuję.

— Drobiazg. Słyszałem w radiu, że dziś będzie najzimniejszy dzień w roku.

Na potwierdzenie tych słów błyszczące buty Lou przytupnęły na betonie, a skórzane rękawiczki potarły o siebie.

— Ja tam im wierzę. Dziś nawet w psiarni jest cieplej. Ale to pomoże. — Podmuchał lekko, przygotowując się do pierwszego łyku.

— Niesłodzona — powiedział przepaszającym tonem Lou.

— No cóż.

Obserwator przewrócił oczami i szybko odsunął kubek od ust, jakby w środku czaiła się zabójcza choroba.

— Mogę ci wybaczyć brak spienionego mleka, ale cukier to już przesada. — Wyciągnął rękę z kubkiem z powrotem do Lou.

Lou, który tym razem docenił komentarz i dowcip, roześmiał się.

— Dobra. Dobra.

— Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Czy to znaczy, że jak się ma, co się lubi, to się nie lubi, czego się nie ma?

Obserwator uniósł brew, uśmiechnął się i w końcu wypił pierwszy łyk. Był tak pochłonięty gorącym i kofeiną podrażniającymi przez jego zziębnięte ciało, że w pierwszej chwili nie zauważył, iż nagle z obserwatora stał się obserwowanym.

— O przepraszam. Jestem Gabe. — Wyciągnął rękę. — Gabriel, ale każdy, kto mnie zna, nazywa mnie Gabe.

Lou wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie — ciepła skóra rękawiczki i zimna skóra bezdomnego.

— Jestem Lou, ale każdy, kto mnie zna, nazywa mnie palantem.

Gabe się zaśmiał.

— To dopiero szczerść. Może ja będę ci mówił Lou, póki nie poznam cię lepiej.

Uśmiechnęli się do siebie, po czym zamilkli, naraz skrępowani. Dwóch małych chłopców, którzy próbują się zakumplować na szkolnym boisku. Błyszczące buty zaczęły się lekko wiercić, stuk-puk, puk-stuk; małe kroczyki Lou łączyły w sobie chęć rozgrzania się i próbę podjęcia decyzji: iść już czy zostać? Jego stopy odwróciły się powoli w stronę sąsiedniego budynku. Lou wkrótce za nimi podąży.

— Tłoczno tu dziś — rzucił swobodnie Gabe, ściągając buty na powrót ku sobie.

— Za kilka tygodni święta, to zawsze szalony okres — zgodził się Lou.

— Im więcej ludzi, tym lepiej dla mnie — oznajmił Gabe, a jednocześnie do stojącego przed nim kubka poszybowała dwudziestocentówka.

— Dziękuję — zawołał do kobiety, która ledwo przystanąła, by rzucić mu monetę. Obserwując mowę jej ciała można by pomyśleć, że pieniądz prędzej wypadł przez dziurę w kieszeni, niż został podarowany. Gabe spojrzał na Lou szeroko otwartymi oczami i z jeszcze szerszym uśmiechem.

— Widzisz? Jutro ja stawiam kawę. — Zachichotał.

Lou pochylił się jak najdyskretniej, by zerknąć na zawartość kubka. Dwudziestocentówka spoczywała na dnie samotnie.

— Nie martw się. Co jakiś czas go opróżniam. Nie chcę, żeby ludzie pomyśleli, że za dobrze mi się powodzi. — Obserwator zaśmiał się. — Wiesz, jak to jest.

Lou zgodził się, choć nie wiedział.

— Nie mogę się zdradzić, że mam luksusowy penthouse za wodą — dodał Gabe i skinął w kierunku rzeki.

Lou odwrócił się i utkwiał wzrok w najnowszym drapaczu chmur na nabrzeżu po drugiej stronie Liffey, o którym mówił Gabe. Pokryty lustrzanym szkłem budynek wydawał się zwierciadłem centrum Dublina. Począwszy od odtworzonej łodzi wikingów zacumowanej przy nabrzeżu, przez liczne żurawie i świeżo wzniesione budynki firmowe i handlowe, które otaczają Liffey, a kończąc na burzowo zachmurzonym niebie wypełniającym wyższe piętra budynek wchłaniał wszystko i odgrywał to miastu, niczym ogromna plazma. W nocy ta konstrukcja w kształcie ślimaka lśniła niebiesko i była na ustach wszystkich — przynajmniej przez kilka miesięcy po jej inauguracji. Nic nie pozostaje najlepsze zbyt długo.

— Wiesz, tylko żartowałem z tym penthousem — odezwał się Gabe, zaniepokojony, że właśnie pozbawił się wypłaty.

— Podoba ci się? — spytał Lou, nie odrywając hipnotycznego wzroku od budynku.

— To mój ulubiony, zwłaszcza nocą. Jeden z głównych powodów, dla

których tu siedzę. To i oczywiście fakt, że chodzi tędy sporo ludzi. Widokiem nie zapłacę za kolację.

— My go zbudowaliśmy — powiedział Lou, odwracając się w końcu w stronę Gabe'a.

— Serio? — Gabe przyjrzał mu się uważniej.

Sporo po trzydziestce, elegancki garnitur, ogolona twarz gładka jak pupa niemowlęcia, przystrzyżone włosy równomiernie przyprószone siwizną, jakby ktoś wziął solniczkę i posypał mu czuprynę szarością i urokiem w proporcji jeden do dziesięciu. Lou przypominał Gabe'owi gwiazdora filmowego w dawnym stylu, emanującego wdziękiem i wyrafinowaniem, opakowanymi w długi czarny kaszmirowy płaszcz.

— Założę się, że ty mogłeś sobie za to kupić kolację. — Gabe zaśmiał się, czując jednocześnie lekkie ukłucie zazdrości.

Zaniepokoiło go to, gdyż zanim przyjrzał się Lou nie wiedział, co to zazdrość. Ich spotkanie dotąd przyniosło mu dwie rzeczy, które w żaden sposób mu nie pomagały, bo oto siedzi tutaj, naraz zmarznięty i zazdrosny, kiedy przedtem było mu ciepło i był zadowolony. Zastanowił się nad tym i — mimo że zawsze lubił być we własnym towarzystwie — przewidział, że gdy tylko rozstanie się z tym dżentelmenem doświadczy uczucia takiej samotności, jakiej dotąd nie zaznał. Będzie więc zazdrosny, zmarznięty i samotny. Idealne składniki na domowej roboty ciasto gryczane.

Budynek przyniósł Lou więcej niż kolację. Dzięki niemu firma zyskała kilka nagród, a Lou dom w Howth i nową wersję jego obecnego porsche — właściwie to drugie miał zyskać po świętach, ale wiedział, że nie należy tego ogłaszać mężczyźnie siedzącemu na lodowatym chodniku pod zapchlonym kocem. Tak więc uśmiechnął się tylko uprzejmie i błysnął porcelanowymi licówkami, jak zwykle robiąc dwie rzeczy naraz. Jedno myśli, drugie mówi. Ale Gabe potrafił dokładnie odczytać to, co było pomiędzy myślą a słowem — a to wywołało kolejną, jeszcze silniejszą falę skrępowania, z którym żaden z nich nie czuł się

dobrze.

— Cóż, powinienem już iść. Pracuję...

— Obok. Wiem. Poznają twoje buty. Bliżej mojego poziomu. — Gabe się uśmiechnął. — Chociaż wczoraj byłeś w innych. Jasnobrązowa skóra, jeśli pamiętam.

Precyzyjnie wyregulowane brwi Lou się uniosły. Niczym kamyczek wrzucony do wody wywołały kilka zmarszczek na jak dotąd nie potraktowanym botoksem czole.

— Nie martw się, nie jestem natrętny. — Gabe pozwolił jednej ręce odczepić się od kubka i unióś ją w obronnym geście. — Siedzę tu od jakiegoś czasu. Jeśli już, to wy ciągle włączacie na mój teren.

Lou zaśmiał się, po czym z lekkim zażenowaniem spojrzał na swoje buty, które stanowiły przedmiot rozmowy.

— Niesamowite. Nigdy dotąd cię nie zauważyłem — pomyślał na głos, a mówiąc to przebiegał myślami wszystkie poranki, w które szedł tędy do pracy.

— Jestem tu cały dzień, codziennie — powiedział Gabe z nutą udawanej dziarskości w głosie.

— Przykro mi, nigdy nie zwróciłem na ciebie uwagi... — Lou pokręcił głową. — Zawsze się spieszę, rozmawiam z kimś przez telefon albo spóźniam się do kogoś innego. Moja żona mawia, że zawsze jestem w dwóch miejscach jednocześnie. Mam tyle zajęć, że czasem chciałbym, żeby mnie sklonowano. — Zaśmiał się.

Gabe odpowiedział mu dziwnym uśmiechem.

— Skoro mowa o pośpiechu, to pierwszy raz widzę, żeby ci chłopcy nie minęli mnie pędem. — Gabe skinął w stronę stóp Lou. — Niemal ich nie poznaję, kiedy stoją w miejscu. Brak im dziś ognia?

Lou znowu zachichotał.

— Ognia nigdy im nie brakuje, wierz mi.

Wykonał szybki ruch ręką i niczym przy odsłonięciu wielkiego dzieła sztuki

rękaw płaszcza podjechał do góry idealnie na tyle, by ukazać złotego roleksa.

— Zawsze jestem pierwszy w biurze, więc dziś nie ma pośpiechu.

Sprawdził godzinę w wielkim skupieniu, w myślach prowadząc popołudniowe spotkanie.

— Dziś nie jesteś pierwszy — powiedział Gabe.

— Co?

Spotkanie Lou zostało zakłócone i na powrót znalazł się na zimnej ulicy pod biurem, na mroźnym atlantyckim wietrze, pośród tłumu okutanych ludzi maszerujących do pracy.

Gabe zacisnął powieki.

— Brązowe mokasyny. Widziałem parę razy, jak z nim idziesz. Jest już w środku.

— Brązowe mokasyny? — Lou zaśmiał się, z początku zdezorientowany, potem pełen podziwu, a zarazem zaniepokojony, kto dotarł do biura przed nim.

— Znasz go. Pretensjonalny chód. Te małe zamszowe frędzle podskakują przy każdym kroku, jakby tańczyły minikankana. Ma się wrażenie, że podrzuca je specjalnie. Buty na miękkich podszwach, ale stąpa ciężko. Małe szerokie stopy. Chodzi na zewnętrznych brzegach. Podeszwy są starte po zewnętrznej stronie.

Czoło Lou zmarszczyło się w skupieniu.

— W soboty nosi takie buty, jakby właśnie zszedł z jachtu.

— Alfred. — Lou zaśmiał się, rozpoznając opis. — To pewnie dlatego, że właśnie zszedł ze swojego ja... — Powstrzymał się w porę. — Alfred jest już w biurze?

— Od jakiejś pół godziny. Przyczłapał, zdaje się w pośpiechu, w towarzystwie pary czarnych wsuwanych butów.

— Czarnych wsuwanych butów?

— Czarne buty. Męskie. Dość błyszczące, ale bez stylu. Proste i do rzeczy, robiły to, co buty robić powinny. Nie umiem o nich powiedzieć wiele więcej, poza tym, że ruszały się wolniej niż te drugie.

— Jesteś bardzo spostrzegawczy.

Lou przyjrzał mu się uważnie, zastanawiając się, kim ten człowiek był w poprzednim życiu, zanim wylądował na zimnym chodniku, a jednocześnie jego umysł wrzucił nadbieg, próbując dojść, o kogo może chodzić. Był zaskoczony, że Alfred pojawił się w pracy tak wcześnie. Ich kolega — Cliff — przeżył załamanie nerwowe. Wywołało to ogólne podniecenie; tak, podniecenie, bo oznaczało, że zwolniła się posada. Przy założeniu, że Cliff nie dojdzie do siebie, na co Lou po cichu liczył, w firmie nastąpią znaczne przetasowania i każde nietypowe zachowanie Alfreda budziło podejrzenia. Właściwie jego zachowanie zawsze budzi podejrzenia.

Gabe mrugnął.

— Nie potrzeba wam tam przypadkiem kogoś spostrzegawczego?

Lou rozłożył dłonie w rękawiczkach.

— Przykro mi.

— Nie szkodzi. Gdybyś mnie potrzebował wiesz, gdzie mnie znaleźć. Jestem gościem w martensach. — Zaśmiał się i unióśł koc, odsłaniając wysokie czarne buty.

— Ciekawe, czemu przyszli tak wcześnie. — Lou spojrzał na Gabe'a, jakby ten miał jakieś supermoce.

— Obawiam się, że w tej kwestii nie mogę ci pomóc, ale w zeszłym tygodniu zjedli razem lunch. A przynajmniej wyszli z budynku o godzinie powszechnie uważanej za porę lunchu i wrócili razem, kiedy ta pora dobiegła końca. Co robili przez ten czas można logicznie wydedukować. — Zachichotał. — Łeb mam taki, że mucha nie siada. Przynajmniej dzisiaj. Zdecydowanie za zimno na muchy.

— Kiedy byli na lunchu?

Gabe znowu zamknął oczy.

— Zdaje się, że w piątek. To twój rywal, tak? Ten w brązowych mokasynach?

— Nie, to kumpel. Tak jakby. Właściwie bardziej znajomy. — Lou po raz pierwszy zdawał się poruszony. — To mój kolega z pracy, ale załamanie Cliffa to

wielka szansa dla jednego z nas, żeby, no wiesz...

— Podsiąść chorego kolegę — skończył za niego z uśmiechem Gabe. — Pięknie. Co do tych wolno chodzących butów, tych czarnych — ciągnął. — Wczoraj wieczorem wyszły z biura z parą louboutinów.

— Lou... Loub... Co to takiego?

— Można je rozpoznać po lakierowanej czerwonej podeszwie. Te konkretne miały studwudziestomilimetrowe obcasy.

— Milimetry? — zawahał się Lou, a potem: — Czerwona podeszwa, w porządku. — Skinął głową, przyswajając te wszystkie informacje.

— Mógłbyś zawsze po prostu spytać swojego kumpla – ukośnik – znajomego – ukośnik – współpracownika, z kim się spotkał — zasugerował Gabe z błyskiem w oku.

Lou nie udzielił na to odpowiedzi.

— No dobra, ja lecę. Mam jeszcze obskoczyć tyle miejsc, tylu ludzi. — Mrugnął. — I to jednocześnie, wyobrażasz sobie? Dzięki za pomoc, Gabe.

Wsunął mu do kubka dziesięć euro.

— Dzięki, stary. — Gabe się rozpromienił. Natychmiast sięgnął do kubka i włożył banknot do kieszeni. Popukał się znacząco palcem w nos. — Nie mogę się przed nimi zdradzić, pamiętasz?

— No tak — zgodził się Lou.

Ale jednocześnie wcale się nie zgadzał.

Rozdział piąty

Trzynaste piętro

— Na górę?

Zatłoczoną windę wypełniły twierdzące pomruki i zbiorowe kiwanie głowami

w odpowiedzi na pytanie dżentelmena z drugiego piętra, wpatrującego się z nadzieją w zaspane twarze. Zareagowali wszyscy poza Lou, zbyt zajętego studiowaniem butów jegomościa, które przekroczyły szparę prowadzącą w zimną, mroczną czeluść pod windą i znalazły się w zamkniętej przestrzeni. Brązowe wsuwane buty odwróciły się o sto osiemdziesiąt stopni, by znaleźć się przodem do drzwi. Lou szukał czerwonych podeszew i czarnych butów. Alfred przyszedł wcześniej i był na lunchu z czarnymi butami. Czarne buty wyszły z biura z czerwonymi podeszwami. Gdyby znalazł czerwone podeszwy wiedziałby, z kim pracują i tym samym ustaliby, z kim spotyka się potajemnie Alfred. Ta droga wydawała mu się bardziej sensowna niż pytanie wprost, co mówiło sporo o uczciwości Alfreda. Lou myślał o tym wszystkim, jednocześnie uczestnicząc w krępującym milczeniu, jakie może panować tylko w windzie pełnej obcych sobie ludzi.

— Na które pan jedzie? — dobiegł stłumiony głos z kąta, gdzie stał dobrze ukryty, a prawdopodobnie zgnieciony mężczyzna, który jako jedyny z dostępem do przycisków zmuszony był wziąć na siebie zarządzanie przystankami.

— Trzynaste, proszę — powiedział przybysz.

Rozległo się kilka westchnień, jedna osoba prychnęła.

— Nie ma trzynastego piętra — oświadczył bezcielesny mężczyzna.

Drzwi się zamknęły i winda ruszyła szybko do góry.

— Proszę się szybko zdecydować — ponaglił bezcielesny.

— Hm...

Nowo przybyły zaczął grzebać w aktówce w poszukiwaniu swojego harmonogramu.

— Może pan jechać na dwunaste albo czternaste — podpowiedział zduszony głos. — Trzynastego nie ma.

— Na pewno musi wysiąść na czternastym — zasugerował ktoś inny. — Czternaste piętro to w praktyce trzynaste.

— Mam wcisnąć czternaste? — spytał z lekkim rozdrażnieniem bezcielesny.

— Hmm... — Mężczyzna dalej grzebał w swoich papierach.

Lou nie mógł się skupić na nietypowej rozmowie w zwykle cichej windzie, gdyż był pochłonięty analizą otaczającego go obuwia. Licznych czarnych butów. Niektóre z ozdobnymi detalami, niektóre zdarte, niektóre wypastowane, niektóre wsuwane, niektóre z rozwiązanymi sznurówkami. Żadnych widocznych czerwonych podeszew. Lou zauważył, że stopy wokół zaczęły się wiercić i przenosić ciężar z nogi na nogę. Jedna para lekko się od niego odsunęła. Natychmiast podniósł głowę, a jednocześnie winda zadzwięczała.

— Na górę? — spytała młoda kobieta.

Tym razem rozległ się bardziej pomocny chór męskich przytaknięć.

Kobieta stanęła przed Lou, który zbadał wzrokiem jej buty, podczas gdy pozostali mężczyźni badali inne rejony jej ciała, w ciężkiej ciszy, jaką odczuwają kobiety w windzie pełnej mężczyzn. Winda znowu ruszyła do góry. Szóste... siódme... ósme...

W końcu mężczyzna w brązowych ozdobnych półbutach wynurzył się ze swojej aktówki z pustymi rękami i z rezygnacją oświadczył:

— Patterson Developments.

Lou zastanawiał się nad tym zamieszaniem z irytacją. To on zaproponował, żeby w windzie nie było numeru trzynastego, ale oczywiście istnieje trzynaste piętro. Nie ma pustej przestrzeni przed czternastym; czternaste nie unosi się na niewidzialnych ceglach. Czternaste piętro to trzynaste i jego biura mieszczą się właśnie na trzynastym. Ale nazywa się je czternastym. Nie miał pojęcia, czemu dla wszystkich było to niezrozumiałe, choć dla niego jasne jak słońce. Wysiadł na czternastym, a kiedy przekroczył próg windy jego stopy zatonęły w miękkiej pluszowej wykładzinie.

— Dzień dobry, panie Suffern — powitała go sekretarka, nie podnosząc wzroku znad papierów.

Zatrzymał się przy jej biurku i spojrzał na nią z zaskoczeniem.

— Alison, mów mi Lou, tak jak dotąd. Proszę.

— Oczywiście, panie Suffern — odparła zaczepnie, nie patrząc mu w oczy.

Alison wstała i Lou próbował dojrzeć podeszwy jej butów. Kiedy wróciła do biurka wciąż tam stał. Usiadła i zabrała się do pisania w komputerze, nadal unikając kontaktu wzrokowego. Lou pochylił się jak najdyskretniej, żeby zawiązać sznurówki, i zerknął pod biurko.

Alison zmarszczyła brwi i skrzyżowała długie nogi.

— Wszystko w porządku, panie Suffern?

— Mów mi Lou — powtórzył, wciąż skonsternowany.

— Nie — odparła ponuro i odwróciła wzrok. Wzięła z biurka terminarz. — Omówimy dzisiejsze spotkania? — Wstała i obeszła biurko.

Obcisła jedwabna bluzka, dopasowana spódnica, jego wzrok przebiegł po całym ciele, zanim dotarł do butów.

— Jak wysokie są twoje obcasy?

— Czemu?

— Mają sto dwadzieścia milimetrów?

— Nie mam pojęcia. Kto mierzy obcasy w milimetrach?

— Nie wiem. Niektórzy. Gabe. — Uśmiechnął się, podążając za nią do swojego biura i próbując dojrzeć jej podeszwy.

— Kim, u diabła, jest Gabe? — mruknęła.

— To bezdomny. — Lou się zaśmiał.

Kiedy się odwróciła, by spytać, o czym mówi, zobaczyła, że przygląda się jej z przekrzywioną głową.

— Patrzy pan na mnie tak samo, jak na obrazy na tych ścianach — zauważyła rezolutnie.

Współczesny impresjonizm. Lou nigdy za nim nie przepadał. Regularnie przyłapywał się na tym, że przystaje i gapi się na plamy niczego, które pokrywają ściany w korytarzach firmy. Kleksy i linie namazane na płótnie, w których ktoś coś widzi, a które równie dobrze mogłyby wisieć do góry nogami albo tyłem do przodu i znaczyłyby tyle samo. Lou kontemplował też wydane na nie pieniądze

— a potem porównywał te obrazy do rysunków pokrywających drzwi lodówki w domu, autorstwa jego córki Lucy. I gdy przekrzywił głowę to w jedną, to w drugą stronę, tak jak teraz, obserwując Alison, wiedział, że gdzieś tam jest przedszkolanka z milionami euro w kieszeniach i przejęte czterolatki z rękami umazanymi farbą, z językami na brodzie, które dostają żelki zamiast procentów od dochodów.

— Masz czerwone podeszwy? — spytał Alison, kierując się ku gigantycznemu skórzanemu fotelowi, w którym mogłaby zamieszkać czteroosobowa rodzina.

— Czemu pan pyta, wdepnęłam w coś?

Stanął na jednej nodze i zaczęła lekko podskakiwać, próbując utrzymać równowagę przy sprawdzaniu podeszew. Przypominała psa, który goni za własnym ogonem.

— Nieważne. — Usiadł za biurkiem znużony.

Alison przyjrzała mu się podejrzliwie, po czym wróciła do terminarza.

— O ósmej trzydzieści ma pan rozmowę telefoniczną z Aonghusem O'Sullibháinem o konieczności płynnej znajomości irlandzkiego, żeby kupić tamtą ziemię w Connemarze. Załatwiłam panu jednak, żeby rozmowa odbyła się w Béarla¹... — uśmiechnęła się z wyższością i odrzuciła głowę do tyłu niczym koń, potrząsając grzywą z bależem. — O ósmej czterdzieści pięć ma pan spotkanie z Barrym Brendanem w sprawie ślimaków znalezionych na placu budowy w Corku...

— Trzymajmy kciuki, żeby nie okazały się rzadkim gatunkiem — jęknął Lou.

— Cóż, nigdy nie wiadomo, proszę pana, mogą być pańskimi krewnymi. Ma pan rodzinę w Corku, nieprawdaż? — Wciąż unikała jego wzroku. — O dziewiątej trzydzieści...

— Chwileczkę. — Choć Lou wiedział, że są sami w pokoju rozejrzał się w poszukiwaniu wsparcia. — Czemu mówisz mi per „pan”? Co cię dziś ugryzło?

¹ Język angielski po irlandzku (przyp. tłum.).

Odwróciła wzrok i wymamrotała coś, co brzmiało jak: „Z pewnością nie ty”.

— Co powiedziałaś? — Ale nie czekał na odpowiedź. — Mam dziś dużo pracy i obejdę się bez twojego sarkazmu. I odkąd to plan dnia przyjął formę porannego obwieszczenia?

— Pomyślałam, że kiedy usłyszysz, jak wiele czeka cię zajęć, to może pozwolisz mi w przyszłości umawiać cię na mniej spotkań.

— Chcesz mieć mniej pracy, Alison? O to chodzi?

— Nie. — Zarumieniła się. — Skądże. Przyszło mi tylko do głowy, że mógłbyś trochę zmienić tryb pracy. Zamiast tych szalonych dni w wiecznym pośpiechu mógłbyś spędzać więcej czasu z mniejszą liczbą klientów. Bardziej zadowolonych klientów.

— Tak, a potem ja i Jerry Maguire będziemy żyć razem długo i szczęśliwie. Alison, jesteś tu nowa, więc przymknę na to oko, ale właśnie tak lubię pracować, rozumiesz? Lubię być zajęty, nie potrzebuję dwugodzinnych przerw na lunch ani na odrabianie z dziećmi pracy domowej. — Zmrużył oczy. — Wspomniałaś o bardziej zadowolonych klientach; miałaś jakieś skargi?

— Od twojej matki. Żony — odrzekła przez zaciśnięte zęby. — Brata. Siostry. Córki.

— Moja córka ma pięć lat.

— Dzwoniła, kiedy zapomniałaś ją odebrać z lekcji tańca irlandzkiego w zeszły czwartek.

— To się nie liczy. Bo moja pięcioletnia córka nie może spowodować, żeby firma straciła setki milionów euro, prawda? — Znowu nie czekał na odpowiedź.

— Czy miałaś skargi od kogoś, kto nosi inne nazwisko niż ja?

Alison zastanowiła się głęboko.

— Czy twoja siostra wróciła do panieńskiego nazwiska po rozstaniu z mężem?

Lou posłał jej gniewne spojrzenie.

— W takim razie nie, proszę pana.

— O co chodzi z tym „panem”?

Zaczerwieniła się.

— Pomyślałam, że skoro ty traktujesz mnie jak nieznajomą, to ja też będę cię tak traktować.

— Ja traktuję cię jak nieznajomą? To znaczy jak?

Odwróciła wzrok.

Lou zniżył głos.

— Alison, jesteśmy w biurze. Co mam zrobić? Powiedzieć, jak miło cię było przelecieć w trakcie omawiania spotkań?

— Nie przeleciałeś mnie, tylko się całowaliśmy.

— Wszystko jedno. — Machnął ręką. — O co chodzi?

Nie miała na to odpowiedzi, ale jej policzki płonęły.

— Możliwe, że Alfred mi o czymś wspomniał.

Serce Lou zrobiło coś dziwnego, czego nigdy dotąd nie doświadczył. Jakby zadrżało.

— O czym wspomniał?

Alison nie patrzyła na niego. Zaczęła skubać brzeg kartki.

— No, mówił coś o twojej nieobecności na spotkaniu w zeszłym tygodniu...

— Nie coś, proszę o konkrety.

Zjeżyła się.

— Dobra, hm, w zeszłym tygodniu po spotkaniu z panem O'Sullivanem on, czyli Alfred — przełknęła ślinę — zasugerował, że powinnam lepiej cię pilnować. Wie, że jestem tu nowa i poradził mi, żebym nie pozwoliła ci więcej przegapić ważne go spotkania.

Krew zagotowała się Lou w żyłach, a myśli gnały jak szalone. Nigdy nie czuł się tak zbity z tropu. Całe życie pędził od jednej sprawy do drugiej, umykała mu połowa pierwszej i ledwo zdążał na koniec drugiej. Działał tak cały dzień każdego dnia, zawsze przekonany, że dogania, a potem wyprzedza innych. To długa, ciężka i męcząca praca. Lou wiele poświęcił, by znaleźć się tu, gdzie jest teraz.

Kochał swoją robotę, był stuprocentowym profesjonalistą oddanym każdemu jej aspektowi. Złościło go, że został zganiony za nieobecność na spotkaniu, którego nie było jeszcze w planie, kiedy brał wolne na rano. Złościło go też, że stało się tak przez rodzinę. Gdyby poświęcił to spotkanie dla kogoś innego byłoby mu z tym lepiej, a teraz poczuł nagły gniew na matkę. To ją musiał odebrać tego dnia ze szpitala po wszczepieniu endoprotezy stawu biodrowego. Był zły na żonę, że go do tego skłoniła, bo wpadła we wściekłość, kiedy zaproponował, żeby wysłać po matkę samochód. Był zły na siostrę Marcję i starszego brata Quentina, że nie zrobili tego za niego. Lou był zajęтым człowiekiem. Jeden raz przedłożył bliskich nad pracę i teraz musi za to płacić. Wstał i zaczął chodzić wzdłuż okna, przygryzając wargę. Czuł taką wściekłość, że chciał zadzwonić do całej rodziny i powiedzieć im: „Widzicie? To dlatego nie mogę zawsze być przy was. Teraz rozumiecie? Spójrzcie tylko, co narobiliście!”.

— Nie mówiłaś mu, że musiałem odebrać matkę ze szpitala? — powiedział cicho, bo nienawidził siebie za to pytanie. Nienawidził tych słów, za które pogardzał wypowiadającymi je kolegami. Nienawidził wymówek, przynoszenia życia osobistego do biura. Uważał to za brak profesjonalizmu. Albo wykonało się robotę, albo nie.

— Nie, bo to był mój pierwszy tydzień w pracy, a pan Patterson stał obok i nie wiedziałam, czy chciałbyś, żebym to powiedziała...

— Był z nim pan Patterson? — spytał Lou, a oczy omal nie wyskoczyły mu z orbit.

Alison pokiwała głową; miała szeroko otwarte oczy i wyglądała jak jedna z tych zabawek z głową na sprężynie.

— Rozumiem. — Teraz, gdy zdał sobie sprawę, co się dzieje, serce zaczęło mu zwalniać. Jego drogi przyjaciel Alfred znowu uciekał się do swoich sztuczek. Sztuczek, z których Lou dotąd czuł się wyłączony. Alfred nie mógł wytrzymać jednego dnia, w którym by postępował zgodnie z zasadami. Na wszystko patrzył pod dziwnym kątem, do rozmów też wносił nietypową perspektywę; zawsze

kombinował, jak najlepiej wyjść na każdej sytuacji.

Lou przeszukał wzrokiem biurko.

— Gdzie moja poczta?

— Na dwunastym piętrze. Praktykanta zdezorientował brak trzynastego.

— Nie brakuje trzynastego piętra! Jesteśmy na nim! Co się dziś wszystkim stało?

— Jesteśmy na czternastym piętrze, a brak trzynastego to koszmarny błąd projektu.

— To nie błąd projektu — zachnął się Lou. — Wśród najwspanialszych budynków świata są takie, które nie mają trzynastego piętra.

— Ani dachów.

— Co?

— Koloseum nie ma dachu.

— Co? — warknął znowu, zdezorientowany. — Powiedz praktykantowi, żeby od dziś wchodził po schodach i liczył piętra. W ten sposób się nie pomyli. A właściwie czemu pocztę roznosi praktykant?

— Harry mówi, że brakuje im pracowników.

— Brakuje pracowników? Ilu trzeba pracowników, żeby wsiąść do windy i przywieźć mi moją cholerną pocztę. Jak może im brakować pracowników? — Jego głos podniósł się o parę oktaw. — Małpa potrafiłaby wykonać tę robotę. Na ulicach są ludzie, którzy zrobiliby wszystko, żeby pracować w miejscu takim jak...

— W miejscu takim jak co? — zapytała Alison, ale mówiła do tyłu głowy szefa: Lou odwrócił się i wyglądał przez wielkie okno na chodnik w dole, a jego twarz przybrała dziwny wyraz, który odbijał się w szkle.

Zaczęła się powoli wycofywać i po raz pierwszy od kilku tygodni poczuła ulgę, że pomimo macanek po ciemku ich mały romans się nie rozwinął, bo może źle oceniła Lou, może jest z nim coś nie tak. Była nowa w firmie i nie do końca go jeszcze rozgryzła. Wiedziała tylko, że przypomina jej Białego Królika z *Alicji w*

Krainie Czarów — wiecznie spóźniony, spóźniony, spóźniony na bardzo ważne spotkanie, ale zawsze zdąża w ostatniej chwili. Jest taki wobec wszystkich i odnosi sukcesy w pracy. Do tego jest przystojny, czarujący i jeździ porsche, a te cechy Alison ceni ponad wszystko. Jasne, kiedy rozmawiała przez telefon z jego żoną przez chwilę czuła wyrzuty sumienia w związku z tym, co zaszło między nią a Lou w zeszłym tygodniu, ale szybko wyzbyła się ich dzięki całkowitej naiwności, jaką Alison przypisała żonie w kwestii niewierności męża. Poza tym wszyscy mamy jakiś słaby punkt, a mężczyźni można wybaczyć, jeśli jego piętą achillesową okaże się akurat Alison.

— Jakie buty nosi Alfred? — zawołał Lou, kiedy miała właśnie zamknąć drzwi.

Wróciła do środka.

— Jaki Alfred?

— Berkeley.

— Nie wiem. — Zarumieniła się. — Czemu pytasz?

— Chodzi o prezent na gwiazdkę.

— Buty? Chcesz kupić Alfredowi buty? Zamówiłam już dla wszystkich kosze prezentowe u Browna Thomasa, tak jak prosiłeś.

— Dowiedz się dla mnie. Ale dyskretnie. Tak od niechcenia. Chcę mu zrobić niespodziankę.

Alison zmrużyła podejrzliwie oczy.

— Dobrze.

— A, i ta nowa dziewczyna z księgowości. Jak jej na imię... Sandra, Sarah?

— Deidre.

— O jej buty też się dowiedz. Czy mają czerwone podeszwy.

— Nie mają. Są z Top Shopu. Czarne botki do kostki, zamszowe, z zaciekami. Ja też sobie takie kupiłam w zeszłym roku, kiedy były modne.

Powiedziawszy to wyszła.

Lou westchnął, opadł na swój przerośnięty fotel i ścisnął palcami grzbiet nosa,

w nadziei, że powstrzyma grożącą mu migrenę. Może jest chory. Zmarnował już rano piętnaście minut na rozmowę z bezdomnym, co jest zupełnie nie w jego stylu, ale czuł potrzebę, żeby przy nim przystanąć. Coś w tym młodym człowieku kazało mu się zatrzymać i zaproponować kawę.

Lou nie mógł się skupić na planie dnia i znów się odwrócił, by popatrzeć na miasto w dole. Nabrzeża i mosty zdobiły ogromne dekoracje świąteczne; potężna jemioła i dzwonki, które kołysały się to w jedną, to w drugą stronę dzięki magii neonów. Rzeka Liffey osiągnęła najwyższy poziom wody i pędziła za oknem do Zatoki Dublińskiej. Chodniki wypełnione były ludźmi spieszącymi do pracy; podążali za prądami, sunęli w tym samym kierunku, co pływ. Ich kroki dudniły na chodniku, kiedy maszerowali obok zabiedzonych, wychudłych miedzianych postaci w łachmanach, wzniesionych, by upamiętnić tych, którzy w czasach głodu zmuszeni byli przemierzyć to samo nabrzeże, żeby emigrować. W miejsce niewielkich worków, w których mieści się cały dobytek, dzisiejsi Irlandczycy dzierżyli w jednej ręce kawę ze Starbucksa, a w drugiej aktówkę. Kobiety szły do biura w spódnicach i adidasach, z pantoflami na obcasach w torebce. Przed każdą całkiem inna przyszłość i nieskończone możliwości.

Jedynym stałym elementem był Gabe, skulony w drzwiach niedaleko wejścia; siedział na ziemi pod kocem i obserwował maszerujące obuwie. Gabe nie miał tak nieskończonych możliwości jak niemal traktujący go ludzie. Choć z trzynastego piętra był niewiele większy niż kropka na chodniku Lou widział, jak jego ręka unosi się i opada, kiedy popija kawę, delektując się każdym łykiem jak najdłużej, mimo że z pewnością jest już całkiem zimna. Gabe go intrygował. Nie tylko ze względu na to, że pamięta każdą parę butów z jego budynku niczym tabliczkę mnożenia, ale dlatego, że — co bardziej niepokojące — istota za tymi błękitnymi oczami wydawała się Lou szalenie znajoma. Gabe przypominał mu jego samego. Obaj byli w zbliżonym wieku i po odpowiednim oporządzeniu Gabe'a można by z łatwością wziąć za Lou. Wydawał się sympatycznym, przyjaznym, zdolnym mężczyzną. Równie dobrze to Lou mógłby siedzieć na chodniku na dworze i

patrzeć, jak świat przechodzi mu koło nosa. A jednak ich życie tak bardzo się różni.

W tej chwili, jakby czując na sobie wzrok Lou, Gabe spojrział w górę. Lou był trzynaście pięter wyżej, ale miał wrażenie, że Gabe zagląda mu wprost w duszę, że jego oczy przepalają go na wylot.

To go wprowadziło w konsternację. Jako że miał swój udział w konstrukcji budynku wiedział bez wątpienia, że z zewnątrz szyby są lustrzane. Niemożliwe, żeby Gabe go widział, kiedy wpatrywał się w górę z zadartą brodą, dłonią osłaniając oczy przed słońcem — niemal w geście pozdrowienia. Lou tłumaczył sobie, że pewnie patrzy na jakieś odbicie, może ptak zanurkował i przykuł jego uwagę. Właśnie, z pewnością to odbicie. Ale spojrzenie Gabe'a z takim skupieniem wędrowało trzynaście pięter w górę, przez okno biura Lou i prosto w jego oczy, że odsunął od siebie niewzruszone przekonanie. Uniósł rękę, uśmiechnął się sztywno i wykonał nieznaczny gest pozdrowienia. Zanim Gabe mógł zareagować odjechał na fotelu od okna i odwrócił się. Jego puls przyspieszył, jakby przyłapano go na czymś, czego nie powinien robić.

Zadzwoił telefon. To była Alison i nie wydawała się zadowolona.

— Zanim powiem to, co mam ci powiedzieć chciałam cię tylko poinformować, że ukończyłam studia biznesowe na University College Dublin.

— Gratulacje.

Alison odchrząknęła.

— Proszę bardzo. Alfred nosi brązowe mokasyne w rozmiarze czterdzieści dwa. Ponoć ma dziesięć identycznych par i nosi je codziennie, więc kolejna para na święta nie wydaje mi się najlepszym pomysłem. Nie wiem, jakiej są firmy, ale niech ci będzie, mogę się dla ciebie dowiedzieć. — Nabrała powietrza. — Co do butów z czerwonymi podeszwami Louise kupiła sobie takie i nosiła w zeszłym tygodniu, ale poraniły jej kostkę, więc odniosła je do sklepu, ale nie chcieli przyjąć, bo było oczywiste, że w nich chodziła, gdyż czerwona podeszwa zaczęła się już ścierać.

— Kim jest Louise?

— To sekretarka pana Pattersona.

— Będziesz się musiała od niej dowiedzieć, z kim wychodziła z pracy każdego dnia w zeszłym tygodniu.

— Nie ma mowy, to nie należy do moich obowiązków!

— Jeśli zdobędziesz dla mnie tę informację będziesz mogła wyjść dziś wcześniej.

— Dobrze.

— Dzięki, że złamałaś się pod naciskiem.

— Żaden problem. Będę mogła się zabrać do świątecznych zakupów.

— Nie zapomnij o mojej liście.

Mimo że Lou dowiedział się niewiele w jego sercu znowu zagościło dziwne uczucie, w którym inni rozpoznaliby panikę. Gabe miał rację w kwestii butów, a więc nie był wariatem, jak Lou po cichu podejrzewał. Wcześniej Gabe spytał, czy Lou nie przydałby się w budynku uważny obserwator. Podnosząc słuchawkę Lou zrewidował swoją wcześniejszą decyzję.

— Połącz mnie z Harrym z biura pocztowego, a potem weź moją zapasową koszulę, krawat i spodnie z szafy, i znieś je na dół facetowi siedzącemu przy drzwiach. Zabierz go najpierw do łazienki, niech doprowadzi się do porządku, a potem zaprowadź do biura pocztowego. Ma na imię Gabe, Harry będzie na niego czekał. Rozwiążę jego problem z niedoborem pracowników.

— Co?

— Gabe. Zdrobnienie od Gabriela. Ale mów mu Gabe.

— Miałam na myśli...

— Zrób to. Aha, Alison?

— Co?

— Nasz pocałunek bardzo mi się podobał i nie mogę się doczekać, kiedy cię przelecę. — Usłyszał cichy śmiech, po czym w słuchawce zapadła cisza.

Znowu mu się udało. Wykorzystał pewną swoją godną podziwu umiejętność;

polega ona na tym, by w trakcie mówienia prawdy powiedzieć kłamstwo. A pomagając komuś innemu — Gabe'owi — Lou pomagał też sobie; dobry uczynek to triumf duszy. Mimo to Lou wiedział, że gdzieś za jego planami i ocalaniem duszy kryje się kolejny plan — załączek innego rodzaju ocalenia. Ocalenia własnej skóry. A jeszcze głębiej w swoich złożonych warstwach ten człowiek-cebula czuł, że jego gest jest podyktowany lękiem. Nie tylko lękiem, że — gdyby Lou nagle opuściły rozum i szczęście — mógłby w tej chwili być tam, gdzie Gabe. W warstwie ukrytej tak głęboko pod powierzchnią, że prawie niewyczuwalnej, a już na pewno niedostrzegalnej, gnieździł się strach przed wykrytym pęknięciem — nagłym spadkiem na krzywej jego kariery. Lou bardzo chciał go zignorować, ale zakłócenie wciąż dawało o sobie znać. Ten strach zawsze tam był, tyle że ukryty, dlatego brano go za coś innego.

Zupełnie tak jak trzynaste piętro.

Rozdział szósty

Umowa stoi

Kiedy spotkanie z panem Brennanem w sprawie — dzięki Bogu nie rzadkich, ale i tak kłopotliwych — ślimaków na placu budowy w hrabstwie Cork dobiegało końca, w drzwiach biura Lou pojawiła się zdenerwowana Alison z ciuchami dla Gabe'a przewieszonymi przez rękę.

— Przykro mi, Barry, ale będziemy musieli kończyć — przyspieszył Lou. — Muszę lecieć, powinienem właśnie być w dwóch miejscach. Oba są na drugim końcu miasta, a wiesz, jaki teraz tłok na ulicach.

I tak po prostu, pożegnany porcelanowym uśmiechem i silnym, ciepłym uściskiem dłoni, pan Brennan znalazł się nagle z powrotem w windzie zjeżdżającej na parter, z zimowym płaszczem przerzuconym przez jedno ramię i

aktówką z dokumentami pod drugim. Ale spotkanie było przyjemne.

— Odmówił? — spytał Lou.

— Kto?

— Gabe. Nie chciał pracy?

— Nikogo tam nie było — odrzekła zdezorientowana. — Stałam przy recepcji i wołałam go po imieniu, Boże, jak mi było wstyd, ale nikt się nie zjawił. To kolejny żart, Lou? Nie wierzę, że po tym, jak kazałeś mi zaprowadzić rumuńskiego sprzedawcę róż do gabinetu Alfreda, znowu dałam się zrobić.

— To nie żart. — Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę okna.

— Kiedy nikogo tam nie było — zaprotestowała ze złością.

Lou wyjrzał przez szybę i zobaczył Gabe'a, w tym samym miejscu co przedtem. Właśnie zaczął padać deszcz; z początku pluł kroplami w okno, a po chwili rozległo się dudnienie, kiedy po kroplach przyszedł grad. Gabe wcisnął się głębiej w próg, cofnął nogi z mokrego chodnika i podciągnął je pod klatkę piersiową. Włożył na głowę kaptur i ściągnął sznurki, które na trzynastym piętrze zdawały się połączone z uczuciami Lou.

— Czy to jest nikt? — spytał, wskazując palcem przez okno.

Alison zmrużyła oczy i zbliżyła nos do szyby.

— Tak, ale...

Zabrał jej ubrania z rąk.

— Sam to zrobię — powiedział.

Gdy przeszedł przez drzwi obrotowe uderzyło go w twarz lodowate powietrze. Silny powiew odebrał mu na chwilę oddech, skórę siekły kostki lodu. Gabe skupiał się na mijających go butach, starał się zająć umysł czymś innym, niewątpliwie żeby zapomnieć o szalejącym wokół żywiole. Myślami był w innym miejscu, gdziekolwiek — byle nie tutaj. Na ciepłej plaży, gdzie piasek jest jak aksamit, a Liffey to nieskończone morze. W tym innym świecie czuł błogość, której osoba w jego sytuacji odczuwać nie powinna.

Twarz Gabe'a jednak tego nie odzwierciedlała. Zniknął wyraz zadowolenia

widoczny na niej rano. Kiedy niebieskie oczy podążały za butami Lou od drzwi obrotowych po brzeg jego koca, zdawały się zimniejsze — wcześniej miały kolor ciepłego błękitu podgrzewanego basenu. Obserwując te buty, Gabe wyobrażał sobie, że to stopy tubylca pracującego na plaży, na której właśnie odpoczywa. Zbliżał się z koktajlem balansującym niebezpiecznie na środku tacy trzymanej w taki sposób, że wyciągnięta ręka kelnera przypominała ramię kandelabru. Gabe zamówił tego drinka już jakiś czas temu, ale postanowił przymknąć oko na niewielkie opóźnienie. Dzień był gorętszy niż zwykle i na piasku tłoczyło się mnóstwo połyskujących, pachnących kokosem ciał, więc wybaczy temu miejscowemu jego niedociągnięcia. Parne powietrze spowalniało wszystkich. Nadchodzące stopy w klapkach tonęły w piasku, z każdym krokiem rozrzucając jego ziarenka. Kiedy były już blisko, ziarenka piasku zamieniły się w krople deszczu, a klapki w znajome wypolerowane buty. Gabe podniósł wzrok w nadziei, że zobaczy wielobarwny koktajl pełen owoców i parasolek. Tymczasem ujrzał Lou ze stertą ciuchów na ręce i zajęło mu chwilę, nim przyzwyczaił się na nowo do zimna, hałasu samochodów i krzątania, które zastąpiły jego tropikalny raj.

Lou też wyglądał inaczej niż rano. Jego włosy straciły połysk à la Cary Grant i nie były już tak gładko zaczesane do tyłu, a garnitur na ramionach pokrywały jakby łuski, gdyż małe białe lodowe kulki osiadały na drogim materiale i nie od razu się rozpuszczały. A gdy wreszcie znikwały, pozostawiały ciemne plamy. Lou, jak na niego, prezentował się wyjątkowo niechlujnie, a zwykle rozluźnione barki były napięte i uniesione w odruchu ochronnym przed zimnem. Całe jego ciało drżało, przepełnione tęsknotą za kaszmirowym płaszczem, niczym owca, która właśnie została ogolona i teraz stoi goluteńka na rozdygotanych nóżkach.

— Chcesz pracę? — zapytał Lou.

Powiedział to z dużą pewnością siebie, ale zabrzmiało cicho i słabiutko, jako że wiatr zagłuszył go w połowie i zaniósł jego pytanie do nieznanego, który stał kawałek dalej.

Gabe się uśmiechnął.

— Na pewno chcesz mnie zatrudnić?

Zbity z tropu jego reakcją Lou skinął głową. Nie oczekiwał co prawda uścisku i pocałunków, ale wydało mu się, że Gabe wręcz spodziewał się tej oferty. To mu się nie spodobało. Lepiej był obeznany z pieśniami dziękczynnymi i tańcem radości, z ochami i achami, z podziękowaniami i zapewnieniami o długą wdzięczności. Ale nie dostał tego od Gabe'a. Otrzymał cichy uśmiech i — kiedy Gabe odrzucił koc i wstał — mocny, pełen wdzięczności i mimo niskiej temperatury zaskakująco ciepły uścisk dłoni. I choć Lou nie powiedział nic więcej, miał wrażenie, że przypieczętowali umowę, której, o ile pamiętał, nie negocjowali.

Byli tego samego wzrostu i ich błękitne oczy wpatrywały się w siebie nawzajem. Gabe spod kaptura naciągniętego na twarz jak u mnicha patrzył na Lou tak intensywnie, że Lou zamrugał i odwrócił wzrok. W tej chwili zrodziła się w nim wątpliwość, teraz, kiedy myśl o dobrym uczynku stawała się rzeczywistością. Ta wątpliwość wdarła się do jego umysłu, niczym uparty gość maszerujący przez hol w hotelu mimo braku rezerwacji, i Lou stał zmieszany, nie wiedząc, jaką decyzję podjąć. Gdzie umieścić tę wątpliwość. Zachować ją czy odesłać. Miał do Gabe'a wiele pytań, pytań, które pewnie powinien był mu zadać, ale w tej chwili przychodziło mu do głowy tylko jedno.

— Mogę ci ufać?

Chciał, żeby go przekonano, uspokojono, ale nie spodziewał się odpowiedzi, którą otrzymał.

Gabe ani mrugnął.

— Bezgranicznie.

Apartament prezydencki dla dżentelmena i jego przyrzeczenia.

Rozdział siódmy

Po namyśle

Gabe i Lou zostawili za sobą lodowate powietrze i zanurzyli się w ciepło marmurowego holu. Granitowe ściany, podłogi i kolumny pokryte były zawijasami w kolorach śmietany, karmelu i czekolady Cadbury, tak że Gabe miał ochotę je polizać. Wiedział, że jest mu zimno, ale póki nie znalazł się w ciepłe, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo. Lou czuł na sobie wzrok wszystkich wokół, kiedy prowadził niechlujnego faceta do męskiej łazienki na parterze. Nie rozumiejąc do końca czemu, zanim zaczął mówić, sprawdził wszystkie kabiny.

— Proszę, przyniosłem ci to. — Podał Gabe'owi stertę nieco zwilgotniałych ciuchów. — Możesz je zatrzymać.

Odwrócił się w stronę lustra; przywrócił włosom idealny kształt, wytarł ślady gradu i deszczu z ramion, próbując wrócić do normalności, zarówno pod względem fizycznym, jak i mentalnym, podczas gdy Gabe powoli przeglądał otrzymane rzeczy. Szare spodnie od Gucciego, biała koszula, biało-szary krawat w paski. Przejeżdżał po nich palcami, ostrożnie, jakby najlżejszy dotyk mógł je zniszczyć.

Porzucił swój koc w umywalce, po czym poszedł się przebrać do kabiny, a w tym czasie Lou chodził wzdłuż pisuarów i odpowiadał na telefony i mejle. Był tak pochłonięty pracą, że kiedy rzuciłem okiem, nie rozpoznał stojącego przed nim mężczyzny i znów skupił się na swoim BlackBerry. Po chwili jednak podniósł powoli głowę, uświadamiając sobie, że to Gabe.

Jedyną wskazówką, że to ten sam człowiek, były brudne martensy wystające spod spodni od Gucciego. Wszystko pasowało idealnie. Gabe stał przed lustrem i przyglądał się sobie uważnie, niczym w transie. Wełniana czapka, którą miał przedtem na głowie, skrywała, jak się okazało, gęste czarne włosy, podobne do

włosów Lou, tyle że zmierzwiłone. Ciepło ogarnęło jego zziębnięte ciało, usta uwydatniły się, pełne i czerwone, a blade dotąd policzki przyjemnie się zaróżowiły.

Lou nie wiedział, co powiedzieć, ale czując, że głębia tej chwili przerasta go, na wszelki wypadek postanowił trzymać się brodzika.

— Co do tego, co mówiłeś mi wcześniej o butach...

Gabe skinął.

— To było dobre. Nie miałbym nic przeciwko, gdybyś zwracał uwagę na tego typu rzeczy. Co pewien czas daj mi znać, co zaobserwowałeś.

Gabe skinął.

— Masz gdzie mieszkać?

— Tak — odparł cicho.

Spojrzał znów na swoje odbicie w lustrze.

— A więc będziesz mógł podać adres Harry'emu? To twój szef.

— Nie ty będziesz moim szefem?

— Nie. — Lou wyciągnął z kieszeni BlackBerry i zaczął przeglądać, ot tak sobie. — Nie, pracujesz w innym... dziale.

— Oczywiście. — Gabe wyprostował się, jakby trochę zażenowany, że pomyślał inaczej. — No tak. Świetnie. Wielkie dzięki, Lou, naprawdę.

Lou zbył to skinieniem, zawstydzony.

— Proszę. — Nie patrząc podał Gabe'owi swój grzebień.

— Dzięki.

Gabe wziął grzebień, zmoczył go pod kranem i zaczął układać rozczochrane włosy. Lou ponaglił go, wyprowadził z łazienki i pomaszerowali razem przez marmurowy hol do windy.

Gabe chciał oddać Lou grzebień, ale ten machnął ręką, jednocześnie rozglądając się, czy nikt z czekających na windę tego nie widzi.

— Zatrzymaj go. Masz numer identyfikacyjny, numer ubezpieczenia, takie rzeczy? — wyrecytował mechanicznie.

Gabe pokręcił głową, zaniepokojony. Przebiegał palcami w górę i w dół jedwabnego krawata, jakby to było zwierzątko, które może uciec.

— Nie martw się, załatwimy to. No dobrze. — Lou zbierał się do odejścia; jednocześnie zadzwonił jego telefon. — Muszę lecieć. Powinienem być teraz w tylu miejscach.

— Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję. Dokąd mam...

Ale Lou już go nie słuchał. Miał przy uchu telefon i kręcił się nerwowo po holu w pół chodzie, pół tańcu, charakterystycznym dla ludzi rozmawiających przez komórkę.

Lewą ręką bawił się drobnymi w kieszeni, a prawą miał przyklejoną do aparatu.

— W porządku, muszę lecieć, Michael.

Wyłączył telefon i prychnął, zobaczywszy, że tłum przed windami się powiększył.

— Trzeba je w końcu naprawić — powiedział głośno.

Gabe utkwił w nim spojrzenie, którego Lou nie rozumiał.

— Co jest?

— Dokąd mam jechać? — zapytał Gabe.

— No tak, przepraszam. Zjeżdżasz piętro niżej. Do biura pocztowego.

— Aha.

W pierwszej chwili Gabe wyglądał na zaskoczonego, ale zaraz jego twarz znowu się rozpogodziła.

— Świetnie, dzięki. — Skinął głową.

— Pracowałeś kiedyś w biurze pocztowym? Założę się, że to... ciekawe zajęcie.

Lou wiedział, że proponując pracę Gabe'owi, zdobył się na szczodry gest i że nie ma nic złego w stanowisku, które mu załatwił, ale z jakiegoś powodu czuł, że to nie wystarczy, że stojący przed nim młody mężczyzna nie tylko może znacznie więcej, ale i znacznie więcej oczekuje. Nie znajdował żadnego rozsądnego

wytłumaczenia, skąd wzięło się to wrażenie, gdyż Gabe był ciągle równie łagodny, przyjazny i wdzięczny jak przy ich pierwszym spotkaniu. Ale było coś w sposobie, w jaki... no po prostu coś było.

— Chcesz się może spotkać na lunch...? — spytał z nadzieją Gabe.

— Nie dam rady — odparł Lou, w jego kieszeni znowu zadzwonił telefon. — Mam strasznie wypełniony dzień i muszę...

Zamilkł, kiedy drzwi windy się otworzyły i ludzie zaczęli wsiadać. Gabe ruszył za Lou.

— Ta jedzie na górę - powiedział cicho Lou. Jego słowa były jak barierka odgradzająca Gabe'a od wejścia.

— Aha. Dobra.

Gabe cofnął się o kilka kroków. Zanim drzwi się zamknęły, kiedy do windy wbiegało kilka ostatnich osób, Gabe spytał:

— Czemu to dla mnie robisz?

Lou przełknął ślinę i włożył ręce głęboko do kieszeni.

— Potraktuj to jako prezent.

Drzwi się zamknęły.

Kiedy Lou w końcu dotarł na czternaste piętro i wszedł do swojej strefy biurowej był co najmniej zdziwiony, widząc Gabe'a, jak pcha wózek z pocztą i rozkłada paczki i listy na biurkach pracowników.

Nie wiedział, co powiedzieć, i przebiegając myślami, ile czasu zajęło mu dotarcie na górę, gapił się tylko na Gabe'a z otwartymi ustami.

— Eee... — Gabe rozejrzał się niepewnie na boki. — To trzynaste piętro, prawda?

— Czternaste — odparł bez tchu Lou, automatycznie, ledwo zdając sobie sprawę, co mówi. — Oczywiście powinieneś tu być, tyle że...

Przyłożył rękę do czoła. Było gorące. Miał nadzieję, że nie pochorował się od przebywania na deszczu bez płaszcza.

— Dotarłeś tu tak szybko, że po prostu... nieważne. — Pokręcił głową. — Te

cholerne windy — mruknął sam do siebie, kierując się do swojego biura.

Alison zerwała się z krzesła i zagroziła mu drogę.

— Dzwoni Marcia — powiedziała donośnie. — Znowu.

Gabe dojechał wózkiem do biura na końcu pluszowego korytarza. Jedno kółko piszczało głośno. Lou przez chwilę przyglądał się ze zdumieniem mężczyźnie, po czym oprzytomniał.

— Naprawdę nie mam czasu, Alison. Powinienem być teraz zupełnie gdzie indziej, a tymczasem, zanim będę mógł wyjść, muszę odbyć jeszcze jedno spotkanie. Gdzie moje klucze?

Przeszukał kieszenie płaszcza wiszącego na stojaku w kącie.

— Dzwoniła dziś trzy razy — syknęła Alison, zasłaniając słuchawkę dłonią i odsuwając ją od siebie, jakby to była trucizna. — Ona chyba nie wierzy, że przekazuję ci jej wiadomości.

— Wiadomości? — zażartował Lou. — Nie przypominam sobie żadnych wiadomości.

Alison wydała z siebie pisk paniki i uniosła słuchawkę wyżej, by Lou nie mógł jej dosięgnąć.

— Nie waż się mi tego zrobić! Nie zwalaj winy na mnie! Na twoim biurku leżą już trzy wiadomości, tylko z rana! Zresztą twoja rodzina i tak mnie już nienawidzi.

— I ma rację, prawda?

Stanął tak blisko niej, że oparła się o biurko, posłał jej spojrzenie, od którego ciało Alison osłabło, i pozwolił dwóm palcom powoli wspiąć się po jej rękę aż do dłoni, z której wyjął telefon. Usłyszał za sobą kaszlnięcie; odsunął się szybko i przyłożył telefon do ucha. Udając, że nic go to nie obchodzi odwrócił się od niechcienia, by sprawdzić, kto im przeszkodził.

Gabe. Z wózkiem na pocztę, którego piszczenie tym razem jakimś cudem nie ostrzegło Lou.

— Słucham, Marcio — zwrócił się do siostry na linii. — Tak, oczywiście, że

dostałem twoje dziesięć tysięcy wiadomości. Alison bardzo uprzejmie przekazała mi wszystkie.

Uśmiechnął się słodko do Alison, która pokazała mu język, a następnie poprowadziła Gabe'a do gabinetu Lou. Lou stanął na palcach i obserwował Gabe'a.

Wkroczywszy do środka za Alison Gabe zaczął się rozglądać po ogromnym pomieszczeniu niczym dziecko w zoo. Lou widział, jak rejestruje dużą łazienkę po prawej stronie, okna na całą ścianę z widokiem na miasto, ogromne dębowe biurko, które zajmowało więcej miejsca niż to konieczne, kanapy w lewym rogu, długi stół do posiedzeń dla dziesięciu osób, pięćdziesięciocalową plazmę na ścianie. Gabinet był tak duży, a może nawet większy niż mieszkanie w centrum Dublina.

Głowa Gabe'a obracała się na wszystkie strony, jego oczy starały się objąć wszystko. Miał dziwnie zagadkowy wyraz twarzy. Wtedy spotkali się z Lou wzrokiem i Gabe się uśmiechnął. Uśmiechem równie dziwnym. Nie podziwu, którego Lou oczekiwał, ale też z całą pewnością nie zazdrości. Raczej rozbawienia. Cokolwiek to było, natychmiast zabiło uczucie dumy i satysfakcji — następne w kolejce emocje, których Lou miał teraz doświadczyć. Ten uśmiech był przeznaczony tylko dla niego, ale kłopot w tym, że Lou nie miał pewności, czy to on jest przedmiotem żartu, czy też śmieją się z czegoś obaj. Nieprzyzwyczajony do braku pewności, jakiego nagle doznał, tylko skinął Gabe'owi.

Tymczasem po drugiej stronie linii Marcia dalej bezmyślnie trajkotała i Lou poczuł, że głowa mu płonie.

— Lou? Słuchasz mnie? — spytała swoim cichym głosem.

— Oczywiście, ale nie mogę dłużej rozmawiać, bo powinienem być teraz w dwóch różnych miejscach, a żadne nie jest tutaj — odrzekł, a po chwili zaśmiał się, żeby złagodzić cios.

— Tak, wiem, jaki jesteś zajęty — powiedziała, po czym bez cienia

złośliwości dodała: — Nie przeszkadzałabym ci w pracy, gdybyśmy raz na jakiś czas spotykali się w niedzielę.

— No i zaczyna się. — Przewrócił oczami w oczekiwaniu na zwyczajową tyradę.

— Nie będę prawić ci kazań, po prostu mnie posłuchaj, proszę. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Nie zawracałabym ci głowy, ale oboje z Rickiem jesteśmy teraz zajęci papierami rozwodowymi i... — Westchnęła. — W każdym razie chciałabym, żeby dobrze wyszło, a sama nie dam rady.

— Naturalnie.

Nie był pewny, z czym siostra da, bądź nie da sobie rady, gdyż nie miał pojęcia, o czym mówi. Był całkowicie pochłonięty narastającą paranoją wywołaną zachowaniem Gabe'a w jego gabinecie. Rozciągnął kabel telefonu, tak by sięgnąć do wieszaka i zdjąć z niego płaszcz. W chaosie wkładania płaszcza i jednoczesnego przytrzymywania słuchawki ramieniem, upuścił ją. Najpierw poprawił płaszcz, a następnie podniósł telefon. Marcia wciąż mówiła.

— Możesz więc chociaż odpowiedzieć na pytanie w kwestii miejsca?

— Miejsca — powtórzył. W kieszeni zadzwoniła komórka i przykrył ręką głośnik, marząc tylko o tym, żeby odebrać to połączenie.

Marcia przez chwilę milczała.

— Tak. Miejsca — powiedziała tak cicho, że Lou musiał wyteńczyć słuch, by ją usłyszeć.

— A tak, miejsca na... — Posłał błagalne spojrzenie Alison, która porzuciła Gabe'a i wypadła z gabinetu z jaskrawożółtą karteczką.

— Aha! — wykrzyknął Lou, wzięwszy od niej karteczkę. — Na przyjęcie urodzinowe twojego taty — przeczytał powoli — czyli mojego taty. Szukasz miejsca na urodziny taty.

Lou znowu poczuł za plecami czyjaś obecność.

— Tak — potwierdziła z ulgą Marcia. — Ale nie potrzebuję miejsca, mamy dwa, już ci mówiłam. Chcę, żebyś pomógł mi wybrać. Quentin woli jedno, ja

drugie, a mama nie chce się wtrącać i...

— Możesz zadzwonić do mnie na komórkę? Naprawdę muszę lecieć. Spóźnię się na spotkanie.

— Nie, Lou! Po prostu powiedz mi, gdzie...

— Posłuchaj, mam świetne miejsce — przerwał jej znowu, patrząc na zegarek. — Tacie bardzo się spodoba i wszyscy będą się świetnie bawić — dodał nagle.

— Nie chcę na tym etapie wprowadzać nowej opcji. Wiesz, jaki jest tata. To ma być małe, intymne spotkanie rodzinne, w miejscu, w którym czuje się swobod...

— Intymnie i swobodnie. Rozumiem. — Wyjął długopis z ręki Alison i zrobił krótką notatkę, powierzając jej organizację przyjęcia. — Świetnie. Jaki to ma być dzień?

— Jego urodziny. — Głos Marcii cichł z każdą odpowiedzią.

— No tak, jego urodziny.

Lou posłał pytające spojrzenie Alison, która zanurkowała po swój kalendarz i zaczęła błyskawicznie przerzucać kartki.

— Myślałem, że lepiej zorganizować przyjęcie w weekend, żeby wszyscy mogli naprawdę zaszaleć. Wiesz, pozwolić wujkowi Lou pokazać, co potrafi na parkiecie. — Zachichotał złośliwie.

— Właśnie zdiagnozowano u niego raka prostaty.

— Nie o tym mówiłem. Który to będzie w najbliższy weekend?

— Urodziny taty wypadają w piątek — odparła zmęczona. — Są dwudziestego pierwszego grudnia, Lou. Tak samo jak w zeszłym roku i we wszystkie inne lata.

— No tak, dwudziesty pierwszy grudnia. — Posłał oskarżycielskie spojrzenie Alison, która spochmurniała, bo nie dowiedziała się pierwsza. — Czyli następny weekend, czemu zostawiłaś wszystko na ostatnią chwilę?

— Nie zostawiłam. Już ci mówiłam, że wszystko ustalone. Oba miejsca są gotowe.

Lou znowu przestał jej słuchać, zabrał Alison kalendarz i zaczął go przeglądać.

— Ach, nie uwierzysz, ale nic z tego. To dzień imprezy biurowej i naprawdę muszę tu być. Przyjdą ważni klienci. Przyjęcie taty można urządzić w sobotę. Będę musiał przełożyć parę spraw — myślał na głos — ale tak, w sobotę może być.

— To siedemdziesiąte urodziny twojego ojca, nie możesz zmienić daty z powodu imprezy w biurze — powiedziała z niedowierzaniem. — Poza tym muzyka, jedzenie, wszystko jest już zamówione na ten dzień. Musimy tylko zdecydować gdzie, wybrać jedno z dwóch miejsc...

— Odwołaj to wszystko — powiedział Lou, zeskakując z rogu biurka, na którym przysiadł, i przygotowując się do zakończenia rozmowy. — Miejsce, o którym myślę, zapewnia własny catering i muzykę, nie będziesz musiała nawet kiwnąć palcem, dobrze? Czyli sprawa załatwiona. Świetnie. Dam ci teraz Alison, żeby mogła sobie wszystko zapisać.

Położył telefon na biurku i złapał aktówkę. Mimo że czuł obecność Gabe'a za sobą, nie odwrócił się, tylko spytał, zbierając dokumenty z biurka Alison i układając je w teczce:

— Jak tam, Gabe?

— Świetnie. Pomyślałem, że zjadę z tobą windą, zważywszy, że udajemy się w tym samym kierunku.

— Och.

Lou zamknął aktówkę i ruszył szybko do windy, ogarnięty nagłym lękiem, że popełnił duży błąd i teraz będzie musiał pokazać Gabe'owi, iż nie dał mu pracy dlatego, że kogoś szukał. Wcisnął guzik i czekając, aż winda wjedzie na ich piętro, zajął się swoim telefonem.

— A więc masz siostrę? — spytał cicho Gabe.

— Tak — odparł, wciąż pisząc SMS-a. Czuł się tak, jakby znów był w szkole i próbował się odczepić od nielubianego dzieciaka, dla którego raz był miły. Oczywiście, akurat teraz jego telefon postanowił nie zadzwonić.

— To fajnie.

— Mhm.

— Co mówisz?

Gabe powiedział to tak szorstko, że Lou gwałtownie poderwał głowę.

— Nie dosłyszałem — ciągnął Gabe, niczym nauczyciel.

Wtedy z jakiegoś nieznanego powodu Lou ogarnęło poczucie winy i schował telefon do kieszeni.

— Przepraszam, Gabe. — Wytarł czoło. — To dziwny dzień. Nie jestem dziś sobą.

— W takim razie kim jesteś?

Lou spojrzał na niego zmieszany, ale Gabe tylko się uśmiechnął.

— Mówiłeś o swojej siostrze.

— Tak? Cóż, Marcia zachowuje się jak to zwykle ona. — Westchnął. — Ciągłe do mnie wydzwania w sprawie przyjęcia z okazji siedemdziesiątych urodzin taty. Wypadają, niestety, tego samego dnia co impreza firmowa, a to kłopot, sam rozumiesz. Tutaj zawsze jest niezła zabawa. — Spojrzał na Gabe'a i mrugnął. — Przekonasz się. Ale teraz ja zajmę się całą organizacją, żeby Marcia mogła odetchnąć.

— Myślisz, że organizowanie przyjęcia nie sprawia jej przyjemności?

Lou odwrócił wzrok. Marcia bardzo się cieszyła tym przyjęciem, planowała je całe rok. Przejmując dowodzenie, tak naprawdę ułatwiał życie sobie. Nie mógł znieść dwudziestu telefonów dziennie w sprawie tortu albo tego, czy przenocuje trzy niedołączne ciotki i czy pożyczy kilka łyżek do nakładania potraw. Odkąd małżeństwo Marcii padło myślała tylko o przyjęciu. Lou uważał, że gdyby poświęcała związkowi tyle uwagi, ile tej cholernej imprezie, nie wyplakiwałyby się teraz codziennie przyjaciółkom na siłowni. Odbierając siostrze kontrolę, wyświadczył przysługę jej i sobie. Dwa cele osiągnięte za jednym razem. Tak jak lubi.

— Ale pójdziesz na przyjęcie taty, prawda? — spytał Gabe. — Kończy

siedemdziesiąt lat. — Gwizdnął. — Chyba nie chcesz tego zlekceważyć.

Irytacja i niepokój powróciły. Niepewny, czy Gabe prawi mu kazanie, czy po prostu próbuje być miły, Lou zerknął na niego dyskretnie, ale Gabe spokojnie przeglądał koperty w swoim wózku, żeby ustalić, na które piętro powinien się teraz udać.

— Oczywiście, że pójdę. — Lou przykleił sobie do twarzy sztuczny uśmiech. — Wpadnę na chwilę, na jakimś etapie. Taki jest plan.

Zabrzmiało to bardzo sztucznie. Czemu, u diabła, się tłumaczy?

Gabe nic na to nie powiedział i po kilku sekundach pełnej napięcia ciszy Lou wcisnął kilkakrotnie guzik windy.

— Ależ one są cholernie powolne — mruknął.

W końcu drzwi się otworzyły i okazało się, że w zatłoczonej windzie jest miejsce tylko dla jednej osoby.

Gabe i Lou spojrzeli na siebie nawzajem.

— No, niech jeden wsiada — warknął ze środka jakiś zrzęda.

— Jedź — powiedział Gabe. — Ja muszę zwieźć to. — Wskazał na wózek. — Złapię następną.

— Jesteś pewny?

— Pocałujcie się wreszcie — zawołał jeden facet, a pozostali się roześmiali.

Lou wsiadł pośpiesznie; nie mógł oderwać wzroku od zimnego spojrzenia Gabe'a, aż drzwi się zamknęły i winda ruszyła w dół.

Po zaledwie dwóch przystankach dotarli na parter i ściśnięty w kącie Lou poczekał, aż wszyscy wysiądą. Patrzył, jak pracownicy pędzą do drzwi, w drodze na lunch, zakutani i gotowi zmierzyć się z żywiołem.

Tłum się rozszedł i serce mu zamarło na widok Gabe'a. Stał przy biurku ochrony ze swoim wózkiem i szukał wzrokiem Lou.

Lou powoli wysiadł i ruszył ku niemu.

— Zapomniałem zostawić na twoim biurku to. — Gabe wręczył mu cienką kopertę. — Ukryła się wśród listów innych osób.

Lou wziął przesyłkę i nawet na nią nie spojrzawszy, wcisnął do kieszeni płaszcz.

— Coś nie tak? — spytał Gabe, ale w jego głosie nie było słyhać niepokoju.

— Nie. Nic. — Lou ani na chwilę nie oderwał od niego wzroku. — Jak dotarłeś tu tak szybko?

— Tu? — Gabe wskazał na podłogę.

— Tak, tu — powiedział sarkastycznie Lou. — Na parter. Czekales na następną windę. Na czternastym piętrze. Mniej niż trzydzieści sekund temu.

— No tak — zgodził się Gabe z uśmiechem. — Nie powiedziałbym jednak, że to było trzydzieści sekund temu.

— No i?

— No i... — zawahał się. — Po prostu dotarłem tu szybciej niż ty.

Wzruszył ramionami, po czym odblokował stopą hamulec wózka, mając zamiar odejść. Wtedy zaczął dzwonić telefon Lou, a jego BlackBerry zasygnalizowało, że dostał mejla.

— Lepiej już leć — rzucił na odchodne Gabe. — Masz jeszcze obskoczyć tyle miejsc, tylu ludzi — powtórzył wcześniejsze słowa Lou.

Następnie obdarzył go porcelanowym uśmiechem, który przyniósł skutek odwrotny niż przyjemne, ciepłe uczucie, jakie wzbudził w Lou rankiem. Tym razem posłał strzały przerażenia — wprost do jego serca i głowy. Tu i tam. Jednocześnie.

Rozdział ósmy

Pączek i szarlotka

Była dziesiąta trzydzieści wieczór, kiedy miasto wypłuło z siebie Lou na nadbrzeżną drogę prowadzącą do jego domu w Howth w hrabstwie Dublin. Na

skraju morza wzdłuż wybrzeża ciągnął się rząd domów, niczym ozdobna rama idealnej akwareli. Przewiane wiatrem i od wieków nasączone słonym powietrzem, nabrały amerykańskiego ducha świętowania — na ich rozświetlonych dachach poumieszczano wielkich Mikołajów i renifery. W każdym oknie z rozsuniętymi zasłonami jaśniały lampki na choinkach i Lou przypomniał sobie, jak będąc chłopcem, próbował zliczyć jak najwięcej widocznych choinek, żeby zabić czas w samochodzie. Po prawej stronie za zatoką widział Dalkey i Killiney. Światła Dublina lśniły za oleistą czernią morza, niczym węgorze pobłyskujące w ciemności studni.

Odkąd pamiętał Howth było jego wymarzonym miejscem. Dosłownie — tam zrodziło się jego pierwsze wspomnienie, pierwsze pragnienie, potrzeba przynależności i jej spełnienie. Port rybacki i jachtowy na północy hrabstwa Dublin stanowi pełen życia podmiejski kurort po północnej stronie Howth Head, piętnaście kilometrów od Dublina. To miejscowość z historią; ścieżki wiodą urwiskiem za miasteczko Howth i ruiny opactwa — stoi tam piętnastowieczny zamek z ogrodami różaneczników, a wybrzeże punktuje liczne latarnie. Okolica cieszy się dużą popularnością i pełno tu pubów, hoteli i dobrych restauracji rybnych. Rozciągają się stąd zapierające dech w piersiach widoki na Zatokę Dublińską, góry Wicklow czy — dalej — dolinę Boyne. Howth to półwysep połączony z resztą kraju zaledwie skrawkiem ziemi. Tylko skrawek lądu między codziennością Lou a życiem jego rodziny. Zwykły paseczek, tak że gdy nadeszły burzliwe dni, Lou obserwował rozwścieczoną Liffey z okna biura i wyobrażał sobie, jak szare dzikie fale rozbijają się o ten skrawek, pochłaniają go niczym płomienie, grożąc, że odetną jego bliskich od lądu. Czasem był w tych marzeniach na jawie z dala od rodziny, rozdzielony z nimi na zawsze. W miłszej wersji był z żoną i dziećmi, obejmował ich mocno i osłaniał przed żywiołem.

Za ich dużym, starannie zaprojektowanym ogrodem rozciągał się dziki i surowy teren nad Zatoką Dublińską, porośnięty fioletowym wrzosem, nieuprawnym zbożem i trawami po pas. Przed sobą mieli Ireland's Eye, Oko

Irlandii, i w pogodny dzień widok był zniewalający: jakby z chmur spuszczone zielony ekran i rozciągnięto go aż po dno oceanu. Z portu wychodziło na morze molo, po którym Lou uwielbiał spacerować — w samotności. Nie zawsze tak było; jego miłość do molo narodziła się, kiedy był dzieckiem. W każdą niedzielę, niezależnie od pogody, rodzice przywozili tu jego, Marcie i starszego brata Quentina na spacer. Te dni bywały tak słoneczne i gorące, że Lou do dziś pamięta smak lodów, albo tak burzliwe, że musieli się trzymać siebie nawzajem, by silny wiatr nie porwał ich do morza.

W te rodzinne dni Lou znikał w swoim własnym świecie. Wtedy bywał piratem na wzburzonych morzach. Ratownikiem. Żołnierzem. Albo wielorybem. Był wszystkim, czym chciał. Wszystkim, czym nie był. Każdy spacer zaczynał tyłem; patrzył na ich samochód na parkingu, aż żywa czerwień się zacierała, a ludzie zamieniali się w pingwiny: czarne punkty, które kręcały się bez żadnego określonego celu.

Nadal uwielbiał chodzić po tym molo, swojej drodze do spokoju. Uwielbiał patrzeć, jak samochody i domy wznoszące się na skraju klifu stopniowo przestają być widoczne, gdy coraz bardziej oddalał się od lądu. Stawał ramię w ramię z latarnią i razem patrzyli przed siebie. Po długim tygodniu w pracy mógł wyrzucić wszystkie swoje niepokoje i zmartwienia do wody i patrzeć, jak z pluskiem lądują na falach, po czym pogrążają się w otchłani, a w końcu opadają na dno.

Ale kiedy wracał wieczorem do domu po pierwszym spotkaniu z Gabe'em, było już za późno na spacer po molo. Jego zmysł postrzegania wyłączył się, widział tylko ciemność i pojedyncze błyski latarni. Mimo późnej pory w środku tygodnia w miasteczku nie było typowej dla niego ciszy i spokoju. Bliskość świąt sprawiała, że każda restauracja pełna była gości i tętniła radością świątecznych imprez i dorocznych spotkań. Wszystkie łodzie wróciły do portu, a foki poznikały z molo z brzuchami wypełnionymi makrelami, które kupują i rzucają im turyści. Drogę wijącą się pod górę na szczyt spowijały ciemność i cisza. Czując, że dom jest blisko, a wokół nie ma nikogo, Lou wcisnął gaz w swoim porsche 911.

Otworzył okno i poczuł we włosach lodowate powietrze, wsłuchał się w dźwięk silnika niosący się wśród wzgórz i drzew. Pod nim miasto jaśniało milionami świateł i śledziło go, jak wspina się na porośniętą drzewami górę, niczym pajak w trawie.

Wisienką na torcie po dniu, który miał za sobą, okazał się dźwięk syreny. Spojrzał w tylne lusterko i przeklął głośno radiowóz ze świecącym kogutem, który pojawił się za porsche. Zdjął nogę z gazu, w nadziei że samochód go wyprzedzi, ale nic z tego — to on był jego celem. Wrzucił kierunkowskaz i zatrzymał się. Siedział z rękami na kierownicy i patrzył, jak znajoma postać wysiada z radiowozu. Mężczyzna powoli podszedł do samochodu od jego strony, rozglądając się po nocnym krajobrazie, jakby był na przechadzce; tym samym dał Lou czas na przekopanie umysłu w poszukiwaniu nazwiska sierżanta. Lou wyłączył dudniącą muzykę i przyjrzał się policjantowi w bocznym lusterku w nadziei, że to pomoże mu przypomnieć sobie jego nazwisko.

Mężczyzna stanął przy drzwiach, pochylił się i zajrzał w otwarte okno.

— Pan Suffern — powiedział bez cienia ironii, ku znacznej uldze Lou.

— Sierżant O'Reilly. — Jak na zawołanie przypomniał sobie nazwisko i posłał mu szeroki uśmiech, pokazując tyle zębów, że przypominał spiętego szympansa.

— Znowu się spotykamy w tych samych okolicznościach. — Sierżant O'Reilly się skrzywił. — Ma pan pecha, że obaj wracamy do domu o tej samej porze.

— Owszem, sierżancie. Bardzo przepraszam, droga była pusta, myślałem, że mogę trochę przyspieszyć. Wokół ani grzesznika.

— Tylko kilku niewinnych. W tym właśnie problem.

— Ja też do nich należę, wysoki sędzie. — Lou się zaśmiał, unosząc ręce w obronnym geście. — To ostatni odcinek drogi przed moim domem, proszę mi wierzyć, przygazowałem dosłownie kilka sekund, zanim mnie pan zatrzymał. Umieram z tęsknoty za rodziną. Przepraszam, to nie miał być dowcip.

— Słyszałem pański silnik w Sutton Cross, daleko stąd.

— Mamy cichą noc.

— A to głośny silnik, zdaję sobie z tego sprawę, ale nigdy nie wiadomo, panie Suffern. Nigdy nie wiadomo.

— Pewnie nie puści mnie pan z kolejnym upomnieniem.

Lou postarał się zawrzeć w swoim najbardziej przekonującym uśmiechu szczerłość i skruchę. Jedno i drugie równocześnie.

— Zakładam, że wie pan, jaka jest dopuszczalna prędkość na tej drodze?

— Sześćdziesiąt na godzinę.

— Nie sto...

Sierżant nagle umilkł i wyprostował się gwałtownie, przez co Lou stracił z nim kontakt wzrokowy i miał teraz przed oczami jego klamrę od paska. Niepewny, o co chodzi, pozostał na miejscu i przeniósł wzrok na drogę rozciągającą się przed autem. Miał nadzieję, że nie dostanie kolejnych punktów karnych. Przy dopuszczalnych dwunastu ze swoimi ośmioma był już niebezpiecznie blisko utraty prawa jazdy. Zerknął na sierżanta i zobaczył, że ten chwyta się za kieszeń na lewej piersi.

— Szuka pan długopisu? — zawołał Lou, sięgając do wewnętrznej kieszeni.

Sierżant skrzywił się i odwrócił do niego tyłem.

— Wszystko w porządku? — spytał zaniepokojony Lou. Sięgnął do klamki, ale uznał, że lepiej się nie ruszać.

Sierżant mruknął coś niezrozumiałego, ale ton wskazywał na ostrzeżenie. Lou widział w bocznym lusterku, jak powoli wraca do radiowozu. Miał dziwny chód. Jakby nieznacznie ciągnął za sobą lewą nogę. Czyżby był pijany? Sierżant otworzył drzwi, wsiadł z powrotem do auta, odpalił silnik, zawrócił i zniknął. Lou zmarszczył brwi. Ten dzień — nawet o zmierzchu — z każdą chwilą stawał się dziwniejszy.

Zatrzymał się na podjeździe z tym samym poczuciem dumy i satysfakcji, jakiego doświadczał przy każdym powrocie do domu. Dla większości zwykłych ludzi rozmiar nie ma znaczenia, ale Lou nie chciał być zwykły, w rzeczach należących do niego widział miarę tego, jakim jest człowiekiem. Chciał

wszystkiego, co najlepsze, a rozmiar i ilość stanowiły dla niego wyznacznik jakości. Mimo że mieszkali w bezpiecznym zaułku, wśród zaledwie kilku domów, kazał podnieść wyżej istniejące ogrodzenie i wstawić przy wjeździe potężną elektroniczną bramę z kamerami.

W sypialniach dzieci i we frontowej części domu światła były pogaszone i Lou natychmiast poczuł niewytłumaczalną ulgę.

— Jestem — zawołał do cichego domu.

Z pokoju telewizyjnego w głębi korytarza dobiegał przytłumiony, zdyszany i dość histeryczny głos kobiety wykrzykującej jakieś komendy. DVD z ćwiczeniami Ruth.

Rozluźnił krawat i rozpiął guzik koszuli, zdjął buty i poczuł, jak ciepło podgrzewanej marmurowej podłogi koi mu stopy, po czym zabrał się do przeglądania poczty na stoliku. Jego umysł powoli się rozprężył, rozmowy przeprowadzone na różnych spotkaniach i przez telefon zaczęły zwalniać tempo. Choć wciąż je słyszał, głosy wydawały się teraz cichsze. Z każdą zdjętą warstwą ciuchów — płaszczem rzuconym na i krzesło, marynarką na stolik, butami porzuconymi na podłodze, krawatem, który zsunął się z blatu na podłogę, teczką tu, drobnymi i kluczami tam — Lou czuł, że spływają z niego wydarzenia dnia.

— Hej — zawołał znowu, tym razem głośniejszy, uzmysłowiwszy sobie, że nikt — czyli żona — nie wyszedł mu na powitanie. Może jest zajęta oddychaniem do czterech, tak jak ta histeryczna kobieta w pokoju telewizyjnym.

— Ćśś — dobiegło go z piętra, po czym rozległo się skrzypienie podłogi, kiedy żona ruszyła w stronę schodów.

To mu się nie podobało. Nie skrzypienie, bo dom był stary i niewiele można było na nie poradzić, ale uciszanie. Przez cały dzień nieprzerwanego potoku słów, mądrego żargonu, perswazji i inteligentnych rozmów, rozpoczynania, przeprowadzania i zamykania projektów, ani jedna osoba na żadnym etapie nie powiedziała mu „ćśś”. To język nauczycielek i bibliotekarek. Nie dorosłych we własnych domach. Miał wrażenie, że zostawił za sobą prawdziwy świat i

wkroczył do żłobka. Zaledwie minutę po przekroczeniu drzwi wejściowych już czuł irytację. Ostatnio często tak było.

— Dopiero co uśpiłam Pączka. Jest dziś niespokojny — wyjaśniła głośnym szeptem ze szczytu schodów Ruth.

Choć Lou rozumiał, czemu się tak mówi, nie lubił tego. Tak jak „ćśś”, to dorosłe szeptanie było dobre dla dzieci na lekcji albo nastolatków ukradkiem wychodzących lub wchodzących do domu. Lou nie lubił ograniczeń, zwłaszcza kiedy był u siebie. Więc to też go zirytowało.

Mówiąc o Pączku Ruth miała na myśli ich syna Rossa. Miał teraz trochę ponad rok i nie stracił jeszcze dziecięcego tłuszczu. Jego ciało przypominało surowe ciasto na croissanty lub pączki. Stąd przydomek Pączek, które — na nieszczęście ochrzczonego już Rossa — najwyraźniej przyłgnęło do niego na dobre.

— Co nowego? — spytał Lou, mając na myśli niechęć Pączka do snu; jednocześnie przeglądał pocztę w poszukiwaniu czegoś, co nie przypomina rachunku. Otworzył kilka kopert i porzucił je na stoliku. Skrawki papieru opadły na podłogę.

Ruth zeszła na dół, ubrana w welurową piżamę lub dres; nie odróżniał strojów, które ostatnio nosi. Długie czekoladowe włosy związała w wysoki kucyk, a na nogach miała kapcie, które szurały, kiedy szła. Ten dźwięk był dla jego uszu torturą gorszą niż szum odkurzacza, który dotąd wiódł prym wśród najbardziej znieawidzonych odgłosów.

— Cześć. — Uśmiechnęła się, a wtedy znikła zmęczona twarz i na ułamek sekundy Lou dostrzegł ślad kobiety, którą poślubił. Potem, równie szybko, błysk zniknął i Lou nie był pewien, czy go sobie nie wyobraził, czy ta część jej jeszcze istnieje. Twarz kobiety, którą widzi codziennie, zbliżyła się, by pocałować go w usta.

— Udany dzień? — spytała.

— Pracowity.

— Ale udany?

Jego uwagę przyciągnęła zawartość jednej koperty. Po dłuższej chwili poczuł na sobie palące spojrzenie.

— Hmm? — Podniósł wzrok.

— Spytałam, czy miałeś udany dzień.

— Tak, a ja odpowiedziałem, że pracowity.

— Tak, na co ja spytałam, czy mimo to udany. Wszystkie twoje dni są pracowite, ale nie wszystkie są udane. Mam nadzieję, że ten był — powiedziała z napięciem w głosie.

— Twój ton jakoś na to nie wskazuje — odparł ze spuszczonym wzrokiem, czytając resztę listu.

— Mój ton jest taki sam jak przy pierwszym pytaniu — zauważyła swobodnie.

— Ruth, czytam pocztę!

— Widzę — mruknęła, schylając się po leżące na podłodze i na stoliku podarte puste koperty.

— Jak wam minął dzień? — Otworzył kolejną kopertę. Kawalek papieru znów spłynął na podłogę.

— Szaleństwo jak zwykle. A potem tuż przed twoim powrotem posprzątałam po raz milionowy — powiedziała znacząco, schylając się po kolejny zgnieciony papier. — Było kilka telefonów od Marcii, do ciebie. Kiedy w końcu udało mi się znaleźć słuchawkę. Pączek znowu ją schował i minęły wieki, nim ją namierzyłam. Marcia potrzebuje pomocy przy wyborze miejsca na przyjęcie waszego taty. Spodobał jej się pomysł, żeby ustawić tu duży namiot, a Quentinowi oczywiście nie. On chce, żeby urodziny odbyły się w jachtklubie. Ja myślę, że waszemu ojcu podobałyby się oba miejsca — nie, to nieprawda, myślę, że ojciec wolałby, żeby jego przyjęcie nie odbywało się nigdzie, ale zważywszy, że nie ma nic do powiedzenia, pewnie

będzie mu wszystko jedno. Twoja mama się nie wtrąca. A co ty jej powiedziałaś?

Cisza. W oczekiwaniu na odpowiedź Ruth cierpliwie patrzyła, jak mąż czyta ostatnią stronę dokumentu. Złożył go i rzucił na stolik, po czym sięgnął po następną kopertę.

— Skarbie?

— Mhmmm?

— Pytałam cię o Marcie — powiedziała przez zaciśnięte zęby, po czym schyliła się, żeby podnieść z podłogi nowe śmieci.

— A tak. — Otworzył kolejny list. — Ona po prostu, ech... — Treść listu go rozkojarzyła.

— Tak? — spytała głośno Ruth.

Podniósł wzrok i spojrzał na nią, jakby dopiero teraz zauważył, że stoi obok.

— Dzwoniła w sprawie przyjęcia. — Skrzywił się. — Wiem.

— Skąd wiesz?

Wrócił do lektury.

— Bo... nieważne.

Od początku.

— Jest taka podekscytowana tym przyjęciem, prawda? Wspaniale, że coś ją tak pochłonęło po roku, jaki ma za sobą. Opowiadała jak najęta o jedzeniu i muzyce... — Zamilkła.

Cisza.

— Mhmm?

— Marcia — powiedziała Ruth, trąc zmęczone oczy. — Rozmawiamy o Marcii, ale jesteś zajęty, więc... — Ruszyła w stronę kuchni.

— A, to. Wziąłem na siebie organizację przyjęcia. Alison się tym zajmie.

Ruth się zatrzymała.

— Alison?

— Tak, moja sekretarka. Jest nowa. Znasz ją?

— Jeszcze nie. — Podeszła do niego powoli. — Skarbie, Marcia była bardzo podekscytowana przygotowaniami do przyjęcia.

— A teraz Alison... nie jest. — Zarechotał.

Ruth uśmiechnęła się cierpliwie, ale raczej chciała go udusić za to, że odebrał Marcii planowanie przyjęcia i powierzył je kobiecie, nie mającej pojęcia o człowieku, świętującym siedemdziesiąt lat na tym świecie z ludźmi, których kocha i którzy jego kochają.

Wzięła głęboki wdech, a gdy wypuszczała powietrze, jej ramiona się rozluźniły. Jeszcze raz, od nowa.

— Kolacja czeka. — Znowu skierowała się w stronę kuchni. — Zaraz podgrzeję. I kupiłam tę szarlotkę, która ci tak smakuje.

— Już jadłem.

Złożył list i podał go na kawałki. Kilka skrawków sfrunęło na podłogę. Czy to z powodu szelestu papieru lądującego na marmurze, czy z powodu słów Lou Ruth zamarła w pół kroku.

— Podniosę te cholerne śmieci — powiedział zirytowany.

Odwróciła się powoli i spytała cicho:

— Gdzie jadłeś?

— W Shanahan's. Antrykot. Jestem pełny. — W roztargnieniu pomasaował brzuch.

— Z kim?

— Z kolegami z pracy.

— To znaczy z kim?

— Co to, hiszpańska inkwizycja?

— Nie, tylko żona pyta męża, z kim jadł kolację.

— Z kilkoma gośćmi z biura. Nie znasz.

— Szkoda, że mi nie powiedziałeś.

— To nie było wyjście towarzyskie. Inni też nie wzięli żon.

— Nie to miałam na myśli. Gdybym wiedziała nie zawracałabym sobie głowy kolacją dla ciebie.

— Chryste, Ruth, przykro mi, że przygotowałaś posiłek i kupiłaś cholerne

ciastko! — wybuchnął.

— Ćśś — syknęła, zamykając oczy i modląc się, żeby jego podniesiony głos nie obudził dziecka.

— Nie, nie uciszę się! — huknął. — W porządku?

Pomaszerował do salonu, zostawiając buty na środku przedpokoju, papiery i dokumenty porozrzucane na stoliku.

Ruth wzięła kolejny głęboki wdech, odwróciła się od bałaganu i ruszyła na drugi koniec domu.

Kiedy Lou dołączył do żony siedziała przy stole, jadła lasagnę i sałatkę — ciasto było następne w kolejce — i oglądała kobiety w strojach z lycry, skaczące w dużej plazmie w przylegającym do oranżerii mniejszym pokoju dziennym.

Lou przyglądał jej się przez chwilę.

— Myślałem, że jadłaś już z dziećmi.

— Owszem — odparła z pełnymi ustami.

— To czemu znowu jesz? — Spojrzał na zegarek. — Jest prawie jedenasta. Trochę późno na posiłek, nie sądzisz?

— Ty jadasz o tej porze. — Zmarszczyła brwi.

— Tak, ale to nie ja narzekam, że jestem gruby, po czym pochłaniam dwie kolacje i ciastko. — Roześmiał się.

Ruth przełknęła jedzenie. Miała wrażenie, że przez jej gardło wędruje kamień. Nie zauważył, co powiedział, nie zamierzał jej zranić. To nigdy nie było zamierzone; po prostu tak wychodziło. Po długiej ciszy, w czasie której wyzbyła się gniewu i odzyskała apetyt, Lou przysiadł się do stołu. Po drugiej stronie okna do szyby przywarła ciemność, chcąc wedrzeć się do środka. Za nią widać było miliony świateł miasta po drugiej stronie zatoki, niczym świąteczne lampki zawieszane w mroku.

— To był dziwny dzień — powiedział w końcu.

— W jakim sensie?

— Nie wiem — westchnął. — Po prostu dziwny. Dziwnie się czułem.

— Ja się tak czuję prawie codziennie. — Ruth się uśmiechnęła.

— Pewnie będę chory. Jestem jakiś... nieswój.

Dotknęła jego czoła.

— Nie masz gorączki.

— Nie?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, po czym sam przyłożył sobie rękę do czoła.

— Jest mi gorąco. To przez jednego gościa w pracy. — Pokręcił głową. — To takie dziwne.

Zmarszczyła brwi i przyjrzała mu się uważnie. Nieczęsto się zdarzało, żeby mężowi brakowało słów.

— Zaczęło się dobrze. — Zakręcił winem w kieliszku. — Spotkałem pod biurem faceta o imieniu Gabe. Bezdomnego, to znaczy nie wiem, czy jest bezdomny, mówi, że ma gdzie mieszkać, w każdym razie zebrał na ulicy.

W elektronicznej niani rozległy się trzaski: Pączek zaczął popłakiwać. Początkowo były to ciche zaspane jęki. Ruth odłożyła nóż i widelec, odsunęła talerz z niedokończonym posiłkiem i zaczęła się modlić w duchu, żeby przestał.

— Tak czy owak — ciągnął Lou, niczego nie zauważywszy — kupiłem mu kawę i zaczęliśmy rozmawiać.

— To miłe z twojej strony.

Włączył się jej instynkt macierzyński i teraz słyszała już tylko swoje dziecko, którego zaspane jęki przerodziły się w donośny krzyk.

— Przypominał mi mnie samego — ciągnął Lou, zdezorientowany. — Jest do mnie bardzo podobny i przeprowadziliśmy komiczną rozmowę o butach.

Zaśmiał się, wracając myślami do ich pogawędki.

— Pamiętał każdą parę butów, które weszły do naszego budynku, więc go zatrudniłem. To znaczy nie ja, zadzwoniłem do Harry'ego...

— Lou, skarbie — weszła mu w pół zdania Ruth. — Nie słyszysz?

Spojrzał na nią bez zrozumienia, w pierwszej chwili zirytowany, że mu przerwała, po czym nadstawił uszu. W końcu krzyki przebiły się przez jego

świadomość.

— Dobrze, idź — westchnął, masując grzbiet nosa. — Ale pamiętaj, że opowiadałem ci właśnie o moim dniu. Zawsze się wściekasz, że tego nie robię — mruknął.

— Co to ma znaczyć? — Podniosła głos. — Twój syn płacze. Mam siedzieć tu całą noc, podczas gdy on szlocha o pomoc, dopóki nie skończysz swojej opowieści o bezdomnym, który lubi buty? A nie pomyślałeś, że sam mógłbyś kiedyś pójść do dziecka?

— Już idę — powiedział ze złością, ale nie ruszył się z krzesła.

— Nie, ja pójdę. — Wstała od stołu. — Chciałabym nie musieć ci o tym przypominać. Takich rzeczy nie robi się, żeby zdobyć punkty, powinieneś tego chcieć.

— Ty też nie wykazujesz przesadnej ochoty, żeby teraz do niego iść — burknął, majstrując przy spinkach do mankietów.

Zatrzymała się w pół drogi między stołem a drzwiami.

— Wiesz, że nie zajmowałeś się Rossem sam nawet przez jeden dzień?

— To musi być poważna sprawa, skoro używasz jego prawdziwego imienia. Skąd nagle te wyrzuty?

Była tak sfrustrowana, że zaczęły się z niej wylewać wszystkie żale.

— Ani razu nie zmieniłeś mu pieluchy, nie nakarmiłeś go.

— Karmiłem — zaprotestował.

Szloch się wzmógł.

— Nie przygotowałeś mu ani jednej butelki, nie ubrałeś go ani się z nim nie bawiłeś. Nie spędziłeś z nim odrobiny czasu sam, beze mnie, żebym nie przybiegała co pięć minut, żebym nie zabierała go od ciebie, bo chcesz wysłać mejla lub odebrać telefon. To dziecko jest już na świecie ponad rok, Lou. Minał już rok.

— Chwileczkę. — Przeczesał ręką włosy i chwycił je w garść, co oznaczało, że jest zły. — Jakim sposobem przeszliśmy od rozmowy o tym, jak minął mi

dzień — o czym zawsze chcesz wszystko wiedzieć, sekunda po sekundzie — do tego ataku?

— Byłeś tak zajęty mówieniem o sobie, że nie usłyszałeś płaczu własnego dziecka — odparła zmęczonym głosem, wiedząc, że ta rozmowa zmierza w tym samym kierunku co wszystkie takie kłótnie. Donikąd.

Lou rozejrzał się i rozpostarł dramatycznie ramiona, ogarniając gestem dom.

— Myślisz, że siedzę cały dzień przy biurku i zbijam baki? Pracuję jak szalony, żeby wszystko pogodzić, żebyś ty z dziećmi miała to wszystko, żeby zapewnić Rossowi posiłek, więc wybac mi, jeśli nie wypełniam mu co rano buzi papką z banana.

— Ty niczego nie godzisz, Lou. Stawiasz jedno ponad drugie. To zupełnie co innego.

— Nie mogę być w dwóch miejscach naraz, Ruth! Mówiłem ci już, jeśli potrzebujesz pomocy w domu, powiedz tylko, a możemy mieć tu opiekunkę, kiedy tylko zechcesz.

Wiedział, że wpakował się w większą awanturę i podczas gdy krzyki Pączka w elektronicznej niani przybierały na sile przygotowywał się na atak. Aby tylko uniknąć kolejnej koszarnej kłótni, omal nie dodał: „I obiecuję, że z tą się nie prześpię”.

Ale atak nie nastąpił. Ramiona Ruth opadły, cała jej postawa uległa zmianie. Poddała się i zamiast walczyć, poszła się zająć synem.

Lou sięgnął po pilota i wycelował nim w telewizor niczym rewolwerem. Nacisnął wściekle wyłącznik i zgasił plazmę. Spocone kobiety w lycrze zmniejszyły się w małe jasne kółeczko na środku ekranu, a potem całkiem znikły.

Lou wziął talerz z szarlotką i zaczął ją skubać, zastanawiając się, jak do tego, na Boga, doszło od chwili, gdy przekroczył próg. Wiedział, że ten wieczór skończy się tak jak wiele innych: przyjdzie do łóżka, a ona będzie spała, a przynajmniej udawała, że śpi. Kilka godzin później on się obudzi, poćwiczy, weźmie prysznic i pojedzie do pracy.

Westchnął i dopiero gdy usłyszał własny wydech, zauważył, że w elektronicznej niani nie rozbrzmiewa już płacz Pączka, ale wciąż coś trzeszczy. Kiedy podszedł, żeby ją wyłączyć, dobiegły go inne dźwięki, które sprawiły, że sięgnął do regulatora głośności. Podkreślił go i serce mu pękło, gdy kuchnię wypełnił cichy szloch Ruth.

Rozdział dziewiąty

Chłopak z Indykiem 2

— A więc mu odpuściłeś? — W myśli Raphiego wdarł się młody głos.

— Słucham?

Raphie wyrwał się z transu i przeniósł uwagę z powrotem na nastolatka po drugiej stronie stołu.

— Powiedziałem, że mu odpuściłeś.

— Komu?

— Bogatemu gościowi w lannerskim porsche. Jechał za szybko, a ty mu odpuściłeś.

— Nie odpuściłem.

— Właśnie, że tak. Nie dałeś mu punktów, mandatu ani niczego. Pozwoliłeś mu po prostu odjechać. Na tym polega kłopot z wami, zawsze stajecie po stronie bogatych. Gdybym to był ja zamknęlibyście mnie do końca życia. Rzuciłem tylko głupim indykiem, a tkwię tu cały dzień. A są święta i w ogóle.

— Przestań jęczeć, czekamy na twoją matkę, wiesz o tym, i nie winiłbym jej, gdyby postanowiła przetrzymać cię tu do wieczora.

Chłopak z Indykiem nadął się na chwilę.

— A więc jesteście nowi w tej okolicy. Przeprowadziliście się tu z mamą niedawno?

Chłopak skinął głową.

— Skąd?

— Z Republiki Twojej Dupy.

— Bardzo dowcipne — zauważył sarkastycznie Raphie.

— To dlaczego tak szybko dałeś spokój facetowi w porsche? — spytał znowu chłopak, kiedy ciekawość wzięła nad nim górę. — Stchórzyłeś czy co?

— Nie bądź głupi, synu, dałem mu upomnienie — odparł Raphie, prostując się na krześle.

— Ale to niezgodne z prawem, powinienesz być dać mu mandat. Może kogoś zabić, jak będzie tak pędził.

Raphiemu pociemniały oczy i Chłopak z Indykiem zrozumiał, że lepiej go już nie prowokować.

— Wysłuchasz reszty opowieści czy nie?

— Tak. Mów dalej. — Chłopak pochylił się i oparł brodę na dłoni. — Mam cały dzień. — Uśmiechnął się ironicznie.

Rozdział dziesiąty

Następnego ranka

Lou obudził się o piątej pięćdziesiąt dziewięć rano. Poprzedni wieczór skończył się tak jak przewidywał: kiedy przyszedł do łóżka, Ruth leżała sztywno, odwrócona do niego plecami i szczelnie owinięta kołdrą, niedostępna jak nadzienie w pączku. Zrozumiał przesłanie.

Lou nie mógł się zdobyć na to, żeby ją pocieszyć, przekroczyć granicę, która ich dzieliła w łóżku i w życiu, pogodzić się. Nawet wtedy, gdy goli jak święci tureccy studenci mieszkali w najgorszych klitkach z kapryśnym ogrzewaniem i łazienkami, które musieli dzielić z dziesiątkami innych, nie było między nimi tak

jak teraz. Mieli pojedyncze łóżko w sypialni, tak małej, że musieli wychodzić na zewnątrz, kiedy chcieli pomyśleć, ale to im nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie — uwielbiali być tak blisko siebie. Teraz mają wielkie dwumetrowe łoże, tak duże, że nawet kiedy oboje leżą na plecach i wyciągają ręce na boki, ich palce ledwo się dotykają. Ogromna, chłodna przestrzeń, w której trudno się odnaleźć, by się ogrzać.

Lou powędrował myślami do początku, do ich pierwszego spotkania — dwoje dziewiętnastolatków, beztroskich i pijanych, świętujących koniec zimowych egzaminów na pierwszym roku studiów. Mając przed sobą kilka tygodni przerwy, wolni od niepokoju o wyniki egzaminów, poznali się na wieczorze komików w International Bar na Wicklow Street. Po tej nocy podczas świątecznego pobytu u rodziców, Lou co dzień myślał o Ruth. Przy każdym kawałku indyka, każdym odwiniętym cukierku, każdej rodzinnej kłótni nad Monopolem, ona była w jego myślach. Przez nią przegrał nawet w zawodach liczenia nadzienia, które urządzali sobie z Marcją i Quentinem. Lou wbił wzrok w sufit i uśmiechnął się, wspominając, jak co roku on i jego rodzeństwo — w papierowych koronach na głowach i z wywieszonymi językami — liczyli każdy okruszek nadzienia na swoich talerzach, długo potem, jak rodzice odeszli od stołu. Co roku Marcia i Quentin łączyli siły, żeby go pokonać, ale nie starczało im zapału, a determinacja Lou — niektórzy powiedzieliby, że wręcz obsesja — była niezrównana. Ale w tamtym roku dorównali mu, Quentin go pokonał, bo zadzwonił telefon, i to była ona. Tak oto skończył się czas dzieciennych gier. A przynajmniej taką miał teorię w kwestii, kiedy stał się mężczyzną. Choć może wciąż jeszcze nim nie jest.

Tamten dziewiętnastolatek pragnąłby obecnej chwili. Gdyby mógł się przenieść w przyszłość i mieć Ruth koło siebie, w pięknym łożu, w pięknym domu, z dwójką ślicznych dzieci śpiących w pokojach obok, łapałby szansę obiema rękami. Spojrzał na żonę. Obróciła się na plecy, usta miała lekko rozchylone, włosy przypominały stóg siana. Uśmiechnął się.

Ruth poradziła sobie z tymi zimowymi egzaminami lepiej niż on, co nie było

trudne, ale przez całe następne trzy lata też osiągała lepsze wyniki. Nauka zawsze przychodziła jej z łatwością, podczas gdy on musiał kuć całe dnie i noce, żeby przeciskać się dalej. Nie wiedział, jak Ruth znajduje czas na myślenie, a co dopiero na naukę, zawsze była tak pochłonięta przewodzeniem ich ekscytującym nocom na mieście. Co tydzień pakowali się na imprezy bez zaproszeń, potem ich wyrzucano, spali na schodach przeciwpożarowych, a Ruth i tak pojawiała się na rannym wykładzie z odrobionymi zadaniami. Umiała zrobić to wszystko jednocześnie. Zawsze ciągnęła gdzieś innych, siedzenie w jednym miejscu ją nudziło. Pragnęła przygód, niemożliwych sytuacji, wszystkiego, co niezwykle. Była duszą każdego przyjęcia i każdego dnia.

Zawsze kiedy oblewał jakiś egzamin i musiał go powtarzać, była przy nim, zajęta pisaniem prac, które miał sobie przyswoić. Latem zamieniała naukę w quizy, z nagrodami i przyciskami, gradem pytań i karami. Stroiła się i udawała gospodarza programu, asystentkę, modelkę, pokazując mu, co może wygrać, jeśli odpowie poprawnie na pytania. Robiła karty z punktami, wypisywała pytania, każdy turniej oprawiała tandetną muzyką i nagrany aplauzem. Zakupy były grą; Ruth kontrolowała listę przysmaków jak gospodarz programu. Chcesz dostać paczkę popcornu, odpowiedz na to.

— Pas — mówił sfrustrowany, próbując i tak wziąć pudełko.

— Żadnych takich, Lou, znasz odpowiedź — mówiła stanowczo i blokowała mu dostęp do półki.

Nie znał odpowiedzi, ale ona sprawiała, że ją znajdował. W jakiś sposób popychała go, aż docierał do zakamarka swojego mózgu, o którego istnieniu nawet nie wiedział, i znajdował odpowiedź, choć nie miał pojęcia, że tam jest. Tuż przed tym, jak mieli się kochać, Ruth odsuwała się od niego.

— Najpierw odpowiedz mi na to.

Mimo jego protestów i prób wzięcia tego, co chce, siłą -opierała się.

— No co ty, Lou, przecież znasz odpowiedź.

Jeśli nie znał zmuszał się, żeby ją poznać.

Planowali wspólny wyjazd do Australii po studiach. Roczna przygoda daleko od Irlandii, zanim zacznie się prawdziwe życie. Zdeterminowani, by podążyc tam za przyjaciółmi, cały rok oszczędzali na bilety. On pracował za barem w Temple Bar, ona była kelnerką. Odłożyli dość na realizację wspólnego marzenia, ale Lou oblał egzaminy końcowe, a Ruth nie. Był gotów z miejsca się spakować, ona mu nie pozwoliła; wpłynęła na jego decyzję, przekonała go, że sobie poradzi, tak jak ona radzi sobie ze wszystkim. Tak więc, kiedy on zaczynał rok po raz drugi, Ruth cieszyła się ze swoich świetnych wyników i otrzymała dyplom z wyróżnieniem podczas ceremonii, w której Lou nie uczestniczył. Przyszedł natomiast na imprezę po rozdaniu, wypił za dużo i zepsuł jej tę noc. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić.

Przez ten rok, kiedy Ruth czekała, aż Lou ukończy studia, zdobyła dyplom magistra biznesu. Po prostu, żeby coś robić. Nigdy się z tym nie obnosiła, nigdy nie dołowała Lou, nigdy nie świętowała swoich wspaniałych osiągnięć, żeby on nie czuł się gorszy. Była jego przyjaciółką, dziewczyną, duszą każdej imprezy, świetną studentką osiągającą sukcesy.

Czy to wtedy poczuł do niej urazę i wtedy się to zaczęło? Aż tak dawno temu? Czy dlatego, że nigdy nie czuł się dość dobry, chciał ją w ten sposób ukarać; czy też, bez żadnej psychologii, po prostu był zbyt słaby i samolubny, by powiedzieć „nie”, kiedy jakaś atrakcyjna kobieta choćby na niego spojrzała, a co dopiero gdy łąpała swoją torebkę, płaszcz, a potem jego rękę. Kiedy tak się działo Lou zupełnie się zapominał. Wiedział oczywiście, co jest dobre, a co złe, ale w takich sytuacjach średnio go to obchodziło. Nic go nie powstrzymywało, nie czekały go żadne konsekwencje ani reperkusje.

Sześć miesięcy temu Ruth przyłapała go z nianią. Akurat z nią był tylko kilka razy, ale jeśli istnieje skala moralna zdrad, a uważał, że tak jest, seks z nianią plasuje się na niej bardzo nisko. Od tamtego czasu nikogo nie miał, nie licząc obściskiwania się z Alison, co było błędem. Jeśli istnieje skala dopuszczalnych pretekstów dla romansów, a Lou uważał, że tak, ten incydent plasowałby się na jej

szczyście. Był pijany, ona jest atrakcyjna i stało się, ale głęboko tego żałuje. Cała sprawa się nie liczy.

— Lou — warknęła Ruth, wdzierając się w jego myśli tak nagle, że aż się przestraszył.

Spojrzał na nią.

— Dzień dobry. — Uśmiechnął się. — Nigdy nie zgadniesz, o czym właśnie myślę...

— Nie słyszysz? — przerwała mu. — Nie śpisz i gapisz się w sufit.

— He? — Spojrzał w lewo i zorientował się, że wybiła szósta. — Oj, przepraszam. — Sięgnął w bok i wyłączył dzwoniący budzik.

Wyraźnie zrobił coś nie tak, bo jej twarz nabrała barwy głębokiej czerwieni i Ruth wystrzeliła z łóżka niczym z katapulty, a następnie wypadła z pokoju, z włosami w nieładzie, jakby włożyła palec do kontaktu. Dopiero wtedy Lou usłyszał płacz Pączka.

— Cholera. — Przetarł zmęczone oczy.

— Powiedziałeś bzdurę — odezwał się głosik za drzwiami.

— Dzień dobry, Lucy. — Uśmiechnął się.

Wtedy się pojawiła, pięciolatka w różowej piżamce, ciągnąca za sobą swój kocyk. Jej czekoladowe włosy i grzywka zmierzwiły się w czasie snu, a w dużych brązowych oczach malował się niepokój. Stała przy końcu łóżka i Lou czekał, aż coś powie.

— Przyjdiesz dziś, prawda, tatusiu?

— A co dziś jest?

— Moje szkolne przedstawienie.

— A tak, wiem, wiem, skarbie; naprawdę chcesz, żebym na nim był?

Skinęła głową.

— Ale czemu? — Znowu przetarł oczy. — Wiesz, jaki tatuś jest zajęty, będzie mi bardzo trudno przyjść.

— Kiedy ćwiczyłam.

— A może pokaż mi teraz, to nie będę musiał cię oglądać później.

— Ale nie jestem w kostiumie.

— To nic. Użyję wyobraźni. Mama zawsze mówi, że trzeba jej używać, prawda? — Zerknął na drzwi, by się upewnić, że Ruth nie słyszy. — Ty mi pokaż, a ja będę się w tym czasie ubierać, dobrze?

Odrzucił kołdrę i kiedy Lucy podskakiwała wrzucił na siebie pospiesznie spodenki i podkoszulek.

— Tatusiu, nie patrzysz!

— Patrę, kochanie, zejdź ze mną do siłowni. Jest tam dużo luster, przed którymi możesz poćwiczyć. To będzie fajna zabawa, prawda?

Kiedy wszedł na bieżnię włączył plazmę i zaczął oglądać wiadomości.

— Tatusiu, nie patrzysz.

— Patrę, skarbie. — Zerknął na nią. — Czym jesteś?

— Liściem. Jest wietrzny dzień i spadam z drzewa i muszę robić o tak. — Znowu zaczęła wirować po siłowni, a Lou odwrócił od niej wzrok i przeniósł go z powrotem na telewizor.

— Co liść ma wspólnego z Jezusem?

— Z piosenkarzem? — Przestała się kręcić i złapała się ławki do podnoszenia ciężarów, chwiejąc się lekko na nogach.

Lou zmarszczył brwi.

— Nie, nie z piosenkarzem. O czym jest to przedstawienie?

Wzięła głęboki wdech, po czym wyrecytowała z pamięci:

— Trzej mędrcy mają znaleźć gwiazdę.

— Mają iść za gwiazdą — poprawił ją Lou, przyspieszając i przechodząc w trucht.

— Nie, oni znajdują gwiazdę. Są jurorami w programie „Znaleźć gwiazdę”, a potem śpiewa Poncjusz Piłat i wszyscy buczą, a potem śpiewa Judasz i wszyscy buczą, a potem śpiewa Jezus i wygrywa, bo jest prawdziwym idolem.

— Chryste! — Lou wzniosł oczy do nieba.

— Tak. „Jezus Chrystus – narodziny gwiazdy”, taki jest tytuł.

Znowu zaczęła tańczyć.

— To czemu jesteś liściem?

Wzruszyła ramionami i musiał się roześmiać.

— Przyjdiesz mnie zobaczyć? Proooszę.

— Tak — odparł, wycierając twarz ręcznikiem.

— Obiecujesz?

— Oczywiście — powiedział na odczepne. — A teraz biegnij do mamy, a ja wezmę prysznic.

Dwadzieścia minut później, będąc myślami już w pracy, wszedł do kuchni, żeby się szybko pożegnać. Pączek siedział w swoim wysokim krzeselku i wcierał sobie we włosy banana i herbatniki; Lucy ssła łyżkę i oglądała ryczące na cały regulator kreskówki; Ruth, w szlafroku, przygotowywała lunch do szkoły dla Lucy. Wyglądała na wyczerpaną.

— Pa.

Pocałował Lucy w głowę; była tak pochłonięta bajką, że nawet nie drgnęła. Następnie zawisł nad Pączkiem, próbując znaleźć na jego buzi czyste miejsce.

— Pa, mały.

Cmoknął go niezdarnie w czubek głowy, po czym podszedł do Ruth.

— Chcesz się spotkać na miejscu o szóstej czy wolisz, żebyśmy pojechali stąd razem? — zapytała.

— Dokąd?

— Do szkoły.

— A tak. Co do przedstawienia... — Ściszył głos.

— Musisz przyjść, obiecałeś. — Przestała smarować chleb masłem i w jej oczach pojawiła się złość.

— Lucy pokazała mi na dole swój taniec i porozmawialiśmy o tym, więc nie przeszkadza jej, że mnie nie będzie. — Wziął plaster szynki. — Wiesz może, czemu, u diabła, jest liściem w jasełkach?

Ruth się zaśmiała.

— Lou, wiem, że żartujesz. W zeszłym miesiącu powiedziałam ci, żebyś zapisał sobie to przedstawienie w kalendarzu. A potem przypomniałam ci o nim w zeszłym tygodniu i zadzwoniłam do tej Tracey z twojego biura...

— Aha, więc w tym rzecz. — Pstryknął palcami, jakby go nagle oświeciło. — Brak przepływu informacji. Tracey odeszła. Zastąpiła ją Alison. Może wystąpiły jakieś zakłócenia, kiedy się zmieniały.

Starał się powiedzieć to wesoło, ale radość na twarzy Ruth powoli zaczęły wypierać rozczarowanie, nienawiść, zniesmaczenie, wszystko połączone w jedno i skierowane przeciw niemu.

— W zeszłym tygodniu wspomniałam o tym dwukrotnie. Przypomniałam wczoraj rano, stoję przy tobie jak jakaś cholerna papuga, a ty i tak nie pamiętasz. Przedstawienie w szkole, a potem kolacja z twoją mamą, ojcem, Alexandrą i Quentinem. Możliwe, że przyjdzie też Marcia, jeśli uda jej się przełożyć sesję terapeutyczną.

— Nie, naprawdę nie powinna z niej rezygnować. — Lou przewrócił oczami. — Ruthy, proszę, wolałbym powbić sobie igły w oczy niż zjeść z nimi kolację.

— To twoja rodzina, Lou.

— Quentin gada tylko o łódkach. Łódki, łódki i znów te cholerne łódki. Nie jest w stanie prowadzić rozmowy, w której nie padają słowa „bom” i „knaga”.

— Kiedyś uwielbiałeś żeglować z Quentinem.

— Kiedyś uwielbiałem żeglować. Niekoniecznie z Quentinem, i to było wieki temu. Na tym etapie z trudem odróżniłbym bom od knagi — jęknął. — A Marcia... potrzebuje nie terapii, tylko porządnego kopniaka w tyłek. Alexandra jest w porządku. — Zamilkł, pogrążony w myślach.

— Łódź czy żona? — spytała sarkastycznie Ruth, rzucając mu długie spojrzenie z ukosa.

Lou nie usłyszał albo nie zwrócił uwagi na jej słowa.

— Nie wiem, co ona widzi w Quentinie, nie mogę tego zrozumieć. To

przecież zupełnie inna liga.

— Twoja liga, tak? — warknęła Lou.

— To modelka, Ruth.

— No to co?

— Quentin ma tyle wspólnego z modelkami, że zbiera modele łodzi. — Zaśmiał się, ale zaraz rozbawienie zastąpiła irytacja.

— Mama i tata też będą? — spytał. — Nie ma mowy.

— Trudno — odparła, wracając do przygotowywania lunchu. — Lucy spodziewa się ciebie na przedstawieniu, twoi rodzice są podekscytowani, a ja cię tu potrzebuję. Nie dam rady sama przygotować kolacji i zabawić towarzystwa.

— Mama ci pomoże.

— Twoja matka niedawno przeszła operację biodra. — Ruth robiła wszystko, by nie wrzasnąć.

— Przecież wiem, to ja odebrałem ją ze szpitala i narobiłem sobie przez to kłopotów, tak jak przewidywałem — burknął. — Podczas gdy Quentin był na swojej łodzi.

— Brał udział w zawodach, Lou! — Odłożyła nóż i przemówiła łagodniejszym tonem: — Proszę.

Pocałowała go delikatnie w usta, a on zamknął oczy, napawając się tą rzadką chwilą.

— Kiedy, widzisz, mam tyle pracy — powiedział cicho w jej usta. — To dla mnie ważne.

Ruth się odsunęła.

— Cóż, cieszę się, że coś jest dla ciebie ważne, bo przez chwilę pomyślałam, że może nie jesteś człowiekiem.

Umilkła i wróciła do smarowania chleba z taką zaciekłością, że nóż wbijał się w brązową kromkę. Cisnęła na nią plastry szynki, rzuciła plaster sera, po czym przycisnęła kanapkę i przekroiła ostrym nożem na ukos. Zaczęła kręcić się po kuchni, trzaskając drzwiczkami i gwałtownie odrywając kawałek folii

aluminiowej.

— No dobra, co jest?

— Co jest? Życie nie polega jedynie na pracy, polega na życiu. Musimy zacząć żyć razem, a to oznacza, że ty będziesz czasem robić coś dla mnie, nawet jeśli nie masz na to ochoty, i na odwrót. Inaczej jaki to wszystko ma sens?

— Jak to „na odwrót”? Kiedy niby zmuszam cię do robienia czegokolwiek, na co nie masz ochoty?

— Lou. — Zacisnęła zęby. — To twoja cholerna rodzina, nie moja.

— To odwołaj kolację! Mnie na tym nie zależy.

— Masz wobec nich obowiązki.

— Ale mam więcej obowiązków w pracy. Rodzina nie może mnie zwolnić, jeśli nie pojawię się na cholernej kolacji, prawda?

— Owszem, może — odrzekła cicho. — Tylko to się nie nazywa zwolnienie.

— To groźba? — Ściszył ze złością głos. — Nie możesz rzucać mi takich uwag, Ruth, to nie w porządku.

Ruth otworzyła pojemnik na lunch z Barbie, cisnęła nim o blat, wrzuciła do środka kanapkę, krążki ananasa i czerwoną fasolę w plastikowych pudełeczkach, położyła na wierzch serwetkę z Barbie i głośno zamknęła pudełko. Barbie nawet nie mrugnęła, mimo że szarpano nią tak gwałtownie.

Ruth spojrzała na Lou; jej wzrok mówił wszystko.

— W porządku, postaram się być — powiedział Lou, żeby ją zadowolić i wydostać się z domu, ale nie mówił poważnie. Widząc jej minę, dodał bardziej stanowczo:

— Będę tam.

Przyjechał do biura o ósmej rano, całą godzinę przed pojawieniem się kogokolwiek innego. Zależało mu na tym, chciał być pierwszy, dzięki temu czuł, że jest sprawny, wyprzedza współpracowników. Krążąc po pustej przestrzeni windy i marząc, by zawsze tak było, rozkoszował się jazdą prosto na czternaste, bez żadnych przystanków po drodze. Wysiadł i znalazł się w cichym korytarzu.

Czuł w powietrzu zapachy środków czystości, których używała poprzedniego wieczoru ekipa sprzątająca: płynu do czyszczenia dywanów, środka do polerowania mebli i odświeżaczy powietrza — jeszcze niezakłócone wonią porannej kawy i ciał pracowników. O tak wczesnej zimowej godzinie za lśniącoymi oknami wciąż było całkiem ciemno, a szyby wydawały się zimne i nieprzyjazne. Na zewnątrz szalał wiatr i Lou chciał już opuścić te niepokojąco puste korytarze, znaleźć się w swoim biurze i zabrać się do porannych działań.

Nagle się zatrzymał. Zobaczył, jak zwykle o tej porze, puste biurko Alison, ale drzwi jego gabinetu były uchylone i w środku paliło się światło. Ruszył dziarsko w tamtą stronę, a serce zaczęło mu walić ze złości, kiedy przez szparę zobaczył kręcącego się wewnątrz Gabe'a. Lou wrzasnął, rzucił się biegiem, walnął pięścią w drzwi i patrzył, jak otwierają się gwałtownie. Otworzył usta, by znowu wrzasnąć, ale zanim zdołał wydać z siebie dźwięk, usłyszał zza drzwi inny głos.

— Mój Boże, kto to? — dobiegło go niespokojne pytanie jego szefa.

— Och, pan Patterson, przepraszam — powiedział bez tchu, zatrzymując drzwi, żeby nie zderzyły go w twarz. — Nie wiedziałem, że pan tu jest.

Potańpił pięść, która zaczęła szczytać i pulsować od uderzenia o drewno.

— Lou — mężczyzna łapał oddech po szybkim odskoku — na miłość boską, mów mi Laurence, tyle razy ci powtarzałem. Masz dziś... mnóstwo energii. — Próbował się pozbierać po nieoczekiwanym przeżyciu.

— Dzień dobry. — Lou spoglądał niepewnie to na pana Pattersona, to na Gabe'a. — Przepraszam, że pana przestraszyłem. Myślałem, że w biurze jest ktoś, kogo nie powinno tu być. — Jego wzrok spoczął na Gabie.

— Dzień dobry, Lou — powiedział uprzejmie Gabe.

— Cześć. — Lou skinął mu powoli głową, pragnąc tylko, by natychmiast mu wyjaśniono, co Gabe i szef robią o ósmej rano w jego gabinecie.

Spojrzał na pusty wózek Gabe'a, a potem na nieznane koperty na swoim biurku. Wrócił myślami do poprzedniego wieczoru: skończył robotę papierkową i pochował dokumenty, jak zwykle; nie potrafi odejść od biurka, póki nie skończy

pracy. Wiedząc, że ani on, ani Alison, która wyszła z biura o czwartej, nie zostawili tych papierów, spojrział na Gabe'a i zmrużył podejrzliwie oczy.

Gabe patrzył na niego beznamiętnie.

— Rozmawiałem sobie właśnie z młodym Gabe'em — wyjaśnił pan Patterson.
— Powiedział, że zaczął dopiero wczoraj. Czyż to nie wspaniale, że przyszedł pierwszy? Widać, jaki jest oddany pracy.

— Pierwszy? Naprawdę? — Lou uśmiechnął się fałszywie. — No, no. Wygląda na to, że mnie dziś prześcignął, bo zwykle to ja przychodzę pierwszy. — Odwrócił się do pana Pattersona i posłał mu lśniący bielą uśmiech. — Ty już to wiesz, prawda, Gabe?

Gabe odpowiedział mu równie szczerym uśmiechem.

— Wiesz, jak się mówi. Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje.

— Owszem. Rzeczywiście daje. — Lou spojrział na niego wrogo i z uśmiechem. Wrogie spojrzenie i uśmiech. Jednocześnie.

Pan Patterson przyglądał się tej wymianie zdań z rosnącym zakłopotaniem.

— Cóż, minęła ósma, powinienem iść.

— Ósma? To zabawne — ożywił się Lou. — Jeszcze nawet nie przywieziono poczty. Co więc właściwie robisz w moim gabinecie, Gabe?

W jego głosie pojawiła się łatwo rozpoznawalna nuta; pan Patterson wyglądał na speszzonego, a Gabe posłał Lou dziwny uśmiech.

— Przyszedłem wcześniej, żeby zapoznać się z budynkiem. Muszę w krótkim czasie przejechać tyle pięter, chciałem się rozeznać, kto gdzie siedzi.

— Czyż to nie wspaniale? — powiedział pan Patterson, przerywając ciszę.

— Owszem, ale wiedziałeś już, gdzie jest mój gabinet — zauważył sztywno Lou. — Rozeznałeś się w nim wczoraj... Co więc, jeśli mogę spytać, robisz w środku?

— No, no, Lou, obawiam się, że muszę się wtrącić — odezwał się zakłopotany pan Patterson. — Spotkałem młodego Gabe'a w korytarzu i zaczęliśmy rozmawiać. Poprosiłem go, żeby zrobił mi uprzejmość i zaniósł do twojego

gabinetu kilka teczek. Kiedy udał się z nimi do ciebie, spostrzegłem, że jedna została w mojej aktówce. Muszę powiedzieć, że Gabe jest niezwykle szybki, ledwo się odwróciłem, a on już zniknął. Puf! Tak po prostu! — Zachichotał.

— Puf! — Gabe posłał Lou szeroki uśmiech. — Cały ja.

— Przyznam, że lubię szybkich pracowników, a jeszcze bardziej lubię szybkich i sprawnych, i jak Boga kocham, ty bez wątpienia do nich należysz.

Lou właśnie miał podziękować, ale wciął się Gabe.

— Dziękuję, panie Patterson, i jeśli będę mógł zrobić dla pana coś jeszcze, proszę dać mi znać. Kończę zmianę w porze lunchu i z przyjemnością zostanę dłużej, żeby pomóc. Jestem bardzo chętny do pracy.

Lou poczuł, jak ściska mu się żołądek.

— To wspaniale, Gabe, dziękuję. Będę to miał w pamięci. No dobrze. Lou. — Patterson zwrócił się do niego. Ten oczekiwał, że Gabe, który nie uczestniczył już w rozmowie, wyjdzie. Ale nie zrobił tego. — Chciałem cię zapytać, czy mógłbyś spotkać się dziś wieczorem z Bruce'em Archerem. Pamiętasz go.

Lou skinął głową i poczuł ucisk w sercu.

— Miałem się z nim zobaczyć, ale rano przypomniano mi, że muszę być gdzie indziej.

— Dziś wieczór? — spytał Lou, a jego myśli pędziły jak szalone.

Rozważając tę propozycję wyobrażał sobie Lucy wirującą po siłowni w jednoczęściowej piżamie i twarz Ruth, kiedy przy pocałunku otworzył oczy i zobaczył ją piękną i pogodną jak dawniej.

Zdał sobie sprawę, że obaj mężczyźni się w niego wpatrują; zwłaszcza Gabe przeszywał go palących spojrzeniem.

— Tak, dzisiaj. Tylko jeśli jesteś wolny. W razie czego mogę poprosić Alfreda, więc w ogóle się nie przejmuj. — Pan Patterson machnął ręką.

— Nie, nie — zaprotestował szybko Lou. — Spotkanie wieczorem to żaden problem. Żaden problem.

W jego myślach Lucy straciła równowagę od wirowania i upadła na podłogę,

a Ruth otworzyła oczy i odsunęła się od niego, gdyż czar przysł z chwilą, gdy Lou złamał obietnicę sprzed niecałej godziny.

— To świetnie. Świetnie. Melissa poda ci wszystkie szczegóły, czas, miejsce i tak dalej. Ja mam dziś ważny wieczór. — Mrugnął do Gabe'a. — Przedstawienie mojego synka. Trudno uwierzyć, ale nie pamiętałem o tym, dopóki nie przybiegł do mnie przebrany za gwiazdkę. Ale nie przegapiłbym tego za nic na świecie. — Uśmiechnął się.

— No tak. — Lou poczuł, że w gardle rośnie mu gula. — To ważne.

— Cóż, miłego wieczoru i brawo za znalezienie tego chłopaka.

Pan Patterson poklepał Gabe'a po plecach.

Kiedy Lou zwrócił się do Gabe'a, by posłać mu wściekłe spojrzenie, usłyszał za sobą znajomy wesoły głos.

— Dzień dobry, Laurence.

— Ach, to ty, Alfredzie — powiedział pan Patterson.

Alfred miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i jasne blond włosy. Wyglądał jak przerośnięty dzieciak z reklamy batonika Milkybar, który został stopiony i ulepiony od nowa rękami przedszkolaka. Mówił zawsze z ironicznym uśmiechem na twarzy i akcentem, którego nabiera się w prywatnych szkołach w Anglii, choć wakacje spędzał w Irlandii, skąd pochodził. Miał zniekształcony nos — pamiątka po czasach, gdy grał w rugby — i kręcił się teraz po gabinecie, tak jak to ujął poprzedniego dnia Gabe, podrzucając frędzle na swoich butach. Z jedną ręką w kieszeni, sprawiał wrażenie niegrzecznego ucznia, gotowego zawsze wykrecić numer.

Wzrok Alfreda spoczął na Gabie i dość ostentacyjnie zmierzył go w ciszy od stóp do głów. Alfred czekał, aż ktoś go przedstawi. Gabe odpowiedział mu tym samym i, pewny siebie, przyjrzał mu się uważnie.

— Ładne buty — powiedział w końcu Gabe i Lou spojrzał w dół na brązowe mokasyny, które Gabe opisał dzień wcześniej.

— Dziękuję. — Alfred był nieco zbity z tropu.

— Pańskie buty też mi się podobają, panie Patterson — zauważył Gabe, patrząc z ukosa.

Nastąpiła nieco krępująca chwila, gdy oczy obecnych zwróciły się na buty. Wszyscy byli zdziwieni sytuacją, z wyjątkiem Lou, któremu serce zaczęło walić jak szalone na widok czarnych wsuwanych butów i brązowych mokasynów. Właśnie o tych butach mówił Gabe poprzedniego ranka. A więc Alfred spotyka się z panem Pattersonem. Lou patrzył to na jednego, to na drugiego; miał uczucie, że go zdradzono. Oficjalnie stanowisko Cliffa nie było wolne, ale gdyby było, Lou zrobiłby wszystko, by mieć pewność, że dostanie się jemu, a nie Alfredowi.

Pan Patterson pożegnał się z nimi i ruszył korytarzem, machając radośnie aktówką.

— Kim jesteś? — spytał Gabe'a Alfred, sprowadzając myśli Lou z powrotem do gabinetu.

— Gabriel. — Gabe wyciągnął rękę. — Przyjaciele nazywają mnie Gabe, a ty możesz mi mówić Gabriel. — Uśmiechnął się.

— Bardzo mi miło. Alfred. — Alfred wyciągnął rękę.

Ręce mężczyzn złączyły się w zimnym i słabym uścisku, po czym szybko opadły i zawisły bezwładnie. Alfred nawet wytarł dłoń o spodnie, świadomie czy nie.

— Znamy się? — Alfred zmrużył oczy.

— Nie, nigdy się nie poznaliśmy, ale możesz mnie kojarzyć.

— A co, byłeś w jakimś reality show czy coś takiego? — Alfred ponownie przyjrzał się Gabe'owi; na jego twarzy nadal widniał złośliwy uśmiezek, ale było w nim już mniej pewności siebie.

— Mijałeś mnie codziennie, pod tym budynkiem.

Alfred zmrużył oczy, popatrzył uważnie na Gabe'a, po czym posłał Lou nerwowy uśmiech.

— Pomóż mi, stary.

— Siedziałem w drzwiach obok. Lou dał mi pracę.

W jednej chwili arogancka twarz Alfreda rozpromieniła się w uśmiechu, w którym widać było oczywistą ulgę. Cała jego postawa uległa zmianie; znowu stał się przewodniczącym bractwa, wiedząc, że jego pozycji nie zagrozi bezdomny.

Ze śmiechem zwrócił się do Lou, skrzywił się i zaczął mówić tonem, którego nawet nie próbował maskować, mimo obecności Gabe'a.

— Dałeś mu pracę, Lou? - spytał, odwracając się plecami do Gabe'a. — Cóż, pora rzeczywiście sprzyja dobroczynności. Co się z tobą, u diabła, dzieje?

— Opuść sobie, Alfred — odparł zawstydzony Lou.

— Dobra. — Alfred uniósł ręce w geście obrony i zachichotał pod nosem. — W sumie stres na każdego wpływa inaczej. Hej, mogę skorzystać z twojej łazienki?

— Co? Nie, nie tutaj, skorzystaj z tej dla wszystkich.

— No, nie bądź kutasem.

Język Alfreda wydawał się zbyt duży jak na jego usta, kiedy obracał się wokół słów.

— To zajmie mi tylko chwilkę. Do zobaczenia, Gabe, postaram się wcelować monetami do twojego wózka, kiedy będziesz przejeżdżał — zażartował i jeszcze raz otaksował Gabe'a spojrzeniem. Uśmiechnął się złośliwie, puścił do Lou oko, po czym skierował się do toalety.

Lou i Gabe usłyszeli głośne pociąganie nosem.

— Zdaje się, że w okolicy panuje paskudne przeziębienie. — Gabe się uśmiechnął.

Lou przewrócił oczami.

— Słuchaj, przykro mi, Gabe... On jest, no wiesz, nie bierz go poważnie.

— Prawdę mówiąc, nikt nigdy nie powinien brać nikogo poważnie, nie da się kontrolować niczego poza obrębem tego. — Ręce Gabe'a zatoczyły krąg wokół ciała. — Póki nie zapanujemy nad tym, nikogo nie można traktować poważnie. Proszę, przyniosłem ci to.

Sięgnął na dolną półkę wózka po kawę w styropianowym kubku.

— Jestem ci winny za wczoraj. To latte, maszyna już działa.

— O, dzięki.

Lou poczuł się jeszcze gorzej. Zupełnie nie wiedział, co myśleć o tym człowieku.

— A więc idziesz dziś na kolację?

Gabe odblokował hamulec wózka i zaczął się oddalać. Jedno kółko piszczało.

— Nie, to tylko kawa, nie kolacja. — Lou nie wiedział, jak to rozumieć: czy Gabe chce zostać zaproszony? — Nic wielkiego. Zajmie mi to najwyżej godzinę.

— No co ty, Lou. — Gabe się uśmiechnął. Zabrzmiało to niepokojąco podobnie do słów Ruth. „No co ty, Lou, przecież znasz odpowiedź”. Ale Gabe nie skończył zdania w ten sposób. — Wiesz, że takie spotkania zawsze przechodzą w kolacje. Potem drinki, a potem coś tam. — Mrugnął. — Będziesz miał kłopoty w domu, nieprawdaż, Aloysiusie? — powiedział śpiewnym głosem, który wywołał u Lou dreszcz.

Wyszedł z gabinetu i ruszył w stronę windy. Pisk kółka rozbrzmiewał głośno w pustym korytarzu.

— Hej! — zawołał za nim Lou, ale Gabe się nie odwrócił. — Hej! — powtórzył. — Skąd o tym wiesz? Nikt nie wie!

Mimo że był sam w biurze, rozejrzał się szybko wokół dla pewności, że nikt tego nie słyszał.

— Spokojnie! Nikomu nie powiem — odkrzyknął Gabe głosem, który bynajmniej Lou nie uspokoił.

Patrzył, jak Gabe wciska guzik i czeka przy drzwiach na windę, która ruszyła z parteru.

Drzwi łazienki się otworzyły i wyszedł z niej Alfred, pocierając nos i pociągając nim.

— Co to za krzyki? Hej, skąd masz kawę?

— Od Gabe'a — odparł z roztargnieniem Lou.

— Od kogo? A, od tego bezdomnego — powiedział bez zainteresowania

Alfred. — Naprawdę, Lou, co ty sobie myślałeś, przecież on może cię załatwić.

— Jak to załatwić?

— No co ty, urodziłeś się wczoraj? Wziąłeś człowieka, który nie ma nic i umieściłeś go w miejscu, gdzie jest wszystko. Słyszałeś kiedyś o czymś takim jak pokusa? Zresztą, po co ja pytam, przecież rozmawiam z tobą. — Puścił do niego oko. — Ty jej zawsze ulegasz. Może ty i ten bezdomny wcale się tak bardzo nie różnicie — dodał. — Na pewno jesteście podobni z wyglądu. Może zaśpiewaj *Choćby i pens* czy coś takiego i zobaczymy, co będzie. — Zaśmiał się, a jego płuca zarzęziły: skutek czterdziestu fajek dziennie.

— Jeśli bezdomna osoba kojarzy ci się jedynie z *Mary Poppins*, to mówi sporo o twoim wychowaniu — warknął Lou.

Rzęzenie Alfreda przerodziło się w kaszel.

— Przepraszam, stary, czyżbym trafił w czuły punkt?

— Wcale nie jesteśmy podobni — warknął wściekle Lou, spoglądając znów w stronę Gabe'a.

Tyle że Gabe zniknął. Winda zabręczczała i drzwi się otworzyły, ale ani w niej, ani przed nią nie było nikogo. W lustrze na jej tylnej ścianie Lou zobaczył w odbiciu dezorientację na swojej twarzy.

Rozdział jedenasty

Żongler

O piątej po południu, dokładnie w chwili, gdy powinien był wychodzić, żeby dotrzeć na przedstawienie Lucy, Lou krążył nerwowo po swoim gabinecie. Od drzwi do biurka, od biurka do drzwi i z powrotem. W kółko. Drzwi były otwarte na oścież, na wypadek, gdyby Lou wystrzelił na korytarz i wpadł do gabinetu pana Pattersona, a tam ogłosił, że nie może spotkać się z Bruce'em Archerem. Bo

tak jak pan Patterson, on też ma zobowiązania rodzinne. Dziś, Laurence, moja córka, będzie liściem. Z jakiegoś powodu to sprawiało, że miękły mu kolana. Za każdym razem, kiedy docierał do drzwi, zatrzymywał się, odwracał i maszerował z powrotem do biurka.

Alison przyglądała mu się ze swojego miejsca z zaciekawieniem. Podnosiła wzrok za każdym razem, gdy zbliżał się do drzwi. W końcu stukot jej akrylowych paznokci o klawiaturę ucichł.

— Mogę ci w czymś pomóc, Lou?

Wtedy spojrzał na nią tak, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest w pracy; że Alison cały czas tam siedzi. Wyprostował się, poprawił krawat i odchrząknął.

— Ee... nie, dziękuję, Alison — powiedział bardziej oficjalnie, niż zamierzał. Chciał ją przekonać, że nie zwariował; w rezultacie wyszedł na pijanego, który próbuje udawać, że jest trzeźwy.

Ruszył znowu w stronę biurka, ale nagle zatrzymał się i wystawił głowę za drzwi.

— Właściwie, Alison, to spotkanie przy kawie...

— Tak, z Bruce'em Archerem.

— To tylko kawa, prawda?

— Tak powiedział pan Patterson.

— I wie, że to ja mam się z nim spotkać?

— Pan Patterson?

— Nie, Bruce Archer.

— Pan Patterson zadzwonił do niego i wyjaśnił, że sam nie będzie mógł przyjść, ale jego kolega z pracy z wielką przyjemnością się z nim spotka.

— Rozumiem. Czyli może nie spodziewa się akurat mnie?

— Chcesz, żebym to potwierdziła? Jeszcze raz?

— Ee... nie. To znaczy tak. — Zastanowił się nad tym, podczas gdy ręka Alison wisiała nad słuchawką. — Nie — powiedział, po czym wrócił do gabinetu. Kilka

sekund później znowu się wychylił. — Tak, potwierdź — rzucił i schował się szybko z powrotem.

Przemierzając biuro, usłyszał, jak Alison woła radośnie: „Cześć, Gabe”.

Lou zamarł, a następnie z nieznanych sobie przyczyn popędził do otwartych drzwi, oparł się plecami o ścianę, skąd zaczął się przysłuchiwać ich rozmowie.

— Cześć, Alison.

— Elegancko dziś wyglądasz.

— Dzięki. Pan Patterson poprosił, żebym załatwił mu kilka spraw, więc pomyślałem, że dobrze by było, gdybym prezentował się trochę szacowniej.

Lou zerknął przez szparę między drzwiami a framugą i zobaczył Gabe'a; świeżo ostrzyżone włosy były zaczesane gładko, jak włosy Lou, a przez ramię miał przewieszony ciemny garnitur w folii, podobny do garnituru Lou.

— Ten nowy garnitur to do nas? — spytała Alison.

— To? Jest dla mnie. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się garnitur.

Jego odpowiedź wydała się Lou dziwna.

— Przyszedłem dać ci to. Chyba plany. Zdaje się, że Lou chciał je zobaczyć.

— Skąd je wzięłeś?

— Odebrałem od architekta.

— Ale on przecież pracuje dziś w domu — powiedziała zdezorientowana Alison, zaglądając do koperty.

— Tak, odebrałem je od niego z domu.

— Ale Lou poprosił o nie pana Pattersona dosłownie pięć minut temu. Jakim cudem zdobyłeś je tak szybko?

— Och, nie wiem, ja po prostu, no wiesz...

Lou zobaczył, jak Gabe wzrusza ramionami.

— Nie, nie wiem. — Alison się zaśmiała. — Ale chciałabym wiedzieć. Pracuj tak dalej, a nie będę zaskoczona, jeśli pan Patterson da ci posadę Lou.

Oboje się roześmieli, a Lou się najeżył, obiecując sobie zaraz po tej rozmowie zamienić życie Alison w piekło.

— Lou jest u siebie?

— Tak, a co?

— Ma się dziś spotkać z Bruce'em Archerem?

— Tak, a przynajmniej tak mi się zdaje. Czemu pytasz?

— Och, bez powodu. Tak się tylko zastanawiam. A Alfred jest wolny wieczorem?

— To zabawne, Lou spytał mnie przedtem dokładnie o to samo. Tak, Alfred jest wolny, pytałam jego sekretarkę Louise, spodobałaby ci się. — Zachichotała kokieteryjnie.

— Czyli Lou wie, że Alfred może się spotkać z Bruce'em, jeśli on postanowi się wycofać.

— Tak, już mu mówiłam. A co się dzieje? — Ściszyła głos. — O co chodzi z tym całym wieczorem? Lou jakoś dziwnie się zachowuje.

— Tak? Hm...

Dość tego. Lou nie mógł tego dłużej znieść. Zamknął drzwi, niewątpliwie zaskakując ich oboje. Usiadł przy biurku i podniósł słuchawkę.

— Tak? — odezwała się Alison.

— Połącz mnie z Harrym z biura pocztowego, a potem zadzwoń do Ronana Pearsona i sprawdź, czy Gabe odebrał od niego plany osobiście. Zrób to tak, żeby Gabe nie wiedział.

— Tak, oczywiście, jedną chwileczkę — powiedziała profesjonalnie swoim najlepszym telefonicznym głosem.

Telefon zadzwonił i Lou znowu poprawił krawat, znów odchrząknął i obrócił się w swoim ogromnym skórzanym fotelu twarzą do okna. Dzień był zimny, ale przyjemny, bez bryzy. Zakupowicze pędzili to w jedną, to w drugą stronę, oddając cześć sezonowi świątecznemu, z rękami obładowanymi torbami, pośród błysku neonów.

— Halo! — krzyknął w słuchawce Harry.

— Harry, tu Lou.

— Co? — spytał głośno Harry.

W tle słyhać było huk maszyn i głosów, zatem Lou, nie mając wyboru, musiał mówić głośniej. Obejrzał się, by się upewnić, że może kontynuować.

— Tu Lou, Harry.

— Jaki Lou?

— Suffern.

— A, Lou, cześć, w czym mogę pomóc? Twoja poczta znowu trafiła na dwunaste?

— Nie, dostałem ją, dzięki.

— To dobrze. Ten chłopak, którego mi podesłałeś, to geniusz, nieprawdaż?

— Tak?

— Gabe? Pewnie. Wszyscy do mnie dzwonią z samymi pochwałami. Jakby spadł nam z nieba. Mówię ci, nie mógł się pojawić w lepszym momencie. Było nam ciężko, sam wiesz. Jak długo tu jestem, żaden sezon świąteczny nie był jeszcze tak zwariowany. Ma się wrażenie, że wszystko dzieje się coraz szybciej. I chyba tak jest, bo na pewno ja nie robię się powolniejszy, co to, to nie. Wybrałeś mi dobrego pracownika, Lou, jestem twoim dłużnikiem. Co mogę dziś dla ciebie zrobić?

— Cóż, jeśli chodzi o Gabe'a — powiedział powoli Lou, a serce waliło mu w piersi. — Wiesz, że wziął na siebie inne zobowiązania. Zadania poza biurem pocztowym.

— Słyszałem. Dziś rano był niesamowicie podekscytowany. W czasie przerwy sprawił sobie nawet nowy garnitur. Nie wiem, jak mu się to udało. Niektórzy tutaj nie zdążą w tym czasie nawet zapalić papierosa. Chłopak jest szybki. Sądzę, że wkrótce stąd odejdzie i przeniesie się do ciebie na górę. Zdaje się, że pan Patterson z miejsca go polubił. Cieszę się, to dobry dzieciak.

— Tak... Zadzwoń mi żeby ci o tym powiedzieć. Byłoby niedobrze, gdyby to kolidowało z jego pracą u ciebie — spróbował jeszcze raz Lou. — Nie chciałbyś chyba, żeby to, co robi na tych piętrach, odwracało jego uwagę. Prawda? Tutaj

panuje takie szaleństwo, że bardzo łatwo o dekoncentrację.

— Doceniam to, Lou, ale to, co Gabe robi po pierwszej, to jego sprawa. Szczerze mówiąc, cieszę się, że znalazł sobie coś innego. Uwija się ze wszystkim tak błyskawicznie, że trudno zająć mu czas do pierwszej przerwy.

— W porządku. Rozumiem. Jeśli nawali, zrób, co musisz, Harry. Nie chcę, byś czuł się w jakikolwiek sposób zobowiązany wobec mnie, żeby go tu trzymać. Rozumiesz?

— Wiem, Lou, naprawdę. To dobry chłopak, nie masz się o co martwić.

— W porządku. Dzięki. Trzymaj się, Harry.

W telefonie zapadła cisza. Lou westchnął i powoli obrócił się w fotelu, żeby odłożyć słuchawkę. Nagle znalazł się twarzą w twarz z Gabe'em, który stał za jego biurkiem i przyglądał mu się uważnie.

Lou podskoczył, upuścił słuchawkę i wydał z siebie okrzyk przerażenia.

— Jezu Chryste! — Przyłożył rękę do walącego serca.

— Nic. To tylko ja — powiedział Gabe, a jego błękitne oczy świdrowały oczy Lou.

— Nie nauczyli cię pukać? Gdzie Alison?

Lou przechylił się i zobaczył, że nie ma jej przy biurku.

— Jak długo tu stoisz?

— Wystarczająco długo. — Głos Gabe'a był cichy, i to właśnie najbardziej wytrąciło Lou z równowagi. — Próbujesz wpakować mnie w kłopoty, Lou?

— Co?

Serce waliło mu jak szalone, wciąż był podenerwowany tym, co go dzisiaj spotkało, a także z powodu braku Alison i bliskości Gabe'a. Obecność tego człowieka wprawiała go w zakłopotanie.

— Nie. — Przełknął ślinę. Nienawidził siebie za tę nagłą słabość. — Zadzwoń do Harry'ego, żeby spytać, czy jest z ciebie zadowolony. To wszystko.

Zdawał sobie sprawę, że mówi jak mały chłopiec, który się broni.

— I jest zadowolony?

— Okazuje się, że tak. Ale musisz zrozumieć, że czuję się wobec niego odpowiedzialny, skoro to ja cię znalazłem.

— Znalazłeś. — Gabe uśmiechnął się przy tych słowach, jakby nigdy wcześniej ich nie słyszał ani nie wypowiadał.

— Co w tym śmiesznego?

— Nic.

Gabe dalej się uśmiechał. Zaczął się rozglądać po gabinecie, z rękami w kieszeniach i tą samą protekcyjną miną, która nie wyraża ani zazdrości, ani podziwu.

— Jest piąta dwadzieścia dwie i trzydzieści trzy sekundy — powiedział, nie patrząc nawet na zegarek. — Trzydzieści cztery, trzydzieści pięć, trzydzieści sześć... — Odwrócił się i uśmiechnął do Lou. — Rozumiesz.

— No i?

Lou włożył marynarkę i spróbował ukradkiem zerknąć na swój zegarek, by się upewnić. Była równo piąta dwadzieścia dwie.

— Musisz już iść, prawda?

— A wygląda na to, żebyś dokądś szedł?

Gabe podszedł do stołu spotkań i wziął z miski trzy owoce — dwie pomarańcze i jabłko — po czym przyjrzał się uważnie każdemu z osobna.

— Ach, te decyzje — powiedział.

Trzymał trzy owoce w jednej ręce.

— Głodny? — spytał z napięciem w głosie Lou.

— Nie. — Gabe znowu się zaśmiał. — Umiesz żonglować?

W sercu Lou zrodziło się to znajome uczucie i przypomniał sobie, czego nie lubi w Gabie. Właśnie takich pytań, jak to; komentarzy, które poruszają w nim inne struny niż powinny.

— Lepiej odbierz — rzucił Gabe.

— Co odebrać?

Zanim Gabe zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon i choć zwykle Lou wolał, żeby Alison filtrowała połączenia, rzucił się do słuchawki.

To była Ruth.

— Cześć, skarbie. — Pokazał Gabe'owi ręką, że chce mieć trochę prywatności, ale ten, zamiast odejść, zaczął żonglować owocami. Lou odwrócił się do niego tyłem, ale poczuł się nieprzyjemnie z Gabe'em za plecami i odwrócił się znów, żeby mieć go na oku. Ściszył głos.

— Ee, tak, co do wieczoru, to cos' mi wyskoczyło i...

— Nie rób mi tego, Lou — przerwała mu Ruth. — Lucy będzie miała złamane serce.

— Nie dotrę tylko na przedstawienie, kochanie, a Lucy nawet nie zauważy, że mnie nie ma, przecież będzie ciemno. Możesz jej powiedzieć, że byłem. Na resztę wieczoru przyjadę. Pan Patterson poprosił, żebym się spotkał z naszym klientem. To ważna sprawa i może mi pomóc zdobyć stanowisko Cliffa, wiesz?

— Wiem, wiem. A jeśli dostaniesz awans, będziesz spędzać jeszcze więcej czasu z dala od nas.

— Nie, nie będę. Muszę tylko przebrnąć przez te miesiące, by się wykazać.

— Przed kim masz się wykazać? Laurence już zna twoje możliwości, pracujesz w firmie od pięciu lat. Zresztą nie chcę się teraz wdawać w tę dyskusję. Zdążysz na przedstawienie czy nie?

— Na przedstawienie? — Lou przygryzł wargę i spojrzał na zegarek. — Nie, nie zdążę.

Gabe upuścił jabłko, które potoczyło się po dywanie w stronę biurka Lou, i żonglował dalej pomarańczami. Lou poczuł dzieciinną satysfakcję, że Gabe'owi nie wyszło.

— Czyli przyjedziesz do domu na kolację? Z twoimi rodzicami, Aleksandrą i Quentinem? Przed chwilą dzwoniła twoja mama i mówiła, jak bardzo się na to cieszy. Nie odwiedziłeś ich od miesiąca.

— Nieprawda. Byłem u taty... — Zamilkł i chwilę się zastanawiał. Cóż, może

to i było prawie miesiąc temu.

Miesiąc? Ależ ten czas szybko płynie.

Odwiedziny u rodziców stanowiły dla niego uciążliwy obowiązek, jak ślanie łóżka. Kiedy przez jakiś czas nie robił tego, widok skotłowanych koców tkwił mu w głowie, dopóki ich wreszcie nie uporządkował, żeby mieć to za sobą. Na początku czuł satysfakcję, że zadanie wykonane, ale kiedy myślał, że już po sprawie, budził się i wiedział, że znów musi to zrobić. Na myśl o ojcu, który skarżył się, że dawno go nie widział, Lou chciał uciekać w przeciwnym kierunku. W kółko to samo biadolenie, które doprowadzało go do szału. Mimo że w jakimś stopniu budziło w nim też poczucie winy, głównie powodowało, że wołał się jak najdłużej nie pojawiać, żeby go nie słyszeć. Musiał być w odpowiednim nastroju, zdystansować się do uczuć, żeby nie zacząć wrzeszczeć i recytować, ile godzin przepracował i ile umów podpisał, żeby tylko zamknąć ojcu buzię. Dziś z całą pewnością nie był w nastroju. Może gdyby dotarł do domu, kiedy wszyscy wypiją już kilka drinków, poszłoby łatwiej.

— Mogę nie dotrzeć na kolację, ale będę na deser. Masz moje słowo.

Gabe upuścił pomarańczę, a Lou miał ochotę skakać pod sufit z radości. Ale dał sobie na wstrzymanie i dalej wykręcał się przed Ruth ze wszystkiego, odmawiając przeprosin za coś, co jest od niego zupełnie niezależne. W końcu się rozłączył i skrzyżował ręce na piersi.

— Co cię tak cieszy? — spytał Gabe, podrzucając i łapiąc ostatnią pomarańczę z jedną ręką w kieszeni.

— Kiepski z ciebie żongler, prawda? — Lou uśmiechnął się złośliwie.

— Racja. — Gabe odpowiedział uśmiechem. — Jesteś bardzo spostrzegawczy. Rzeczywiście kiepski ze mnie żongler, ale, prawdę mówiąc, to nie jest żonglowanie, jeśli sam zdecydowałem się upuścić dwa owoce i zostawić tylko jeden, nieprawdaż?

Na tę dziwną odpowiedź Lou zmarszczył brwi i zaczął wkładać płaszcz, przygotowując się do wyjścia.

— Nie, Gabe, to z pewnością nie żonglowanie, jeśli sam decydujesz... — Przerwał nagle, gdy zdał sobie sprawę, co mówi, i w głowie usłyszał głos Ruth. Znowu poczuł ten zimny dreszcz i szybko podniósł wzrok, ale Gabe zniknął, a pomarańcza leżała przed nim na biurku.

— Alison. — Lou wymaszerował z gabinetu z pomarańczą w ręku. — Czy wyszedł stąd Gabe?

Alison, trzymając słuchawkę, podniosła palec na znak, żeby zaczekał, podczas gdy ona robiła notatki i słuchała głosu po drugiej stronie.

— Alison.

Lou znowu jej przeszkodził — trochę zdenerwowana zaczęła szybciej pisać, energicznie kiwając głową i tym razem podnosząc całą dłoń.

— Alison — warknął Lou i przerwał połączenie. — Nie mam czasu na głupoty.

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, a słuchawka wisiała jej w ręce.

— Nie wierzę, że właśnie...

— Właśnie tak, więc odpuść już sobie. Czy przechodził tędy Gabe? — spytał.

W jego głosie był gorączkowy pośpiech, słowa potykały się i skakały, próbując nadażyć za sercem.

— Hm... — Zastanowiła się. — Podszedł do mojego biurka jakieś dwadzieścia minut temu i...

— Tak, tak, to wiem. Przed sekundą był u mnie, a potem zniknął. Czy teraz przechodził koło ciebie?

— Cóż, na pewno, ale...

— Widziałaś go?

— Nie, rozmawiałam przez telefon i...

— Jezu. — Uderzył w blat już i tak obolałą pięścią. — Niech to szlag. — Przycisnął dłoń do ciała.

— Co się dzieje, Lou? Uspokój się.

Alison wstała i wyciągnęła do niego rękę.

Lou się cofnął.

— A, przy okazji — ściszył głos i znowu się pochylił — czy na jakichś przesyłkach do mnie bywa inne imię?

— Jak to? — Zmarszczyła brwi.

— No wiesz... — Rozejrzał się, po czym wymamrotał, ledwo otwierając usta:
— Aloysius.

— Aloysius? — spytała głośno.

Wzniósł oczy do nieba.

— Ciszej — szepnął.

— Nie — zniżyła głos. — Nigdy nie widziałam na żadnej kopercie imienia Aloysius.

Jakby własny głos docierał do jej uszu z opóźnieniem, uśmiechnęła się, potem parsknęła, a wreszcie się roześmiała.

— Czemu, u diabła, ktoś miałby napisać na przesyłce Aloy... — Na widok miny Lou jej słowa zamarły, a uśmiech zniknął. — Och. O rany. To naprawdę — jej głos podniósł się o oktawę — urocze imię.

Lou szedł świeżo wybudowanym mostem dla pieszych Séana O'Caseya łączącym dwa odmłodzone nabrzeża, North Wall i moło Sir Johna Rogersona. Sto metrów przez rzekę i był na miejscu, w Przewoźniku, jedynym prawdziwym pubie na tym odcinku moła. To nie miejsce na cappuccino i ciabatty i w związku z tym odwiedza je określona klientela. W barze była garstka świątecznych zakupowiczów, którzy zboczyli z wydeptanego szlaku, by zrobić sobie przerwę, i siedzieli, obejmując fioletowopalczastymi dłońmi podgrzane szklanki. Poza nimi pub wypełniali pracownicy, młodzi i starzy, relaksujący się po całym dniu roboty. Na krzesłach pełno było garniturów, a na stołach kufle i mocniejsze drinki. Dopiero minęła szósta, a ludzie już uciekli z dzielnicy biznesowej i schronili się w najbliższym miejscu pociechy, gdzie mogą bić pokłony przed ołtarzem piwa z kija.

Bruce Archer był jednym z nich. Oparty o bar, z guinnessem w dłoni, ryczał ze

śmiechu w odpowiedzi na komentarz kogoś obok. Kolejnego garnitura. A przy nim stał następny. Wywatowane ramię obok wywatowanego ramienia. Marynarki i spodnie w prążki, skarpety w romby. Kolejne wypastowane buty i aktówki z arkuszami kalkulacyjnymi, diagramami kołowymi i wybiegającymi w przyszłość prognozami rynkowymi. Żaden nie pił kawy. Lou powinien był wiedzieć. Nie wiedział, ale kiedy patrzył, jak się poklepują po plecach i śmieją głośno, nie był ani trochę zaskoczony, więc jednocześnie wiedział od samego początku.

Bruce się odwrócił i zauważył go.

— Lou! — krzyknął przez salę ze swoim silnym bostońskim akcentem i wszystkie głowy się odwróciły, nie w stronę Bruce'a, ale przystojnego i nieskazitelnie ubranego mężczyzny, którego wołał.

— Lou Suffern! Miło cię widzieć!

Wstał, podszedł do Lou z wyciągniętą dłonią, a następnie, schwyciwszy mocno jego rękę, zaczął nią potrząsać, jednocześnie klepiąc go energicznie po plecach.

— Pozwól, że przedstawię cię chłopakom. Chłopaki, to Lou, Lou Suffern, z Patterson Developments. Pracowaliśmy razem nad tym budynkiem na Manhattanie, o którym wam mówiłem, i przeżyliśmy prawdziwą szaloną nocną przygodę, czekajcie tylko, to wam opowiemy, nie uwierzycie. Lou, to jest Derek Z...

I tak Lou zatonął w morzu prezentacji, zapominając każde imię w chwili, gdy je usłyszał, i wypierając z myśli obraz żony i córki, ilekroć ujmował kolejną dłoń, która ścisnęła go zbyt mocno, była zbyt lepka, bezwładna albo potrząsała jego ręką. Próbował zapomnieć, że porzucił rodzinę na rzecz tego tu. Próbował zapomnieć, kiedy go wyśmiali, że chce zamówić kawę i napełnili go piwem, kiedy zignorowali jego próbę wyjścia po pierwszej kolejce. Potem po drugiej. I po trzeciej. Zmęczony dyskusją przy każdej kolejce pozwolił im zmienić swoje zamówienie na jacka danielsa, a kiedy zadzwonił jego telefon, dał się przekonać ich sztubackim drwinom i nie odebrał. A potem, po tym wszystkim, nie musieli

go już przekonywać. Utknął z nimi na dobre, z wyłączonym dźwiękiem w komórce, która co dziesięć minut wibrowała połączeniem od Ruth. Na tym etapie wiedział, że Ruth zrozumie; a jeśli nie, to jest bardzo nierozsądną osobą.

Po drugiej stronie baru pewna dziewczyna spotykała się z nim wzrokiem; na barze stała kolejna whisky z colą. Jego rozum i rozsądek udały się na zewnątrz wraz z palaczami i trzęsły się teraz na zimnie. Jeden myślał o zatrzymaniu taksówki, a drugi rozglądał się w poszukiwaniu kogoś, kto weźmie go ze sobą i pokocha. Wreszcie rozum, zbyt zmęczony i sfrustrowany, rzucił się na rozsądek z pięściami, a Lou odwrócił się do nich plecami i skupił się na ambicji.

Rozdział dwunasty

Ostra jazda

Lou zdał sobie sprawę, że jest zdecydowanie zbyt pijany, żeby poderwać atrakcyjną kobietę, która cały wieczór trzepotała do niego rzesami, kiedy przysiadając się do jej stolika, potknął się o własne stopy i nawet tego nie zauważywszy, przewrócił drinka jej koleżanki i go wylał. Wylał nie na kolana tej ładnej, tylko koleżanki. A kiedy wybełkotał coś, co uważał za niezwykle gładkie i mądre, atrakcyjnej kobiecie wydało się to raczej obleśne i obraźliwe. Bo kiedy wypilo się tyle, ile Lou Suffern, obleśny i obraźliwy komentarz i seksowną gadkę na podryw dzieli cienka granica. Wyglądało na to, że stracił cały urok i wyrafinowanie, którego miał w bród, gdy tu wkraczał. Na jego świeżej białej koszuli widniały plamy z whisky i coli, a krawat kwalifikował się dla tych eleganckich kobiet biznesu jako modowa wpadka. Błękitne oczy Lou, na widok których płeć piękna doznawała zwykle wrażenia, że wpada z dużej wysokości prosto do dwóch basenów, teraz były przekrwione i szkliste, wobec czego już tak nie działały. Kiedy Lou usiłował rozebrać atrakcyjną bizneswoman wzrokiem,

wzbudził tylko jej podejrzenia. Zbyt pijany, by cokolwiek z nią działać — albo z jej koleżanką, którą też usiłował poderwać, gdy wpadł na nią przy toalecie, gdzie próbowała oczyścić ubranie z czerwonego wina — uznał, że rozsądniej będzie wrócić do samochodu. I pojechać do domu.

Kiedy dotarł na zimny i ciemny parking pod biurem — powrót zajął mu dwadzieścia minut więcej, niż powinien — uświadomił sobie, że nie pamięta, gdzie zaparkował. Kręcił się w kółko na środku parkingu, naciskając guzik pilota w nadziei, że dźwięk alarmu albo błysk świateł zdradzi lokalizację auta. Niestety, kręcenie się sprawiało mu tyle radości, że zapomniał przyglądać się samochodom. W końcu jego wzrok przykuł błysk światła. Zobaczył porsche na swoim miejscu parkingowym, zamknął jedno oko i skupił się na tym, by do niego dotrzeć.

— Witaj, skarbie — zamruczał, ocierając się o karoserię, nie z miłości jednak, ale dlatego, że stracił równowagę. Pocałował maskę i wszedł. Odkrywszy, że siedzi na miejscu pasażera, gdzie nie ma kierownicy, wysiadł i przemieścił się na stronę kierowcy. Wgramolił się do auta, a kiedy usadowił się już wygodnie, jego uwagę przykuły cementowe słupy podtrzymujące sufit, które bujały mu się przed oczami. Miał nadzieję, że nie bujną się na dach samochodu, kiedy będzie jechał do domu. To byłoby nierozsądne z ich strony, a dla niego wysoce niefortunne.

Po kilku próbach umieszczenia kluczyka w stacyjce, które zaowocowały porysowaniem metalu wokół dziurki, w końcu go odwrócił i wsunął do środka. Na dźwięk silnika rozradował się i wcisnął pedał gazu do podłogi. Kiedy w końcu przypomniał sobie, żeby podnieść wzrok i zobaczyć, dokąd ma jechać, wrzasnął z przerażenia. Przed maską stał nieruchomy Gabe.

— Jezu Chryste! — krzyknął Lou, zdejmując nogę z gazu i waląc w okno obolałą prawą ręką. — Zwariowałaś? Zabijesz się!

Twarz przed nim była nieostra, ale Lou mógłby się założyć o własne życie, że Gabe się uśmiecha. Usłyszał pukanie, podskoczył, a kiedy uniósł wzrok, zobaczył Gabe'a, jak przygląda mu się przez okno od strony kierowcy. Silnik wciąż był

zapalony, więc Lou opuścił odrobinę szybę.

— Cześć.

— Cześć, Gabe — odpowiedział sennie.

— Zgaś silnik, Lou.

— Nie, nie. Jadę do domu.

— Daleko nie zajedziesz, jeśli nie wrzucisz biegu. To chyba nie najlepszy pomysł, żebyś prowadził. Może wysiądziesz i wezwiemy taksówkę?

— Nie, nie mogę tu zostawić porsche'a. Jakiś wariat go ukradnie. Jakiś świrus. Jakiś bezdomny włóczęga. — Powiedziawszy to wybuchnął nieco histerycznym śmiechem. — O, już wiem. Może ty mnie odwieziesz?

— Nie, nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Wsiądź i zadzwonimy po taksówkę — powiedział Gabe, otwierając drzwi samochodu.

— Nie. Żadnych taksówek — wybełkotał Lou, przesuwając dźwignię biegów na pozycję do jazdy. Wcisnął pedał gazu i samochód skoczył do przodu z otwartymi drzwiami, po czym przystanął, następnie znowu się zerwał i znowu stanął. Gabe przewrócił oczami. Trzymał drzwi pasażera, a auto wykonywało skoki w przód niczym świerszcz z zaburzeniami lękowymi.

— Dobra, w porządku — powiedział w końcu Gabe, kiedy Lou dojechał, choć jazda nie jest tu właściwym słowem, do wyjazdu z parkingu.

— Powiedziałem: w porządku — podniósł głos, gdy Lou znowu szarpnął do przodu. — Zawiozę cię do domu.

Lou przegramolił się nad lewarkiem na siedzenie pasażera, a Gabe usiadł na miejscu kierowcy. Nie musiał przestawiać lusterek ani fotela, gdyż — jak się zdawało — byli z Lou dokładnie tego samego wzrostu.

— Umiesz prowadzić? — odezwał się Lou.

— Tak.

— Jechałeś już kiedyś takim wozem? — spytał Lou i zawył ze śmiechu. — Może taki sam stoi pod twoim penthousem.

— Zapnij pas, Lou.

Gabe nie zwracał uwagi na jego komentarze. Skupił się na tym, by dowieźć go żywego do domu. Na tym etapie było to bardzo ważne zadanie, niezwykle ważne.

Rozdział czternasty

Chłopak z Indykiem 3

— Przyłapałeś go kolejny raz na szybkiej jeździe? — Chłopak z Indykiem uniósł głowę, odrywając od dłoni spoczywającą na nich dotąd brodę. — Mam nadzieję, że tym razem go aresztowałeś. Znowu mógł kogoś zabić. I czemu właściwie kręcisz się stale w tym samym miejscu? Wygląda mi na to, że prześladujesz tego gościa.

— Nie przyłapałem go na przekroczeniu prędkości — wyjaśnił Raphie, ignorując ostatnie pytanie. — Przejechali tylko na czerwonym świetle.

— Tylko? Mam nadzieję, że aresztowałeś tego cholernego szpanera.

— Niby jak miałbym aresztować Lou, daj spokój — odrzekł Raphie mentorskim tonem. — Nie słuchasz. Przestań wybiegać w przód.

— Kiedy tak cholernie wolno opowiadasz. Przejdź wreszcie do sedna.

— Zmierzam do sedna, ale przestanę w ogóle opowiadać, jeśli będziesz miał takie podejście. Raphie posłał Chłopakowi z Indykiem gniewne spojrzenie, a ten tym razem nie odpysknał, więc Raphie ciągnął dalej. — To nie Lou przejechał na czerwonym świetle, bo to nie on prowadził, mówiłem ci już.

— Gabe nie przejechałby na czerwonym. Nie zrobiliby tego — pisał Chłopak z Indykiem.

— A skąd miałem to wiedzieć? Przecież nigdy wcześniej go nie spotkałem.

— Musieli zamienić się po drodze miejscami.

— Za kierownicą siedział Gabe. Choć trzeba przyznać, że mogli się z łatwością zamienić, byli tak podobni. Ale nie, wiem, że to Lou siedział na miejscu

pasażera, całkiem zalany.

— Jakim cudem złapałeś go znowu w tym samym miejscu?

— Miałem tylko oko na czyjś dom.

— Mordercy? — Chłopakowi z Indykiem zaświeciły się oczy.

— Nie, nie żadnego cholernego mordercy, tylko kogoś, kogo znam.

— Śledziłeś swoją żonę? — Chłopak znowu się ożywił.

Raphie zaczął się nerwowo wiercić na krześle.

— Co masz na myśli?

— Żeby sprawdzić, czy ma romans.

— Synu, oglądasz stanowczo za dużo telewizji.

— Och. — Chłopak z Indykiem był zawiedziony. — To co zrobiłeś, kiedy ich złapałeś?

Rozdział piętnasty

Nareszcie w domu

— Dobry wieczór, sierzancie — powiedział Gabe, a z jego szeroko otwartych błękitnych oczu biła szczerłość. Zaskoczony, że mężczyzna zna jego rangę, Raphie postanowił przyjąć nieco łagodniejszy ton.

— Wie pan, że przejechaliście na czerwonym świetle?

— Wiem, sierzancie, i gorąco przepraszam, przysięgam, że to było niechcący. Widziałem żółte i myślałem, że zdążę...

— Przejechał pan długo po tym, jak żółte zmieniło się na czerwone.

— Cóż.

Gabe spojrział w lewo na Lou, który udawał, że śpi, głośno sapiąc i śmiejąc się pomiędzy chrapnięciami. W ręku miał długi parasol.

Raphie przyjrzał się parasolce w dłoni Lou, po czym powędrował wzrokiem

za spojrzeniem Gabe'a, które spoczęło na pedale gazu.

— Jezu — wyszeptał.

— Nie, jestem Gabe — rzekł na to Gabe. — Pracuję z panem Suffernem, próbowałem tylko dowieźć go bezpiecznie do domu, trochę za dużo wypił.

Na ten sygnał Lou chrapnął głośno i wydał z siebie świszczący odgłos. Potem się zaśmiał.

— Co pan powie?

— Czuję się dziś jak ojciec na posterunku — powiedział Gabe. — Upewniam się, że moje dziecko jest bezpieczne. To ważne, prawda?

— O czym pan mówi? — Raphie zmrużył oczy.

— Myślę, że pan wie, o czym mówię. — Gabe uśmiechnął się niewinnie.

Raphie utkwiał w nim wzrok i zaostrzył ton, niepewny, czy nie ma przed sobą przemądrzalca.

— Pańskie prawo jazdy, proszę. — Wyciągnął rękę.

— Och, cóż, nie mam go przy sobie.

— A ma je pan w ogóle?

— Nie przy sobie.

— Już pan mówił. — Raphie wyciągnął notes i długopis. — Jak się pan nazywa?

— Mam na imię Gabe, proszę pana.

— Gabe. A dalej? — Raphie się wyprostował.

— Dobrze się pan czuje? — spytał Gabe.

— Czemu pan pyta?

— Wydaje się pan trochę spięty. Wszystko w porządku?

— Nic mi nie jest.

Raphie zaczął się oddalać od ich samochodu.

— Ktoś powinien pana obejrzeć — powiedział Gabe, a w jego głosie słychać było głęboki niepokój.

— Pilnuj swojego nosa — warknął Raphie, rozglądając się wokół, by się

upewnić, że nikt nie słyszał.

Gabe spojrział na radiowóz w tylnym lusterku. W środku nie było nikogo. Żadnego wsparcia. Żadnego świadka.

— Proszę wpaść w tym tygodniu na komisariat w Howth, Gabe. Niech pan weźmie ze sobą prawo jazdy i zgłosi się do mnie. Wtedy się panem zajmujemy. A teraz proszę zawieźć tego chłopca bezpiecznie do domu. — Skinął na Lou, po czym ruszył do swojego samochodu.

— Znów pijany? — spytał Lou.

Otworzył kaprawe oczy, odwrócił się i odprowadził Raphiego wzrokiem do jego wozu.

— Nie, nie jest pijany — odrzekł Gabe, obserwując w tylnym lusterku, jak Raphie wolno podchodzi do radiowożu.

— To co z nim? — warknął Lou.

— Coś innego.

— To ty jesteś inny. A teraz zawieź mnie do domu. — Pstryknął palcami i się zaśmiał. — Albo nie, daj mi poprowadzić. — Nachmurzył się i zaczął się wiercić w fotelu, próbując wysiąść. — Nie chcę, żeby inni myśleli, że to twój samochód.

— To niebezpieczne jeździć po pijaku. Mógłbyś się rozbić.

— I co z tego? — obruszył się dziecinnie Lou. — To przecież mój problem.

— Niedawno zmarł mój przyjaciel — powiedział Gabe, wciąż obserwując radiowóz, który powoli się od nich oddalał. — Uwierz mi, że kiedy umierasz, to problem wszystkich, tylko nie twój. On zostawił po sobie straszny bałagan. Na twoim miejscu zapiąłbym pas.

— Kto to był?

Lou zignorował radę Gabe'a, zamknął oczy, odchylił głowę i oparł ją na podglówku, rezygnując z pomysłu prowadzenia.

— Nie sądzę, żebyś go znał — odparł Gabe.

Gdy tylko radiowóz zniknął im z pola widzenia Gabe wrzucił kierunkowskaz i ruszył.

— Jak zginął?

— W wypadku samochodowym — odrzekł Gabe, wciskając pedał gazu.

Auto szarpnęło gwałtownie do przodu, a jego silnik zaryczał potężnie pośród cichej nocy.

Lou uniósł nieznacznie powieki i posłał Gabe'owi nieufne spojrzenie.

— Tak?

— Tak. Przykra sprawa. To był młody facet. Młoda rodzina. Urocza żona. Odnosił sukcesy. — Jeszcze mocniej docisnął gaz.

Teraz Lou miał oczy już całkiem otwarte.

— Ale nie to było najsmutniejsze. Najsmutniejsze było, że nie zdążył w porę spisać testamentu. Oczywiście nie można go winić, był młody i nie planował odejść tak szybko, ale to pokazuje, że nigdy nie wiadomo.

Znajdowali się w strefie ograniczenia do pięćdziesięciu, a prędkościomierz wskazywał prawie sto kilometrów na godzinę. Lou złapał się kurczowo klamki. Wyprostował się trochę i ze wszystkich sił wcisnął pośladki w siedzenia. W końcu usiadł całkiem prosto, obserwując prędkościomierz i śmigające za szybą rozmazane światła miasta po drugiej stronie zatoki.

Zaczął sięgać do pasa, ale Gabe równie nagle, jak wcześniej przyspieszył, teraz zdjął stopę z gazu, spojrzął w boczne lusterko, wrzucił kierunkowskaz i płynnie skrzył kierownicę w lewo. Spojrzął na twarz Lou, która przybrała ciekawy odcień zieleni, i uśmiechnął się.

— Nareszcie w domu, Lou.

Dopiero w następnych dniach, kiedy kac mijał, Lou zdał sobie sprawę, że nie pamięta, żeby powiedział tamtej nocy Gabe'owi, którą ma jechać.

— Mama, tata, Quentin, Alexandra! — huknął na cały głos Lou, gdy jego zaskoczona matka otworzyła im drzwi. — Wró-ci-łem — zaśpiewał, obejmując rodzicielkę i wyciskając jej całusa na policzku. — Bardzo przepraszam, że nie dotarłem na kolację, w biurze było mnóstwo pracy. Praca, praca, praca.

Nawet on sam nie mógł zachować powagi przy tej wymówce, stał więc w jadalni, a jego ramiona unosiły się i opadały, płuca rzeziły od niemal bezdźwięcznego śmiechu. Przyglądały mu się zaskoczone i bynajmniej niezachwycone twarze. Ruth zamarła, obserwując męża z mieszaniną złości, bólu i wstydu. Gdzieś w środku czuła też zazdrość. Cały dzień umiała radzić sobie z niepohamowanym entuzjazmem Lucy, który przybrał wszystkie możliwe formy pozytywnych i negatywnych zachowań, do jakich zdolne jest dziecko, a potem ukoić jej nerwy i łzy, kiedy nie chciała wyjść na scenę, póki nie przyjedzie ojciec. Po powrocie z przedstawienia Ruth położyła dzieci do łóżka i spędziła cały wieczór, biegając po domu, żeby przygotować kolację i pokoje dla gości. Teraz miała twarz zaczerwienioną od żaru w kuchni i palce poparzone od noszenia gorących potraw. Była spocona i zmęczona, fizycznie i psychicznie wyczerpana stymulowaniem dzieci na wszelkie właściwe sposoby; od tarzania się po podłodze z Pączkiem po ocieranie łez i pocieszanie zawiedzionej Lucy, która nie zobaczyła na widowni ojca, choć Ruth próbowała ją przekonać, że tam jest.

Ruth patrzyła na ślaniającego się w drzwiach Lou, o przekrwionych oczach i zaróżowionych policzkach, i pragnęła znaleźć się na jego miejscu, zapomnieć o ostrożności i zachowywać się jak kretyńka przed gośćmi. Ale Lou nigdy by na to nie pozwolił — a ona nigdy by tego nie zrobiła — i na tym polega różnica między nimi. I tak oto on kiwa się tam rozradowany, a ona, nieruchoma i głęboko nieszczęśliwa, próbuje zrozumieć, czemu zdecydowała się być klejem, który utrzymuje to wszystko razem.

— Tato! — wołał Lou. — Nie widziałem cię całe wieki! Minęło strasznie dużo czasu, prawda?

Uśmiechnął się, zmierzając do ojca z wyciągniętą ręką. Usiadł na krześle obok i rysując podłogę, przysunął je tak blisko, że niemal stykali się łokciami.

— Powiedz, co porabiasz. A, i chętnie napiłbym się troszkę tego czerwonego wina, bardzo dziękuję. Moje ulubione, dobra robota, skarbie. — Puścił oko do Ruth, po czym wylał większość trunku na biały obrus, próbując trafić niepewną

ręką do czystego kieliszka.

— Powoli, synu — powiedział cicho ojciec i wyciągnął rękę, by mu pomóc.

— Nic mi nie jest, tato.

Lou odsunął się od niego i poplamił winem rękawy jego koszuli.

— Oj, Aloysiusie — odezwała się matka, a Lou wzniósł oczy do nieba.

— To nic, kochanie, nic się nie stało — powiedział ojciec, starając się zbagatelizować sprawę.

— To dobra koszula.

Sięgnęła po serwetkę, umoczyła ją w swojej szklance z wodą i zaczęła pocierać rękawy męża.

— Mamo — rozbawiony Lou rozejrzał się wokół stołu. — Przecież go nie zabiłem, rozlałem tylko trochę wina.

Matka rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, po czym znowu odwróciła wzrok i skupiła się na czyszczeniu koszuli.

— To chyba pomoże.

Lou sięgnął po sól i zaczął posypywać nią ręce ojca.

— Lou! — krzyknął Quentin. — Przestań!

Lou przestał i spojrzał na Alexandrę z nieśmiałym dzieciennym uśmiechem.

— Ach, Quentin. — Skinął głową bratu. — Nie zauważyłem cię. Jak tam łódź? Masz jakieś nowe żagle? Nowy sprzęt? Wygrałeś ostatnio jakieś regały?

Quentin odchrząknął i spróbował się uspokoić.

— Za dwa tygodnie startujemy w fina...

— Alexandra! — zawołał Lou, w pół zdania Quentina. — Jak mogłem nie ucałować czarującej Alexandry?

Wstał i podszedł do niej, objając się o oparcia krzeseł wszystkich obecnych.

— Jak się dziś ma piękna Alexandra? Wyglądasz wspaniale, jak zawsze.

Pochylił się, uściśnął ją mocno i pocałował w szyję.

— Cześć, Lou. — Uśmiechnęła się. — Udany wieczór?

— Och, no wiesz, praca, praca, praca, mnóstwo papierkowej roboty. —

Odrzucił głowę do tyłu i znowu parsknął śmiechem, głośno niczym karabin maszynowy. — O rety. Co się z wami dzieje? Macie miny, jakby ktoś umarł. Niechby wam ktoś powsadzał rakiety w tyłki — zawołał zbyt napastliwie, klaszcząc im przed nosem rękami. — Nu-da.

Odwrócił się i spojrzał na swoją siostrę Marcję.

— Marcia — powiedział, po czym westchnął. — Marcia — powtórzył. — Cześć — dodał i wrócił na swoje miejsce, uśmiechając się jak dziecko.

Zapadła długa cisza. Zakłopotany Gabe stał niepewnie w drzwiach do jadalni.

— Kogo ze sobą przyprowadziłeś, Lou? — odezwał się w końcu Quentin, ruszając w stronę Gabe'a z wyciągniętą dłonią. — Przepraszam, nie przedstawiono nas sobie. Jestem jego bratem. Quentin, a to moja żona, Alexandra.

Lou zagwizdał głośno i parsknął śmiechem.

— Cześć, jestem Gabe.

Gabe uściskał rękę Quentina i wszedł do jadalni. Obszedł stół, witając się z całą rodziną.

— Lou — powiedziała cicho Ruth. — Może napijesz się wody albo kawy, właśnie miałam zaparzyć.

Lou westchnął głośno.

— Czyżbym przynosił ci wstyd, Ruth? — warknął. — Kazałaś mi wrócić do domu. I oto jestem!

Wokół stołu zapanowała cisza, wszyscy unikali się nawzajem wzrokiem. Ojciec Lou spojrzał na niego ze złością, zaczerwieniony, wargi mu drżały, jakby wylewał się z nich potok bezdźwięcznych słów.

Gabe dalej przemieszczał się wokół stołu.

— Cześć, Ruth, bardzo miło mi cię w końcu poznać.

Ledwo spojrzała mu w oczy, ujmując słabo jego dłoń.

— Witaj — powiedziała cicho. — Przepraszam na chwilę, wyniosę tylko to wszystko.

Wstała od stołu i zaczęła zbierać talerze z resztkami serów i kubki po kawie.

— Pomogę ci — zaproponował Gabe.

— Nie, nie, usiądź, proszę.

Popędziła do kuchni ze stertą naczyń.

Gabe nie posłuchał i poszedł za nią. Stała oparta o blat, na którym wszystko postawiła, tyłem do niego. Głowę miała opuszczoną, ramiona przygarbione. W tamtej chwili uleciała z niej cała energia. Gabe narobił hałasu, stawiając talerze obok zlewu, by wiedziała, że tam jest.

Podskoczyła i gdy zobaczyła, że wszedł, pozbierała się; po krótkiej przerwie odzyskała energię i odwróciła się do niego.

— Gabe. — Uśmiechnęła się sztywno. — Mówiłam, żebyś się nie kłopotał.

— Chciałem pomóc — powiedział łagodnie. — Przykro mi z powodu Lou. Nie byłem z nim dziś wieczór.

— Nie? — Skrzyżowała ramiona i wydawała się zawstydzona, że tego nie wie.

— Nie. Pracuję z nim w biurze. Siedziałem tam jeszcze, kiedy wrócił ze swojego... cóż, spotkania przy kawie.

— Kiedy wrócił do biura? Po co miałby... — Spojrzała na niego zdezorientowana, a potem, powoli, jej twarz pokrył cień. — A, rozumiem. Próbował wrócić do domu samochodem.

To nie było pytanie, raczej myśl wypowiedziana na głos, więc Gabe nie odpowiedział, ale Ruth złagodniała wobec niego.

— No tak. Dziękuję, że dowiozłeś go bezpiecznie do domu, Gabe. Przepraszam, że byłam nieuprzejma, ale jestem po prostu, no wiesz... — W jej głos wkradły się emocje i zamilkła, skupiając się na zeskrobywaniu resztek z talerzy do kosza.

— Wiem. Nie musisz się tłumaczyć.

Z jadalni dobiegł okrzyk Lou, następnie dźwięk tłuczonego szkła i znowu śmiech.

Ruth przestała czyścić talerze i zamknęła oczy, wzdychając.

— Lou to dobry człowiek — powiedział cicho Gabe.

— Dziękuję ci, Gabe. Wierz lub nie, właśnie to pragnęłam teraz usłyszeć, ale raczej nie od jego kumpla z pracy. Chciałabym, żeby mogła to powiedzieć jego matka. — Uniosła wzrok i spojrzała na niego zaszklonymi oczami. — Albo jego ojciec. Miło by było usłyszeć też coś takiego od jego córki. Ale nie, to w pracy Lou jest równym gościem.

Ze złością wróciła do zeskrobywania resztek.

— Uwierz mi, nie jestem kumplem z biura. Lou mnie nie znosi.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— Wczoraj załatwił mi pracę. Dawniej siedziałem każdego ranka przed jego budynkiem, a wczoraj, zupełnie niespodziewanie, zatrzymał się, dał mi kawę i zaproponował pracę.

— Wspomniał coś wieczorem. — Ruth zastanowiła się, próbując sobie przypomnieć. — Lou naprawdę zrobił coś takiego?

— Widzę, że jesteś zaskoczona.

— Nie, nie jestem zaskoczona. Nieprawda, jestem. To znaczy... co to za praca?

— W biurze pocztowym.

— Jaką ma z tego korzyść? — Zmarszczyła brwi.

Gabe się zaśmiał.

— Myślisz, że zrobił to dla własnej korzyści?

— Och, to okropne z mojej strony. — Przygryzła wargę, by ukryć uśmiech. — Nie o to mi chodziło. Wiem, że Lou to dobry człowiek, ale ostatnio jest bardzo... zajęty. Czy raczej nieobecny; nie ma nic złego w tym, że jest się zajęty, póki nie jest się nieobecny. — Machnęła ręką. — Ale on jest ciągle rozkojarzony. Jakby był w dwóch miejscach jednocześnie. Jego ciało z nami, a myśli wiecznie gdzie indziej. Wszystkie decyzje, jakie ostatnio podejmuje, wiążą się z pracą; jak ją usprawnić, jak możliwie najszybciej dotrzeć z jednego spotkania na drugie, i tak dalej, i tak dalej... skoro więc cię zatrudnił, pomyślałam, że... Boże, co ja mówię. — Opanowała się. — Najwyraźniej wydobyłeś z niego dobro, Gabe.

— To dobry człowiek — powtórzył Gabe.

Ruth nie odpowiedziała, ale jakby czytając w jej myślach, Gabe dodał:

— Chcesz jednak, żeby stał się lepszy, prawda?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Nie martw się. — Przykrył dłonią jej rękę i natychmiast poczuła ukojenie.

— Będzie lepszy.

Następnego dnia Ruth opowiedziała o ich rozmowie siostrze, a ta zmarszczyła nos, uznając słowa Gabe'a — jak większość tego, co się dzieje w życiu — za bardzo dziwne i podejrzanе. Dopiero wtedy Ruth zaczęła się zastanawiać, czemu, na Boga, nie spytała o nic Gabe'a. Czemu wtedy sytuacja nie wydała jej się dziwna. Ale liczą się chwile, a w tamtej nie czuła potrzeby, żeby pytać. Wierzyła mu, a przynajmniej chciała wierzyć. Dobry człowiek powiedział, że jej mąż stanie się lepszym człowiekiem. Nad czym tu się zastanawiać?

Rozdział szesnasty

Pobudka

Następnego ranka Lou obudził dzieciół, który siedział mu na głowie i z ogromnym zapalem łomotał w jej czubek. Ból rozprzestrzenił się z płata czołowego, przepłynął przez obie skronie i dotarł do podstawy czaszki. Gdzieś na zewnątrz rozległ się klakson — szaleństwo o tej godzinie — i słychać było warkot zapalonego silnika. Lou zamknął z powrotem oczy i starał się zniknąć w krainie snów, ale obowiązki, dzieciół i dźwięk przypominający trzaśnięcie drzwi frontowych nie pozwoliły mu się schronić wśród słodkich marzeń sennych.

Czuł taką suchość w ustach, że zaczął cmokać i zawijać językiem, by zebrać choć odrobinę wilgoci, co pozwoliłoby mu uniknąć koszmaru, jakim jest odruch wymiotny, kiedy brakuje ci śliny. Nagle ślina się pojawiła i Lou znalazł się w tym

okropnym punkcie — rozdarty między łóżkiem a muszlą klozetową — kiedy podskoczyła mu temperatura, zakręciło się w głowie, a wilgoć zaczęła napływać do ust falami. Zrzucił z siebie kołdrę, pobiegł do toalety i padł na kolana. Dopiero kiedy nie miał już siły ani niczego w żołądku, usiadł na podgrzewanych kafelkach, wyczerpany fizycznie i psychicznie, i zauważył, że za oknem jest jasno. W przeciwieństwie do zwyczajowego mroku jego poranków o tej porze roku, teraz niebo miało jasnoblękitny kolor. I wtedy poczuł panikę, znacznie gorszą niż zaliczony właśnie pęd do toalety, podobną bardziej do paniki, jaką odczuwa dziecko na wieść, że spóźniło się do szkoły.

Zwłókł się z podłogi i wrócił do sypialni, przepelniony pragnieniem, żeby złapać budzik i udusić godzinę dziewiątą, świecąca się beczelnie na czerwono. Wszyscy zaspali. Przespali budzik. Tyle że nie do końca, bo Ruth nie ma w łóżku i, co zauważył dopiero teraz, z dołu dolatuje zapach smażenia i wykonuje szyderczego kankana pod jego nosem. Usłyszał brzęk kubków i talerzy. Dziecięce gaworzenie. Odgłosy poranka. Długie, leniwe dźwięki, których nie powinien słyszeć. Powinien słyszeć szum faksu i ksero, windę jeżdżącą szybem w górę i w dół i co pewien czas wydającą z siebie odgłos, który zdaje się oznajmiać, że ludzie w środku są już upieczeni. Powinien słyszeć stukot akrylowych paznokci Alison na klawiaturze. Powinien słyszeć pisk wózka z pocztą, kiedy Gabe przemierza korytarze...

Gabe.

Narzucił na siebie szlafrok i popędził na dół. Omal się nie przewrócił o buty i aktówkę, które zostawił na najniższym stopniu schodów, po czym wpadł do kuchni. Siedzieli tam, cała trójka podejrzanych: Ruth, matka i ojciec. Na szczęście nigdzie nie było widać Gabe'a. Po siwej brodzie ojca ściekało jajko, matka czytała gazetę; obie z Ruth były jeszcze w szlafrokach. Nie odzywał się nikt poza Pączkiem, który śpiewał i gaworzył, a jego brwi unosiły się i zjeżdżały w dół z taką ekspresją, jakby wypowiedane przez niego zdania naprawdę coś znaczyły. Lou zarejestrował tę scenę, ale nie docenił z niej ani piksela.

— Co, do diabła, Ruth? — powiedział tak głośno, że wszystkie głowy się podniosły i zwróciły w jego stronę.

— Słucham? — Spojrzała na niego szerokimi oczami.

— Jest dziewiąta. Dziewiąta, kurwa, rano.

— Aloysiusie — powiedział gniewnie ojciec.

Matka wpatrywała się w niego w osłupieniu.

— Dlaczego mnie nie obudziłaś, do cholery? — Zbliżył się do żony.

— Czemu się tak do mnie odzywasz, Lou? — Ruth zmarszczyła brwi, po czym zwróciła się do syna: — No, Pączku, jeszcze kilka łyżek, skarbie.

— Bo próbujesz doprowadzić do tego, żeby mnie zwolniono. Czemu, u diabła, mnie nie obudziłaś?

— Miałam zamiar cię obudzić, ale Gabe powiedział, żebym tego nie robiła. Uznał, że lepiej będzie pozwolić ci pospać do dziesiątej, że wypoczynek ci się przyda, a ja się z nim zgodziłam — oświadczyła rzeczowym tonem, pozornie niewzruszona tym atakiem w obecności jego rodziców.

— Gabe? — Spojrzał na nią tak, jakby była najidiotyczniejszym stworzeniem na tej planecie. — GABE! — wrzasnął.

— Lou — wykrztusiła matka. — Nie waż się tak krzyczeć.

— Gabe, chłopiec od poczty? Pieprzony CHŁOPIEC OD POCZTY? — Zignorował matkę. — Posłuchałaś jego? To imbecyl!

— Lou! — powtórzyła matka. — Fred, zrób coś. — Szturchnęła męża.

— Ten imbecyl — Ruth walczyła ze wszystkich sił, żeby zachować spokój — przywiózł cię tu wczoraj wieczór, zamiast pozwolić ci się zabić.

Jakby dopiero sobie przypomniał, że Gabe odwiózł go do domu, Lou wypadł z kuchni i popędził na podjazd. Obszedł cały samochód, przeskakując z nogi na nogę na żwirze, tak dalece zaniepokojony o stan auta, że nie czuł, jak co pewien czas ostry kamyk przebija mu skórę. Zbadał porsche ze wszystkich stron, przebiegając palcami po powierzchni, dla pewności, że nie ma żadnych rys ani wgnieceń. Uznawszy, że wszystko jest w porządku, trochę się uspokoił, choć

wciąż nie mógł zrozumieć, czemu Ruth miałaby tak bardzo cenić sobie zdanie Gabe'a. Co się dzieje ze światem, że wszyscy jedzą Gabe'owi z ręki?

Wrócił do domu, gdzie matka i ojciec zmierzyli go takimi spojrzeniami, że pierwszy raz nie wiedział, co powiedzieć. Poszedł do kuchni, gdzie Ruth wciąż siedziała przy stole i karmiła Pączka.

— Ruthy. — Odchrząknął i spróbował wygłosić przeprosiny a la Lou, takie, w których nigdy nie pada słowo „przepraszam”. — Widzisz, rzecz w tym, że Gabe chce ukraść mi posadę. Wiem, że tego nie zauważyłaś, ale tak jest. Więc kiedy dziś wcześniej rano udał się do pracy...

— Odjechał pięć minut temu — przerwała mu błyskawicznie, nie odwracając się, nie patrząc na niego. — Zanocował w wolnym pokoju, bo nie jestem pewna, czy miał dokąd iść. Wstał i zrobił nam wszystkim śniadanie, a potem wezwała mu taksówkę i zapłaciła za nią, żeby mógł dotrzeć do pracy. Odjechał pięć minut temu, więc też jest spóźniony. Ty też możesz zabrać swoje oskarżenia i zachowanie i podążyć za nim do biura, gdzie będziesz mógł poznać się nad wszystkimi wokół.

— Ruthy, ja...

— Masz rację, Lou, a ja się mylę. Po twoim zachowaniu widać wyraźnie, że panujesz nad wszystkim i nie jesteś ani trochę zestresowany — zauważyła zgryźliwie. — Ale ze mnie kretyńka, pomyślałam, że przyda ci się dodatkowa godzina snu. A teraz, Pączku — Ruth wyciągnęła dziecko z krzeselka i pocałowała z uśmiechem jego umazaną jedzeniem buźkę — chodźmy cię wykąpać.

Pączek klasnął w rączki i rozpląnął się pod jej malinowymi całusami. Ruth ruszyła w stronę Lou z Pączkiem w ramionach i przez chwilę Lou złagodniał na widok twarzy syna, tak szeroko uśmiechniętej, że gdyby słońce kiedykolwiek utraciło swój blask, ona mogłaby rozświetlić całą ziemię. Przygotował się, żeby wziąć Pączka na ręce, ale nic z tego. Ruth go minęła, przytulając mocno bobasa, który śmiał się na całe gardło, jakby jej pocałunki były czymś najzabawniejszym,

co mu się przydarzyło w krótkim życiu. Lou miał świadomość, że go odrzucono. Przez jakieś pięć sekund. A potem zdał sobie sprawę, że to pięć sekund z czasu potrzebnego na dotarcie do pracy. I oddalił się pędem.

Dzięki nieobecności sierżanta O'Reilly'ego, gdy Lou wcisnął gaz do dechy i wystrzelił do pracy, udało mu się dotrzeć do biura w rekordowym tempie: piętnaście po dziesiątej, najpóźniej w historii swojego zatrudnienia. Miał jeszcze kilka minut do końca spotkania, splunął więc na dłoń, wygładził nieumyte włosy, przetarł nieogoloną twarz, otrząsnął się z fal zawrotów głowy, które przyniósł mu kac, wziął głęboki wdech i wszedł do sali posiedzeń.

Na jego widok rozległo się zbiorowe westchnienie. Nie to, że wyglądał tak źle; tyle że, jak na niego, nie wyglądał doskonale. A przecież on zawsze wyglądał doskonale. Zajął miejsce naprzeciwko Alfreda, którego mina wyrażała zdumienie i niepoohamowaną radość z kryzysu kolegi.

— Bardzo przepraszam za spóźnienie — zwrócił się Lou do siedzącej przy stole dwunastki. Jego głos był spokojniejszy niż on sam. — Całą noc nie spałem z powodu jakiejś grypy żołądkowej, ale zdaje się, że już wszystko w porządku.

Głowy pokiwały ze współczuciem i zrozumieniem.

— Bruce Archer ma tego samego wirusa. — Alfred uśmiechnął się złośliwie i mrugnął do pana Pattersona.

Komentarz Alfreda sprawił, że w Lou zaczęło się gotować; miał wrażenie, że lada chwila osiągnie temperaturę wrzenia i jego nos wyda z siebie głośny gwizd. Przesiedział spotkanie, walcząc z falami gorąca i nudności, przez cały czas żyła na czole pulsowała mu pełną parą.

— Tak więc, koledzy, dziś mamy ważny wieczór.

Pan Patterson zwrócił się do Lou, który natychmiast skupił się na rozmowie.

— Tak, mam wideokonferencję z Arthurem Lynchem — zabrał głos Lou. — Zaczynamy o siódmej trzydzieści i jestem pewny, że wszystko przebiegnie bardzo sprawnie. Przygotowałem liczne rozwiązania dręczących go kwestii, które omówiliśmy już w tym tygodniu. Myślę, że nie musimy ponownie ich

dyskutować...

— Zaraz, zaraz. — Pan Patterson podniósł palec, by mu przerwać, i dopiero wtedy Lou zauważył, że policzki Alfreda uniosły się w szerokim uśmiechu.

Lou wpatrywał się w kolegę, próbował spotkać się z nim wzrokiem w nadziei na jakąś wskazówkę, podpowiedź, ale Alfred celowo na niego nie patrzył.

— Nie, Lou, oboje z Alfredem idziecie na kolację z Thomasem Crooke'em i jego partnerem. Staramy się o to spotkanie cały rok. — Pan Patterson zaśmiał się nerwowo.

Trach. Trach. Trach. Wszystko się waliło. Lou przekartkował swój terminarz, przeczesał włosy drżącymi palcami i wytarł z czoła krople potu. Przejechał palcem po świeżo wydrukowanym planie dnia; zmęczonym oczom trudno się było skupić, a wilgotny palec wskazujący rozmazywał słowa, przesuwał się po kartce. Zapisana wideokonferencja z Arthurem Lynchem. Ani słowa o kolacji. Ani jednego cholernego słowa o jakiegokolwiek cholernej kolacji.

— Panie Patterson, jestem w pełni świadomy, jak długo zabiegaliśmy o spotkanie z Thomasem Crooke'em. — Odchrząknął i spojrzał zmieszany na Alfreda. — Ale nikt nie uzgodnił ze mną tej kolacji, a w zeszłym tygodniu poinformowałem Alfreda, że dzisiaj o siódmej trzydzieści mam spotkanie z Arthurem Lynchem — powtórzył nerwowo. — Alfred? Wiedziałaś o tej kolacji?

— Cóż, tak, Lou — odrzekł Alfred prześmiewczym tonem, okraszonym wzruszeniem ramion. — Oczywiście. Gdy tylko potwierdzili spotkanie, odwołałem wszystko inne. To nasza największa szansa na sukces budowy na Manhattanie. Wszyscy mówimy o tym od miesiący.

Pozostali zaczęli się nerwowo wiercić na swoich miejscach, choć Lou był przekonany, że są wśród nich tacy, którzy upajają się tą chwilą, zapisują w pamięci każde westchnienie, minę i słowo, by zaraz po wyjściu stąd odtworzyć je przed innymi.

— Wracajcie do pracy — powiedział zmartwiony pan Patterson. — Musimy się pilnie zająć tą kwestią.

Pokój opustoszał i zostali tylko Lou, Alfred i pan Patterson. Lou w jednej chwili poznał po postawie i minie Alfreda, po jego serdelkowatych paluchach złączonych pod brodą jak w modlitwie, że przyjął postawę moralnej wyższości. Posłużył się swoją ulubioną metodą i zajął najwygodniejszą pozycję do ataku.

— Alfred, od jak dawna wiesz o tej kolacji i czemu mi nie powiedziałaś? — Lou przeszedł wprost do ofensywy.

— Mówiłem ci, Lou — odparł Alfred w taki sposób, jakby Lou był niedorozwinięty i miał kłopot z rozumieniem.

Spocony i nieogolony Lou wiedział, że nie wypada najlepiej na tle wyluzowanego rywala. Zdjął drżące palce z terminarza i złożył dłonie.

— Toż to cholerna katastrofa. — Pan Patterson pomasaował sobie brodę. — Powinniście być na tej kolacji obaj, ale nie możesz też zlekceważyć rozmowy z Arthurem. Kolacji nie da się przełożyć, za długo o nią walczyliśmy. A twoją konferencję?

Lou przełknął ślinę.

— Popracuję nad tym.

— Jeśli się nie uda, nie ma wyjścia: Alfred będzie musiał zacząć spotkanie, a ty, Lou, gdy tylko skończysz z Arthurem, jak najszybciej do niego dołączysz.

— Lou musi przeprowadzić poważne negocjacje, więc będzie miał szczęście, jeśli zdąży na miętówki po posiłku. Poradzę sobie sam, Laurence.

Alfred mówił z przekąsem, a na jego twarzy wciąż widniał ten sam złośliwy uśmieszek, przez co Lou zapragnął wziąć dzbanek z wodą ze środka stołu i rozbić mu go na głowie.

— Dam sobie radę.

— Tak, miejmy nadzieję, że Lou przeprowadzi swoje negocjacje szybko i skutecznie, bo inaczej cały ten dzień okaże się stracony — warknął pan Patterson, zbierając swoje papiery ze stołu i wstając. Koniec spotkania.

Lou czuł się tak, jakby znalazł się w jakimś koszmarze; wszystko się sypało,

całą jego dobrą robotę sabotowano.

— Rozczarowujące to spotkanie. Miałem nadzieję, że powie nam, kto zajmie miejsce Cliffa, kiedy ten odejdzie — powiedział leniwie Alfred. — Trudno uwierzyć, że nawet o tym nie wspomniał. Uważam, że jest nam to winny, ale pracuję tu dłużej niż ty, więc...

— Alfred? — Lou wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

— Co? — Alfred wyjął z kieszeni paczkę gum do żucia i wrzucił jedną do ust. Chciał poczęstować Lou, ale ten pokręcił gwałtownie głową.

— Mam wrażenie, że jestem w strefie cienia. Co się tu, u diabła, dzieje?

— Masz kaca, oto, co się dzieje. Przypominasz tego bezdomnego bardziej niż on sam. — Alfred się zaśmiał. — I naprawdę powinienes jedną wziąć. — Znowu zaoferował mu gumę miętową. — Twój oddech cuchnie pawiem.

Lou machnął ręką.

— Czemu nie powiedziałeś mi o kolacji? — spytał ze złością.

— Powiedziałem — odparł Alfred, żując głośno gumę. — Na pewno ci mówiłem. Albo powiedziałem Alison. Zaraz, czy na pewno jej? Może to była ta druga, ta z wielkimi balonami. No wiesz, ta, którą bzykałeś?

Lou odszedł wzburzony i skierował się prosto do biurka Alison. Rzucił szczegóły wieczornej kolacji na klawiaturę, co sprawiło, że stukot akrylowych paznokci ucichł.

Alison zmrużyła oczy i zaczęła czytać.

— Co to?

— Kolacja dziś wieczór. Bardzo ważna. O ósmej. Muszę na niej być.

Chodził w kółko przed biurkiem, podczas gdy Alison przeglądała kartkę.

— Przecież nie możesz, masz wideokonferencję.

— Wiem, Alison — warknął. — Ale muszę tam być. — Dziabnął kartkę palcem. — Załatw to.

Popędził do swojego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi. Kiedy dotarł do biurka, nagle zamarł. Leżała tym korespondencja.

Cofnął się i znów otworzył drzwi.

Alison podskoczyła, odłożyła słuchawkę i podniosła na niego wzrok.

— Tak? — spytała wyczekująco.

— Poczta.

— Tak?

— Kiedy ją tu dostarczono?

— Zaraz z rana. Gabe przywiózł ją o tej porze co zawsze.

— Niemożliwe — zaprotestował Lou. — Widziałaś go?

— Tak. — Na jej twarzy odmalował się niepokój. — Przyniósł mi też kawę. Zdaje się, że to było tuż przed dziewiątą.

— Ale to niemożliwe. Był u mnie w domu — powiedział Lou, bardziej do siebie niż do niej.

— Eee, Lou, jeszcze jedno, zanim pójdziesz... Czy to zły moment, żeby omówić szczegóły przyjęcia dla twojego taty?

Ledwo zdążyła skończyć zdanie, kiedy Lou wrócił do swojego gabinetu i zamknął drzwi z hukiem.

Na świecie istnieje wiele rodzajów pobudek. Dla Lou Sufferna pobudka należała do codziennych obowiązków jego oddanego BlackBerry. Każdego dnia o szóstej rano, kiedy Lou jednocześnie spał i śnił, myślał o poprzednim dniu i planował następny, jego BlackBerry rozdzwaniało się sumiennie, wydając z siebie głośny pisk, celowo nieprzyjemny dla ucha. Urządzenie sięgało ze stolika nocnego do Lou i szturchało go prosto w podświadomość, wrywało ze snu i wlokło do porannego świata. Wtedy Lou się budził — oczy zamknięte, a potem otwarte. Ciało w łóżku, a potem poza nim; nagie, a potem ubrane. Tak właśnie dla Lou wyglądała pobudka. Był to okres przejściowy między snem i pracą.

Dla innych pobudka przybierała odmienne formy. Dla Alison z biura pobudką okazał się strach w wieku szesnastu lat, że może być w ciąży, który zmusił ją do dokonania pewnych wyborów. Dla pana Pattersona pobudką były narodziny pierwszego dziecka, które sprawiły, że zobaczył świat w innym świetle, i

wpłynęły na wszystkie jego decyzje. Dla Alfreda była to utrata rodzinnych milionów przez ojca, kiedy Alfred miał dwanaście lat; zmuszony był przenieść się na rok do szkoły państwowej i choć rodzina odzyskała fortunę, tak że nikt, kto się liczył, nie zauważył ich potknięcia, to doświadczenie na zawsze odmieniło jego postrzeganie świata i ludzi. Pobudka Ruth przypadła na letnie wakacje, kiedy to nakryła męża w łóżku z ich dwudziestosześcioletnią polską nianią. Dla zaledwie pięcioletniej małej Lucy pobudką była chwila, w której spojrzała na widownię szkolnego przedstawienia i zobaczyła obok mamy puste miejsce. Istnieje wiele różnych pobudek, ale tylko jedna ma znaczenie.

Dziś Lou doświadczał nowej, innej pobudki. Otóż Lou Suffern nie wiedział, że można się obudzić, kiedy ma się już otwarte oczy. Nie zdawał sobie sprawy, że można obudzić kogoś, kto wstał już z łóżka i ubrany w elegancki garnitur robi interesy i nadzoruje spotkania. Nie był świadomy, że może zostać obudzony ktoś, kto uważa się za spokojnego i opanowanego, radzącego sobie ze wszystkim, co przyniesie mu życie. W uszach Lou coraz głośniejsz rozbrzmiewał alarm, lecz słyszała go tylko jego podświadomość. Lou próbował strącić budzik, wcisnąć drzemkę i umościć się w wygodnym życiu, ale nic z tego. Nie wiedział, że nie może sam zdecydować, kiedy będzie gotowy do nauki, że to życie da mu nauczkę, kiedy będzie na to gotowe. Nie wiedział, że nie może wcisnąć guzika i nagle wszystko zrozumieć - że to w nim jest guzik, który zostanie naciśnięty.

Lou myślał, że wie wszystko.

Ale miał dopiero dotrzeć do sedna.

Rozdział siedemnasty

Nocne strachy

O siódmej wieczorem, kiedy jego współpracownicy zostali wypłuci z

budynku i wessani przez panujące wokół świąteczne szaleństwo, Lou Suffern pozostał w środku, za swoim biurkiem; czuł się mniej jak elegancki biznesmen, a bardziej jak Aloysius, uczeń w kozie, od którego latami tak zawzięcie próbował się uwolnić. Aloysius wpatrywał się w dokumenty przed sobą z takim entuzjazmem, jaki mógłby w nim obudzić talerz z zieleniną, ograniczającą swoją zielonością jego wolność. Kiedy okazało się, że Lou w żaden sposób nie może odwołać ani przesunąć telekonferencji, pozornie szczerze zawiedziony Alfred posłał mu swoje najlepsze psie spojrzenie, po czym przeszedł do ograniczania szkód, pochłaniając z siłą odkurzacza wszelkie aluzje, że ma coś wspólnego z tym zamieszaniem, i skupił się na obmyślaniu, jak postąpić w zaistniałej sytuacji. Przekonujący jak zawsze Alfred sprawił, że Lou nie mógł sobie przypomnieć, czemu w ogóle się na niego zezłościł, i nie rozumiał, dlaczego dotąd winił go za ten bajzel. Alfred oddziaływał tak na ludzi, obierał niezmiennie ten sam kurs niczym bumerang, który przelatuje przez gówno, a jednak zawsze udaje mu się wylądować w tych samych otwartych dłoniach.

Na dworze panował mrok i ziąb. Mosty i nabrzeża wypełniały samochody: ludzie zmierzali do domu, odliczając dni tej szalonej świątecznej gorączki. Harry miał rację, wszystko działo się zbyt szybko. Wyczekiwanie było większą frajdą niż sama chwila, na którą się czeka. Głowa Lou pulsowała jeszcze mocniej niż rano, a narastającej migrenie towarzyszyło rwanie w lewym oku. Obniżył lampkę na biurku; światło potęgowało ból. Ledwo mógł zebrać myśli, a co dopiero sklecić zdanie, otulił się więc kaszmirowym płaszczem i szalikiem i opuścił gabinet, by udać się do najbliższego sklepu czy apteki po tabletki od bólu głowy. Wiedział, że ma kaca, ale był też przekonany, że zaczyna chorować. Ostatnie kilka dni zupełnie nie czuł się sobą. Źle zorganizowany, niepewny siebie; to musi być spowodowane chorobą.

Korytarz był ciemny. We wszystkich gabinetach pogaszono światła i tylko kilka lamp awaryjnych dawało słabą poświatę, żeby ułatwić obchód ochroniarzom. Lou wcisnął guzik windy i zaczął nasłuchiwać, wyczekując

dźwięku kabiny wciąganej przez liny. Cisza. Jeszcze raz wcisnął guzik i spojrzał na wyświetlacz wskazujący piętro. Widniał na nim parter, ale nic się nie ruszało. Znowu nacisnął guzik. Nic. Wcisnął go jeszcze kilka razy, aż nie mógł już pohamować złości i zaczął w niego walić. Awaria. Jak zwykle.

Odsunął się od windy w poszukiwaniu schodów przeciwpożarowych; głowa wciąż mu pękała. Miał trzydzieści minut do spotkania — równo tyle czasu, ile potrzebuje, żeby zbiec i wbiec trzynaście pięter z tabletkami. Zostawiwszy za sobą znajomy główny korytarz, przecisnął się przez kilkoro drzwi, których właściwie nigdy wcześniej nie zauważył, i znalazł się na korytarzach, które były węższe i pozbawione pluszowej wykładziny. Ciężkie orzechowe drzwi i panele na ścianach zastąpiły biała farba i płyta wiórowa, a biura skurczyły się do rozmiarów pakamery. Zamiast kolekcji dzieł sztuki na tamtych korytarzach, te ozdabiały kserokopiarki i faksy.

Skrećwszy za róg zatrzymał się i zachichotał; odkrył tajemnicę szybkości Gabe'a. Miał przed sobą windę towarową i nagle wszystko stało się jasne. Drzwi były szeroko otwarte, a małą szarą kabinę rozświetlał upiorny blask długiej jarzeniówki. Wszedł do środka. Oczy bolały go od lampy i zanim zdążył sięgnąć do panelu z guzikami, drzwi się zamknęły i winda ruszyła pośpiesznie w dół. Zjeżdżała dwa razy szybciej niż normalne windy i Lou znowu poczuł satysfakcję, że doszedł, jak Gabe'owi udaje się tak błyskawicznie docierać z miejsca na miejsce.

Nacisnął parter, ale guzik się nie zaświecił. Walnął w niego kilka razy i coraz bardziej zaniepokojony patrzył, jak światelko przeskakuje na kolejne piętra. Dwunaste, jedenaste, dziesiąte... Winda zaczęła nabierać prędkości. Dziewiąte, ósme, siódme... Nie zwalniała. Kabina terkotała, pędząc w dół, i coraz bardziej zdenerwowany i przestraszony Lou zaczął wciskać wszystkie możliwe guziki, w tym alarm, ale bez skutku. Winda dalej opadała szybem, według obranego przez siebie kursu.

Kiedy od parteru dzieliło go tylko kilka pięter odsunął się szybko od drzwi i

skulił w rogu kabiny. Schował głowę między kolana, zacisnął palce na kciukach i przygotował się do uderzenia.

Kilka sekund później winda zwolniła, po czym nagle stanęła. Kabina szarpnęła się na końcu lin i zadrżała. Gdy Lou otworzył oczy, dotąd zaciśnięte, zobaczył, że zatrzymał się na poziomie minus jeden. Zupełnie jakby winda cały ten czas funkcjonowała normalnie, wydała z siebie radosne „dzyń”. Lou zadrzał. Widokowi, który się przed nim roztaczał, daleko było do komitetu powitalnego, który przyjmował Lou za każdym razem, gdy drzwi otwierały się na czternastym piętrze. Suterena była zimna i ciemna, a podłoga betonowa i zakurzona. Nie chciał tu wysiadać, wcisnął więc ponownie guzik parteru, żeby szybko wrócić do marmurów i wykładzin, do zawijasów w kolorach kremowych i toffi, do chromowanych powierzchni, ale przycisk znowu się nie zaświecił, winda nie zareagowała, a drzwi pozostały otwarte. Nie miał wyjścia; musiał poszukać schodów przeciwpożarowych i wejść nimi na parter. Gdy tylko wysiadł z kabiny i obie jego stopy znalazły się na piwnicznej podłodze, drzwi się zamknęły i winda ruszyła do góry.

Piwnica była słabo oświetlona. Na końcu korytarza zapalała się i gasła uszkodzona podłużna jarzeniówka, co nie robiło mu dobrze na ból głowy i sprawiło, że kilka razy stracił równowagę. Wokół rozbrzmiewał głośny szum maszyn, sufit był zbudowany tak, że było widać całą elektronikę i przewody. Podłoga pod skórzanymi butami Lou była zimna i twarda, kłęby kurzu podskakiwały i czepiały się ich wypolerowanych czubków. Kiedy się tak przemieszczał wzdłuż wąskiego korytarza w poszukiwaniu wyjścia ewakuacyjnego, usłyszał dźwięk muzyki wydobywający się przez szparę pod drzwiami na końcu drogi, która skręcała gwałtownie w prawo. Chris Rea *Driving Home for Christmas*. Po drugiej stronie Lou zobaczył podświetlony zielony znak przedstawiający człowieka wybiegającego przez drzwi. Przeniósł spojrzenie z wyjścia na pomieszczenie na końcu korytarza, gdzie spod drzwi wyciekały muzyka i światło. Spojrzał na zegarek. Wciąż miał dość czasu, żeby pójść do

apteki i — przy założeniu, że windy będą działać — zdażyć do biura na wideokonferencję. Ciekawość przeważyła. Podeszedł do drzwi i zastukał. Muzyka była tak głośna, że sam ledwo usłyszał swoje pukanie, więc nacisnął powoli klamkę i zajrzał do środka.

To, co zobaczył odebrało mu mowę, wsadziło ją sobie pod pachę i uciekło, rechocząc. Był to mały magazyn; na ścianach od podłogi po sufit wisiały metalowe półki wypełnione wszystkim, od żarówek po papier toaletowy. Były tu dwa przejścia, każde miało nie więcej niż trzy metry długości, i właśnie drugie przykuło jego uwagę. Spomiędzy półek przedzierało się światło pochodzące z poziomego podłogi. Lou podeszedł bliżej i zobaczył znajomy śpiwór, rozłożony na podłodze od ściany do półek oddzielających dwa przejścia. Na śpiworze leżał Gabe i czytał książkę. Był nią tak pochłonięty, że nie podniósł wzroku, kiedy Lou się do niego zbliżył. Na dolnych półkach stały zapalone świece zapachowe, takie, jakie umieszcza się w biurowych łazienkach, a mała lampka z gołą żarówką w rogu pomieszczenia dawała słabe pomarańczowe światło. Gabe był owinięty w ten sam brudny koc, który Lou pamiętał z jego pobytu na chodniku. Na półce stał czajnik, a obok Gabe'a leżało do połowy opróżnione plastikowe pudełko z kanapkami. Nieopodal wisiał jego nowy garnitur, wciąż osłonięty plastikiem, nieużywany. Widok nieskazitelnie czystego garnituru zawieszzonego na metalowej półce w małym magazynie skojarzył się Lou z salonem babci: czymś cennym, zachowanym na wielką okazję, która nigdy nie nadeszła, albo nadeszła, ale nie została zauważona.

Gabe uniósł wzrok i książka wypadła mu z rąk, omal nie strącając świece, kiedy zerwał się i usiadł prosto, naraz czujny.

— Lou — powiedział przestraszony.

— Gabe — odparł Lou, ale nie poczuł satysfakcji, której oczekiwał. To był smutny widok. Nic dziwnego, że Gabe pojawia się w biurze pierwszy i wychodzi ostatni. Ten niewielki składzik wypełniony półkami i różnymi rupieciami stał się jego domem.

— Po co ten garnitur? — spytał Lou, taksując ubiór spojrzeniem. Wydawał się nie na miejscu w tym zakurzonym pomieszczeniu. Wszystko tu było sfatygowane i zużyte, porzucone i zapomniane, a jednak na drewnianym wieszaku wisiał czysty, drogi garnitur. Zupełnie tu nie pasował.

— Och, nigdy nie wiadomo, kiedy będzie ci potrzebny porządny garnitur — odrzekł Gabe, przyglądając się Lou nieufnie. — Powiesz o mnie? — spytał, choć w jego głosie nie było słyhać niepokoju, jedynie ciekawość.

Lou spojrzał na niego i poczuł litość.

— Harry wie, że tu jesteś?

Gabe pokręcił głową przecząco.

Lou się zastanowił.

— Nie pisnę słowa.

— Dzięki.

— Nocowałeś tutaj cały tydzień?

Gabe skinął głową.

— Zimno tu.

— Tak. Kiedy wszyscy wyjdą ogrzewanie się wyłącza.

— Gdybyś chciał mógłbym ci przynieść kilka koców albo, hmm, grzejnik elektryczny czy coś — powiedział Lou i od razu zrobiło mu się głupio.

— Tak, dzięki, byłoby dobrze. Usiądź. — Gabe wskazał na skrzynkę na najniższej półce. — Proszę.

Lou podwinął rękawy, zanim po nią sięgnął, nie chcąc pobrudzić garnituru, po czym usiadł powoli.

— Chciałbyś może kawy? Obawiam się, że jest tylko czarna, maszyna do latte nie działa.

— Nie, dzięki. Wyszedłem tylko, żeby kupić jakieś tabletki od bólu głowy. — Lou nie zareagował na żart i rozglądał się wokół w roztargnieniu. — Doceniam, że odwiozłeś mnie wczoraj do domu.

— Proszę bardzo.

— Świetnie poradziłeś sobie z porsche. — Przyjrzał się uważnie Gabe'owi. — Prowadziłeś już kiedyś taki samochód?

— Pewnie, mam taki na tyłach. — Gabe przewrócił oczami.

— No tak, przepraszam... a skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

— Zgadłem — odparł ironicznie, nalewając sobie kawy. Na widok miny Lou, dodał: — Twój dom, jedyny na ulicy, ma niegustowną bramę. Na szczycie jest ptak. Naprawdę, Lou, ptak? — Spojrzał na Lou tak, jakby sama myśl o metalowym stworzeniu zepsuła powietrze w pomieszczeniu; i możliwe, że tak by się stało, gdyby nie zamaskowały tego świeczki zapachowe.

— To orzeł — powiedział obronnie Lou. — Wiesz, wczoraj wieczorem byłem...

Zaczął przeproszać, a przynajmniej tłumaczyć swoje zachowanie z poprzedniego dnia, ale zmienił zdanie, gdyż nie był w nastroju do tłumaczenia się przed nikim, a zwłaszcza przed Gabe'em, który sypia na podłodze magazynu w piwnicy, a wciąż ma czelność wynosić się ponad niego.

— Czemu powiedziałaś Ruth, żeby pozwoliła mi spać do dziesiątej?

Gabe utkwił w nim spojrzenie błękitnych oczu i choć Lou zarabiał sześciocyfrową sumę i miał dom wart wiele milionów euro w jednej z najbogatszych dzielnic Dublina, a Gabe miał tylko to, tutaj, Lou znowu poczuł się jak przegrany.

— Uznałem, że potrzebujesz odpoczynku.

— A kim ty jesteś, żeby o tym decydować?

Gabe się tylko uśmiechnął.

— Co cię tak bawi?

— Nie lubisz mnie, prawda?

Cóż, jego pytanie było bezpośrednie. I na temat, żadnego owijania w bawełnę. Lou to doceniał.

— Nie powiedziałbym, że cię nie lubię.

— Moja obecność w tym budynku cię martwi — ciągnął Gabe.

— Martwi? Nie. Możesz spać, gdzie ci się podoba. Mnie to nie przeszkadza.

— Nie to mam na myśli. Czujesz się przeze mnie zagrożony, Lou?

Lou odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się. W jego geście była przesada i wiedział o tym, ale nie obchodziło go to. Osiągnął zamierzony efekt. Śmiech wypełnił pomieszczenie i odbił się echem o betonowe ściany i odkryty sufit pełen przewodów. Sama obecność Lou wydała się większa niż przestrzeń Gabe'a.

— Ja miałbym bać się ciebie? Cóż, zobaczymy... — Rozłożył ręce i objął gestem pomieszczenie, które służyło Gabe'owi za mieszkanie. — To chyba starczy za komentarz? — powiedział pompatycznie.

— A, rozumiem. — Gabe uśmiechnął się szeroko, jakby odgadł odpowiedź na finałowe pytanie w teleturnieju. — Mam mniej rzeczy niż ty. Zapomniałem, że to dla ciebie istotne.

Zaśmiał się cicho i pstryknął palcami, sprawiając, że Lou poczuł się jak głupek.

— Rzeczy nie są dla mnie ważne — próbował się słabo bronić. — Wspieram wiele organizacji charytatywnych. Ciągłe daję moje rzeczy innym.

— Tak. — Gabe skinął z powagą głową. — W tym swoje słowo.

— O czym ty mówisz?

— I zaraz o nim zapominasz.

Zajął się grzebaniem w pudełku po butach na drugiej półce i zmienił szybko temat.

— Głowa wciąż boli?

Lou skinął i potarł znużone oczy.

— Proszę. — Gabe przestał grzebać i wyciągnął mały pojemnik z tabletkami.

— Zawsze się zastanawiasz, w jaki sposób docieram wszędzie tak szybko. Weź jedną. — Rzucił pudełko Lou.

— Co to?

— Odrobina magii. — Roześmiał się. — Kiedy połkniesz tabletkę wszystko staje się jasne.

— Nie biorę narkotyków.

Lou położył opakowanie na końcu śpiwora.

— To nie narkotyki.

— To co w nich jest?

— Nie jestem farmaceutą, po prostu weź jedną, wiem tylko, że działają.

— Nie, dzięki. — Lou wstał i skierował się do wyjścia.

— Wiesz, Lou, one naprawdę by ci pomogły.

— Kto mówi, że potrzebuję pomocy? — Lou się odwrócił. — Wiesz co, Gabe, spytałeś, czy cię nie lubię. To nie tak, nie przeszkadzasz mi. Jestem człowiekiem zajęтым, niespecjalnie się tobą przejmuję, ale właśnie ta jedna rzecz mi w tobie nie odpowiada: takie protekcjonalne stwierdzenia. Nic mi nie jest. Z moim życiem jest wszystko w porządku. Boli mnie tylko głowa, i tyle. Rozumiesz?

Gabe skinął głową, a Lou się odwrócił i znowu ruszył w stronę drzwi.

— Tacy ludzie jak ty są... — zaczął znowu Gabe.

— Jacy, Gabe? — warknął Lou, podnosząc głos z każdym zdaniem. — Tacy ludzie jak ja są jacy? Pracowici? Lubią zapewniać rodzinie środki do życia? Nie siedzą cały dzień na tyłku, czekając na jałmużnę? Tacy jak ja pomagają takim jak ty, starają się o pracę dla was, żeby poprawić jakość waszego życia...

Gdyby Lou wysłuchał Gabe'a do końca, dowiedziałby się, że ten nie miał niczego takiego na myśli. Gabe mówił o ludziach, którzy tak jak Lou lubią rywalizację. O ambitnych ludziach skupiających się na nagrodzie, a nie na wykonywaniu zadania. O ludziach, którzy chcą być najlepsi z wszelkich najgorszych powodów i którzy zrobią niemal wszystko, by to osiągnąć. Bycie najlepszym jest takie samo jak bycie średnim, a to jest takie samo jak bycie najgorszym. To wszystko tylko stany bytu. Liczy się to, jak dana osoba czuje się w swoim stanie i czemu się w nim znajduje.

Gabe chciał wytłumaczyć Lou, że ludzie tacy jak on wiecznie oglądają się za siebie, ciągle sprawdzają, co robi osoba obok, porównują się z innymi, chcą osiągnąć więcej, być lepsi. A Gabe mówił Lou Suffernowi o ludziach takich jak

Lou Suffern, żeby go ostrzec, że ludzie, którzy wiecznie oglądają się za siebie, często na coś wpadają.

Ścieżka wydaje się znacznie prostsza, kiedy przestajemy oglądać się na to, co robią inni, i zamiast tego skupiamy się na sobie. Lou nie mógł sobie pozwolić, żeby na tym etapie historii wpadać na cokolwiek. Gdyby się tak stało, z pewnością zniweczyłaby to zakończenie, do którego musimy jeszcze dojść. Tak, Lou miał jeszcze dużo do zrobienia.

Ale Lou nie został, żeby tego wysłuchać. Opuścił magazyn Gabe'a, i, kręcąc głową z niedowierzaniem, pomaszzerował z powrotem korytarzem oświetlonym szemraną jarzeniówką, która raz jaśniała, raz gasła. W końcu znalazł wyjście ewakuacyjne i wbiegł schodami piętro wyżej.

Parter powitał go brząkami i ciepłem i Lou znowu poczuł się bezpiecznie. Kiedy wyłonił się z klatki schodowej, strażnik spojrzał na niego i zmarszczył brwi.

— Coś jest nie tak z windami — zawołał Lou.

Miał za mało czasu, żeby zdążyć do apteki, a potem na konferencję. Będzie musiał wrócić prosto na górę, wyglądając i czując się tak, jak wygląda i jak się czuje, rozpalony i rozmemłany, z idiotycznymi słowami Gabe'a w uszach.

— Pierwsze słyszę. — Strażnik podszedł, pochylił się i wcisnął guzik windy, który z miejsca rozbłysł, a drzwi się otworzyły.

Obrzucił Lou dziwnym spojrzeniem.

— O, nieważne. Dziękuję.

Lou wsiadł do windy i ruszył na czternaste piętro. Oparł głowę o lustro, zamknął oczy, marząc, że jest w domu, leży w łóżku z Ruth, która przytula się do niego we śnie, obejmując go ręką i nogą, tak jak to zawsze robi — czy raczej robiła.

Kiedy winda obwieściła czternaste piętro i drzwi się otworzyły, Lou wytrzeszczył oczy, a potem podskoczył i wrzasnął ze strachu.

Na korytarzu przed nim stał Gabe z poważną miną. Był tak blisko windy, że

prawie dotykał nosem drzwi, gdy te się rozsunęły. Zagrzechotał pojemnikiem z pigułkami przed samą twarzą Lou.

— CHOLERA! GABE!

— Zapomniałeś tego.

— Nie zapomniałem.

— Te pigułki sprawiają, że ból głowy minie.

Lou wyrwał pojemnik z dłoni Gabe'a i wcisnął go sobie głęboko do kieszeni spodni.

— Niech ci służą. — Gabe uśmiechnął się z satysfakcją.

— Mówiłem ci już, że nie biorę narkotyków — powiedział szeptem Lou, choć wiedział, że na piętrze nikogo nie ma.

— A ja ci mówiłem, że to nie narkotyki. Uznajmy je za ziołowe lekarstwo.

— Lekarstwo na co?

— Na twoje problemy, których masz przecież sporo. Zdaje się, że już ci je wymieniłem.

— I to mówi ktoś, kto śpi na podłodze w magazynie — syknął Lou. — Czemu sam nie weźmiesz takiej pigułki i nie zabierzesz się do naprawiania własnego życia? A może to właśnie przez nie jesteś w takim stanie? Wiesz co, zaczynam mieć dość tego, że mnie oceniasz, kiedy ja jestem tu na górze, a ty tam, w dole.

Usłyszawszy to Gabe zrobił dziwną minę, co wywołało w Lou poczucie winy.

— Przepraszam — westchnął.

Gabe tylko skinął głową.

Lou wyjął pigułki z kieszeni i przyjrzał się im. Głowa pękała mu coraz bardziej.

— Czemu miałbym ci ufać?

— Potraktuj to jak prezent. — Gabe powtórzył słowa Lou sprzed zaledwie kilku dni.

Ten komentarz sprawił, że prezent Gabe'a wywołał w Lou Suffernie dreszcz.

Rozdział osiemnasty

Spełnione życzenie

Kiedy Lou znalazł się sam w biurze wyjął pigułki z kieszeni i postawił je na biurku. Położył też na nim głowę i wreszcie zamknął oczy.

— Chryste, wyglądasz okropnie — usłyszał tuż przy swoim uchu i podskoczył.

— Alfred. — Przetarł oczy. — Która godzina?

— Siódma dwadzieścia pięć. Nie martw się, nie przegapiłeś swojego spotkania. Dzięki mnie. — Uśmiechnął się z wyższością, przejeżdżając po blacie biurka pulchnymi, żółtymi od nikotyny palcami o obgryzionych paznokciach. Jeden jego dotyk mógł je zanieczyścić i zostawić brudny ślad, co irytowało Lou. Określenie lepkie łapska było tu niezwykle adekwatne.

— Hej, co to takiego? — Alfred podniósł pojemnik z pigułkami i otworzył wieczko.

— Oddaj to.

Lou sięgnął po pigułki, ale Alfred się cofnął. Wysypał kilka na spoconą dłoń.

— Alfred, oddaj je — powiedział stanowczo Lou, starając się, by w jego głosie nie było słycać desperacji.

Alfred chodził po gabinecie i machał pojemnikiem w powietrzu, drażnił się z Lou jak szkolny łobuz.

— Co ty kombinujesz, niedobry, niedobry Lou? — spytał śpiewnym oskarżycielskim tonem, który zmroził Lou do szpiku kości.

Wiedząc, że Alfred najprawdopodobniej będzie próbował wykorzystać te pigułki przeciw niemu zebrał szybko myśli.

— Zdaje się, że obmyślasz jakąś historyjkę. — Alfred się uśmiechnął. — Wiem, kiedy blefujesz. Pamiętaj, że widuję cię co rano. Nie ufasz mi na tyle, żeby

powiedzieć prawdę?

Lou uśmiechnął się i odparł swobodnym, niemal żartobliwym tonem, choć obaj mówili całkiem serio.

— Szczerze? Ostatnio nie. Nie zdziwiłbym się, gdybyś uknuł plan, jak wykorzystać ten mały pojemnik przeciwko mnie.

Alfred się zaśmiał.

— No proszę. Czy tak się traktuje dobrego kumpla?

Uśmiech Lou zgasł.

— Nie wiem, Alfred, ty mi powiedz.

Przez chwilę mierzyli się nieruchomym wzrokiem. Pojedynek przerwał Alfred.

— Coś ci chodzi po głowie, Lou?

— Jak myślisz?

— Słuchaj. — Ramiona Alfreda opadły; zakończył popis brawury i przeszedł do odgrywania pokory. — Jeśli ci chodzi o dzisiejsze spotkanie, możesz być pewny, że w żaden sposób nie wtrącałem się w twój grafik. Spytaj Louise. Kiedy Tracey odeszła i zastąpiła ją Alison wiele spraw pokomplikowało się w zamieszaniu. — Wzruszył ramionami. — Chociaż, tak między nami, Alison wydaje się trochę postrzelona.

— Nie zwałaj tego na Alison. — Lou skrzyżował ręce na piersi.

— No tak. — Alfred uśmiechnął się i powoli skinął głową. — Zapomniałem, że coś was łączy.

— Nic nas nie łączy, na litość boską.

— Racja, przepraszam. — Alfred zasznurował usta. — Ruth się nie dowie, obiecuję.

Sam fakt, że o tym wspomniał, wytrącił Lou z równowagi.

— Co w ciebie wstąpiło? — spytał, tym razem na poważnie. — Co z tobą? To przez stres? Przez to cholerstwo, które pakujesz sobie do nosa? Co się, u diabła, dzieje? Martwisz się zmianami...

— Zmianami — prychnął Alfred. — Robisz ze mnie kobietę z menopauzą.

Lou wytrzeszczył na niego oczy.

— Nic mi nie jest, Lou — powiedział Alfred powoli. — Jestem taki jak zawsze. To ty się ostatnio dziwnie zachowujesz. Wszyscy o tym mówią, nawet pan Patterson. Może to przez nie. — Zagrzechotał Lou pigułkami przed nosem, zupełnie jak Gabe.

— To środek na ból głowy.

— Nie widzę etykiety.

— Dzieciaki ją zdrapały, a teraz, proszę, przestań miętosić ten pojemnik i oddaj mi go.

Lou wyciągnął do Alfreda otwartą dłoń.

— A, tabletki od bólu głowy. Rozumiem. — Znowu przyjrzał się opakowaniu. — To dziwne, bo wydawało mi się, że słyszałem, jak bezdomny mówił, że to coś ziołowego.

Lou przełknął ślinę.

— Szpiegujesz mnie? Naprawdę?

— Nie. — Alfred się roześmiał. — Nie zrobiłbym tego. Oddam jedną do przebadania, dla pewności, że to nic mocniejszego niż środki przeciwbólowe.

Wyjął jedną pigułkę, schował ją do kieszeni i oddał pojemnik Lou.

— Fajnie się dowiedzieć tego i owego samemu, kiedy kumple mi kłamią.

— Znam to uczucie — zgodził się Lou, zadowolony, że odzyskał tabletki. — To zupełnie jak wtedy, gdy dowiedziałem się o twoim porannym spotkaniu z panem Pattersonem kilka dni temu i o waszym lunchu w zeszły piątek.

Alfred wyglądał, co mu się raczej nie zdarzyło, na autentycznie wstrząśniętego.

— O — powiedział cicho Lou — nie wiedziałeś, że ja wiem, prawda? Przepraszam. Cóż, lepiej, żebyś już ruszał na kolację, bo ominą cię przystawki. Kawior dobrze ci zrobi. Nie samą pracą człowiek żyje.

Poprowadził milczącego Alfreda do wyjścia, wystawił go za próg i puszczając

oko, zamknął mu cicho drzwi przed nosem.

Siódma trzydzieści nadeszła i minęła, a Arthur Lynch nie pojawił się na ogromnej plazmie. Lou siedział przed ekranem, przy stole konferencyjnym. Świadomy, że w każdej chwili może go zobaczyć każdy, kto będzie brał udział w spotkaniu, próbował się rozluźnić na swoim krześle i nie zasnąć. O siódmej czterdzieści sekretarka pana Lyncha zawiadomiła go, że pan Lynch pojawi się za kilka minut.

Czekając, coraz bardziej senny Lou wyobraził sobie Alfreda w restauracji — pewny siebie, głośny, skupia na sobie uwagę, robi co w jego mocy, by zabawić towarzyszy; widział, jak Alfred kradnie mu całą chwałę, ubija lub zabija interes, z którym Lou nie będzie kojarzony, chyba że Alfred poniesie klęskę. Nie będąc tam — na najważniejszym spotkaniu tego roku — Lou tracił najlepszą okazję, żeby wykazać się przed panem Pattersonem. Stanowisko Cliffa i jego pusty gabinet nęciły go dzień w dzień niczym marchewka na sznurku. Zwolniony przez Cliffa gabinet znajdował się na końcu korytarza, obok biura pana Pattersona. Był większy i lepiej oświetlony. Wzywał Lou. Minęło sześć miesięcy od pamiętnego poranka, kiedy Cliff przeżył załamanie nerwowe poprzedzone długą serią dziwnych zachowań. Lou znalazł Cliffa skulonego pod biurkiem; drżał i przyciskał do piersi klawiaturę. Co jakiś czas jego palce wystukiwały na niej w panice jakiś alfabet Morse'a. Idą po niego, powtarzał, wybałuszając przerażone oczy.

Kim dokładnie byli „oni”, Lou nie udało się ustalić. Próbował łagodnie wywabić Cliffa spod biurka, skłonić go, żeby włożył z powrotem skarpetki i buty, ale kiedy się zbliżył, Cliff go zaatakował, uderzył przyczepioną do klawiatury myszką, kręcąc nią jak lassem. Cios małym plastikowym urządzeniem nie był w połowie tak bolesny jak widok upadku młodego, odnoszącego sukcesy człowieka. Przez te wszystkie miesiące gabinet pozostawał pusty, a w miarę jak plotki o dalszej zapaści rozchodziły się po firmie, współczucie dla Cliffa malało, a

współzawodnictwo o jego posadę rosło. Lou usłyszał ostatnio, że Cliff zaczął przyjmować gości, i miał szczerzy zamiar go odwiedzić. Wiedział, że powinien, i na pewno w końcu to zrobi, tylko tak trudno mu znaleźć czas...

Wpatrywał się w czarną, wciąż nieożywioną plazmę, a jego frustracja rosła. Głowa mu pękała. Migrena rozprzestrzeniła się z podstawy czaszki, obejmując oczy, i ledwo mógł zebrać myśli. Zdesperowany, wyciągnął z kieszeni pigułki i utkwiał w nich wzrok.

Pomyślał, że Gabe wiedział o spotkaniu pana Pattersona z Alfredem i że właściwie odczytał całą sprawę z butami; przypomniał sobie, jak przyniósł mu kawę poprzedniego ranka, odwiózł go do domu i jakimś sposobem zdobył sympatię Ruth. Przekonując sam siebie, że Gabe nigdy go nie zawiódł i że teraz może mu ufać, potrząsnął otwartym pojemnikiem i jedna biała błyszcząca pigułka wypadła na spoconą dłoń. Przez chwilę się nią bawił, przetoczył między palcami, polizał; a kiedy nic strasznego się nie stało, wrzucił ją do ust i szybko popił szklanką wody.

Uczepił się stołu konferencyjnego obiema rękami tak kurczowo, że na szklanej powierzchni chroniącej lity orzech pojawił się odcisk wilgotnych dłoni. Czekał. Nic się nie wydarzyło. Puścił blat, uniósł ręce i przyjrzał im się uważnie, jakby to w nich miało się objawić działanie połkniętego środka. Nadal nic się nie działo, żadnego odlotu, niczego, co zagrażałoby życiu; tylko głowa wciąż mu pękała.

O siódmej czterdzieści pięć na ekranie wciąż nie było śladu Arthura Lyncha. Lou niecierpliwie popukał w szkło piórem. Nie obchodziło go już, jakie wrażenie zrobi na ludziach po drugiej stronie kamery. Popadłszy w bezrozumną paranoję, zaczął sobie wmawiać, że w ogóle nie ma żadnego spotkania, że Alfred jakimś sposobem zainscenizował tę konferencję, żeby pójść na kolację bez niego i dobić targu w pojedynkę. Ale on nie pozwoli mu więcej sabotować swojej dobrze wykonanej pracy. Zerwał się na równe nogi, chwycił płaszcz i rzucił się do drzwi. Otworzył je i właśnie znalazł się jedną stopą za progiem, gdy usłyszał za plecami

głos dochodzący z plazmy.

— Bardzo przepraszam, że musiał pan czekać, panie Suffern.

Lou się zatrzymał. Zamknął oczy i westchnął, żegnając się ze swoim marzeniem o najlepszym gabinecie z panoramicznym widokiem na Dublin. Zastanowił się szybko, co robić: pobiec i zdążyć na kolację czy odwrócić się i wypić piwo, którego nawarzył. Zanim zdążył dokonać wyboru, dźwięk innego głosu niemal przyprawił go o zawał.

— Żaden kłopot, panie Lynch, i proszę mi mówić Lou. Wiem, jak różne sprawy potrafią się wydłużać, więc przeprosiny nie są potrzebne. Przejdźmy do rzeczy. Mamy sporo do omówienia.

— Oczywiście, Lou. I mów mi Arthur. Mamy przed sobą dużo pracy, ale zanim przedstawię cię tym dwóm panom obok mnie, może chciałbyś załatwić najpierw swoją sprawę? Widzę, że masz towarzystwo?

— Nie, Arturze, jestem tu całkiem sam — usłyszał siebie Lou. — Wszyscy mnie opuścili.

— Ktoś stoi przy drzwiach, widzę go na ekranie.

Lou powoli się odwrócił i znalazł się twarzą w twarz z samym sobą. Wciąż siedział przy stole konferencyjnym, w tym samym miejscu, gdzie czekał, zanim zaplanował swoją ucieczkę, chwycił płaszcz i ruszył do drzwi. Na twarzy, którą zobaczył przed sobą, też malowało się osłupienie. Podłoga zawirowała Lou pod nogami i przytrzymał się futryny, żeby się nie przewrócić.

— Lou? Jesteś tam? — spytał Arthur, na co obie głowy zwróciły się ku ekranowi plazmy.

— Ee, tak, jestem — wyjąkał Lou przy stole. — Przepraszam, Arthurze, ten pan to... kolega z pracy. Właśnie wychodzi. Zdaje się, że ma dziś ważną kolację. — Odwrócił się i posłał Lou

przy drzwiach ostrzegawcze spojrzenie. — Nieprawdaż?

Lou skinął głową i wyszedł, a kolana i nogi drżały mu przy każdym kroku. Przy windach przytrzymał się ściany; próbował złapać oddech i pozbyć się

zawrotów głowy. Drzwi windy się otworzyły i wpadł do środka, waląc po drodze w przycisk parteru. Przykucnął w rogu kabiny, coraz bardziej oddalając się od siebie na czternastym piętrze.

O ósmej wieczorem, kiedy Lou w biurze firmy Patterson Developments rozmawiał z Arthurem Lynchem, a Alfreda wraz z ekipą mężczyzn prowadzono do stołu, do restauracji wszedł Lou. Podał kaszmirowy płaszcz szatniarzowi, poprawił krawat, wygładził włosy i podszedł do stołu, z jedną ręką w kieszeni, a drugą kołyszącą się swobodnie przy boku. Ciało miał rozluźnione, bez cienia napięcia czy chłodu. Żeby dobrze działać, musi czuć swoją elastyczność, naturalne ruchy mężczyzny, który osobiście nie dba o ostateczną decyzję, ale zrobi wszystko, by was przekonać, że jest inaczej, bo zależy mu jedynie na dobru klienta.

— Przepraszam panów za moje nieznaczące spóźnienie — powiedział gładko do mężczyzn z nosami utkwionymi głęboko w jądłospisach.

Wszyscy podnieśli wzrok i Lou szczególnie ucieszyła mina Alfreda: przez jego twarz przepłynęła meksykańska fala rozmaitych emocji, od zaskoczenia, przez rozczarowanie i niechęć, po gniew. Każda mówiła Lou, że cała ta wpadka to rzeczywiście skutek celowych działań Alfreda. Lou obszedł cały stół, witając się z gośćmi, a kiedy dotarł do kolegi, samozadowolenie zdążyło zepchnąć szok na sam skraj twarzy Alfreda i zająć jego miejsce.

— Patterson cię zabije — mruknął półgębkiem. — Ale przynajmniej jeden interes się dziś uda. Witaj, przyjacielu.

Uścisnął Lou rękę, rozentuzjasmowany perspektywą, że ten zostanie następnego dnia zwolniony.

— Wszystko załatwione — odparł po prostu Lou, kierując się na swoje miejsce kilka krzeseł dalej.

— Jak to? — spytał Alfred tonem wskazującym, że zapomniał, gdzie się znajduje.

Lou poczuł na ramieniu mocny uścisk, który nie dawał mu odejść. Spojrzał na

pozostałych mężczyzn i uśmiechnął się, po czym odwrócił się do nich plecami. Dyskretnie odczepił od siebie Alfreda, palec po palcu.

— Powiedziałem, że wszystko załatwione — powtórzył.

— Odwołałeś spotkanie? Nie rozumiem. — Alfred uśmiechnął się nerwowo. — No, powiedz.

— Nie, nie odwołałem. Nie martw się, Alfredzie. A teraz może poświęcimy trochę uwagi naszym gościom, dobrze? — Błysnął białymi zębami i wyswobodził się całkiem z uścisku Alfreda, co pozwoliło mu udać się wreszcie na swoje miejsce. — Panowie, widzicie coś dobrego w tym menu? Mogę polecić foie gras, już je tu jadłem, prawdziwy smakołyk. — Uśmiechnął się do towarzyszy i oddał się przyjemności załatwiania interesu.

O dziewiątej dwadzieścia, po wideokonferencji z Arthurem Lynchem, Lou wykończony, ale też uradowany i dumny z siebie stał za oknem restauracji The Saddle Room. Był owinięty płaszczem, jako że grudniowy wiatr znowu przybrał na sile, z szalikiem wokół szyi, ale nie czuł zimna, patrząc na siebie, jak gładki w obyciu i wyrafinowany, opowiada historię, skupiając na sobie uwagę wszystkich obecnych. Wszystkie twarze wyrażały zainteresowanie, wszystkie poza Alfredem, a po pięciu minutach ekspresyjnej gestykulacji i min Lou jego towarzysze wybuchnęli śmiechem. Lou wyczytał ze swoich ruchów, że opowiada o tym, jak z kolegami z pracy wylądowali w Londynie w barze dla gejów zamiast w klubie ze striptizem. Patrząc teraz na siebie, postanowił nigdy więcej nie przytaczać tej historii. Wyglądał jak palant.

Wyczuł obok czyjąś obecność i nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, kto to.

— Śledzisz mnie? — spytał, nie odrywając wzroku od okna.

— Nie, pomyślałem tylko, że tu przyjdiesz — odparł Gabe, trzęsąc się i wciskając ręce do kieszeni. — Jak ci tam idzie? Widzę, że jak zwykle wszystkich zabawiasz.

— Co się dzieje, Gabe?

— Jesteś taki zajęty. Dostałeś to, czego sobie życzyłeś. Teraz możesz zrobić wszystko. Uprzedzam tylko, że do rana działanie minie, więc uważaj.

— Który to prawdziwy ja?

— Moim zdaniem, żaden.

Wtedy Lou spojrział na niego i zmarszczył brwi.

— Proszę, dość już tych głębokich myśli. To na mnie nie działa.

Gabe westchnął.

— Obaj jesteście prawdziwi. Obaj funkcjonujecie tak jak zawsze. Połączycie się z powrotem i będziesz cały i zdrowy.

— A kim jesteś ty?

— Naoglądałeś się za dużo filmów. Jestem Gabe. Ten sam gość, którego zgarnąłeś z ulicy.

— Co w nich jest? — Lou wyjął z kieszeni pigułki. — Są niebezpieczne?

— Trochę zrozumienia. A to jeszcze nigdy nikogo nie zabiło.

— Mógłbyś zarobić na nich niezłą kasę. Kto jeszcze o nich wie?

— Ci, co powinni, ludzie, którzy je zrobili. I nie próbuj zbić na nich fortuny, bo musiałbyś za to odpowiedzieć przed kilkoma osobami.

Lou chwilowo odpuścił.

— Nie możesz mnie rozdziwić i oczekiwać, że przyjmę to, o nic nie pytając. To może mieć dla mnie poważne konsekwencje zdrowotne, że nie wspomnę o trwałej zmianie w psychice. A świat naprawdę powinien się o tym dowiedzieć. To szaleństwo! Musimy usiąść i to omówić.

— Oczywiście. — Gabe przyjrzał mu się uważnie. — A kiedy już powiesz reszcie świata, albo zamkną cię w pokoju ze ścianami obitymi gąbką, albo zostaniesz dziwolągiem i codziennie będziesz mógł czytać o sobie w tych samych rubrykach co sklonowana Dolly. Na twoim miejscu zachowałbym to dla siebie i skupił się na wykorzystaniu w pełni tej jakże sprzyjającej sytuacji. Bardzo zbladłeś. Wszystko w porządku?

Lou zaśmiał się histerycznie.

— Nie! Nie wszystko w porządku. To nie jest normalne. Czemu zachowujesz się tak, jakby to było normalne?!

Gabe wzruszył ramionami.

— Pewnie jestem do tego przyzwyczajony.

— Przyzwyczajony? — Lou zacisnął zęby. — No dobra, to dokąd mam teraz iść?

— Cóż, załatwiłeś swoją sprawę w biurze i wygląda na to, że twoja druga połowa załatwia sprawę tutaj. — Gabe się uśmiechnął. — Czyli zostaje jedno wyjątkowe miejsce, do którego możesz się udać.

Lou chwilę się zastanawiał, po czym na jego twarzy zagościł uśmiech, oczy się rozjaśniły; pierwszy raz tego wieczoru zrozumiał Gabe'a.

— Dobra, chodźmy.

— Co? — Gabe wydawał się zaskoczony. — Dokąd?

— Do pubu. Stawiam pierwszą kolejkę. Chryste, gdybyś widział swoją minę! Myślałeś, że dokąd powinienem pójść?

— Do domu, Lou.

— Do domu? — Lou się wykrzywił. — Czemu miałbym to robić?

Odwrócił się i spojrzał na siebie, jak zabiera się tam przy stole do opowiadania kolejnej historii.

— O, to będzie o tym, jak utknąłem na lotnisku w Bostonie. Na ten sam lot czekała pewna kobieta...

Uśmiechnął się i odwrócił znów do Gabe'a, by opowiedzieć mu anegdotę, ale ten zniknął.

— Jak chcesz — wymamrotał.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się sobie, oszołomiony i niepewny, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Zdecydowanie należało mu się piwo, a skoro jego druga połowa zamierza wrócić po kolacji do domu, to znaczy, że może zostać na mieście całą noc i nikt tego nie zauważy — nikt poza osobą, z którą będzie. Dobre czasy.

Rozdział dziewiętnasty

Lou poznaje Lou

Triumfujący Lou podjechał pod dom, rozradowany chrzęstem żwiru pod kołami i widokiem zamykającej się za nim elektronicznej bramy. Kolacja okazała się sukcesem: Lou kierował rozmową i popisał się takim darem przekonywania, negocjowania i zabawiania, jak nigdy dotąd. Panowie śmiali się z jego żartów, samych najlepszych, wsłuchiwali się w każde słowo. Wszyscy odeszli od stołu zgodni i zadowoleni. Lou wypił ostatniego drinka z równie uradowanym Alfredem, po czym udał się do domu.

Na parterze światła były pogaszone, ale na piętrze, mimo późnej godziny, paliło się ich tyle, że mógłby tam wylądować samolot.

Wszedł do środka, w ciemność. Zwykle Ruth zostawiała zapaloną lampę w przedpokoju. Zaczął macać ściany w poszukiwaniu przełącznika. Wokół unosił się złowieszczy zapach.

— Hej, hej! — zawołał.

Jego głos poniósł się echem po trzech kondygnacjach, aż po świetlik w dachu.

Zazwyczaj zastawał idealny porządek, ale dziś w domu panował bałagan. Na podłodze leżały porozrzucone zabawki. Lou cmoknął niezadowolony.

— Hej! — Skierował się na górę. — Ruth?

Czekał, aż jej ostrzegawcze syknięcie przerwie ciszę, ale tak się nie stało. Natomiast kiedy dotarł na piętro, Ruth wybiegła z pokoju Lucy i minęła go pędem, z ręką na ustach i wytrzeszczonymi oczami. Wpadła do ich sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Następnie dobiegły go stamtąd odgłosy wymiotowania.

Na końcu korytarza Lucy zaczęła płakać i wzywać matkę. Lou stał na środku, patrząc od jednego pokoju do drugiego, sparaliżowany i niepewny, co robić.

— Idź do niej, Lou — zdołała wykrztusić Ruth przed kolejnym starciem z

muszlą klozetową.

Wahał się, a płacz Lucy przybierał na sile.

— Lou! — wrzasnęła Ruth, tym razem bardziej nagląco.

Podskoczył, przestraszony jej tonem, i ruszył do pokoju Lucy. Powoli otworzył drzwi i zajrzał do środka; czuł się jak intruz, wkraczając do świata, do którego tak rzadko się zapuszczał. Powitała go Badaczka Dora. W pokoju córki unosił się gryzący zapach wymiocin. Łóżko było puste, ale prześcieradło i różowa pościel leżały skotłowane. Podążył za odgłosami córki do jej łazienki i zastał ją na podłodze, z króliczymi kapciami na nogach, wymiotującą do toalety. Szlochała cicho. Pluła i płakała, płakała i pluła, a wydawane przez nią dźwięki odbijały się echem w muszli.

Lou stał tam i rozglądał się, z aktówką w ręku, niepewny, jak postąpić. Wyjął z kieszeni chusteczkę i zasłonił nos i usta, by uchronić się przed przykrym zapachem i infekcją.

Ku jego uldze Ruth wróciła. Zobaczyła, że Lou stoi beczynn timer i patrzy, jak jego pięcioletnia córka cierpi, po czym precisnęła się obok niego, by zająć się Lucy.

— Już dobrze, skarbie. — Opadła na kolana i objęła dziecko. — Lou, przynieś mi dwie wilgotne myjki do twarzy.

— Wilgotne?

— Włóż je pod zimną wodę, a potem wyźmij, żeby z nich nie kapało — wyjaśniła spokojnie.

— Oczywiście, tak.

Pokręcił głową, zdumiony własną bezrozumnością. Wyszedł powoli z pokoju Lucy, po czym znowu zamarł na korytarzu. Spojrzał w lewo, w prawo. I wrócił.

— Myjki trzymamy w...

— Podgrzewanej szafie — powiedziała Ruth.

— No tak.

Poszedł do szafy i, wciąż w płaszczu i z aktówką w ręku, przebiegł palcami po

myjkach w różnych kolorach. Brązowe, beżowe czy białe. Nie mógł zdecydować. W końcu wybrał brązowe, wrócił do łazienki, zamoczył myjki pod kranem i podał Ruth, mając nadzieję, że właściwie wykonał zadanie.

— Jeszcze nie.

Ruth masowała plecy Lucy, która właśnie robiła sobie przerwę.

— Dobrze, eee, a gdzie mam je położyć?

— Przy łóżku. I czy mógłbyś zmienić jej pościel? Miała mały wypadek.

Lucy znowu zaczęła szlochać, wtulając się w pierś matki. Ruth była blada, miała związane włosy i zmęczone, czerwone, opuchnięte oczy. Wyglądało na to, że ma za sobą nerwowy wieczór.

— Pościel też jest w tej szafie. A floridral w szafce z lekami w pomieszczeniu gospodarczym.

— Co takiego?

— Floridral. Lucy lubi ten o smaku czarnej porzeczki. O Boże — jęknęła, zrywając się, znowu z ręką na ustach, i popędziła do łazienki w ich sypialni.

Lou został sam z Lucy, która siedziała oparta o wannę, z zamkniętymi oczami. Po chwili spojrzała na niego sennie. Wycofał się z łazienki i zabrał się do zdejmowania z łóżka zabrudzonej pościeli. Kiedy się tym zajmował, usłyszał płacz Pączka w pokoju obok. Westchnął, w końcu, zdjął płaszcz i marynarkę i rzucił je na namiot Dory. Rozpiął górny guzik koszuli, poluzował krawat i podwinął rękawy.

Lou wpatrywał się w swojego jacka danielsa z lodem i nie zwracał uwagi na barmana, który, pochylony nad blatem, mówił mu coś do ucha ostrym tonem.

— Słyszysz mnie? — warknął barman.

— Tak, tak, jak sobie chcesz.

Język potykał mu się o słowa niczym pięciolatek w butach z niezawiazanymi sznurówkami. Lou już nie pamiętał, co takiego zrobił. Zamachał lekceważąco bezwładną dłonią, jakby odganiał muchę.

— Nie, żadnego „jak sobie chcesz”, stary. Zostaw ją w spokoju, rozumiesz? Ona nie chce, żebyś się do niej odzywał, nie chce słuchać twojej historii, nie jest tobą zainteresowana. Kapujesz?

— Dobra, dobra — zgodził się niechętnie Lou, przypomniawszy sobie nieuprzejmą blondynkę, która go konsekwentnie ignorowała. Chętnie przestanie z nią rozmawiać, i tak niewiele mówiła, a dziennikarka, z którą konwersował wcześniej, nie wydawała się specjalnie zainteresowana niesamowitą historią, jaką jest jego życie. Nie odrywał wzroku od swojej whisky. Miało dziś miejsce niezwykle zjawisko, a nikt nie chciał wysłuchać jego opowieści. Czy świat zwariował? Czy wszyscy tak się przyzwyczaili do nowych wynalazków i odkryć naukowych, że sama myśl o sklonowaniu człowieka nikogo już nie szokuje? Nie, klientela tego modnego baru woli sączyć swoje drinki; młode kobiety kręcą się w środku grudnia w krótkich spódniczkach odkrywających opalone nogi, mają pasemka we włosach i markowe torebki przewieszane przez brązowe ramiona i wszystkie wyglądają tak egzotycznie, że pasują tu jak kokos na biegunie północnym. I one zajmują mężczyzn bardziej niż doniosłe wydarzenia rozgrywające się w ich kraju? Sklonowano człowieka. W mieście jest dziś dwóch Lou Suffernów. Bilokacja stała się rzeczywistością. Lou zaśmiał się pod nosem i pokręcił głową, rozbawiony komizmem całej sytuacji. Tylko on pojmował głębię możliwości wszechświata, a nikt nie chciał się o niej dowiedzieć.

Poczuł na sobie morderczy wzrok barmana, więc zaprzestał solowego rehotu i skupił się na powrót na kostkach lodu. Patrzył, jak przemieszczają się w szklance, próbują wygodnie się ułożyć, wpadając coraz głębiej w alkohol. Od tego patrzenia zaczęły mu się zamykać oczy. Barman w końcu zostawił go samemu sobie i zajął się obsługiwaniem pozostałych klientów stłoczonych przy barze. Wokół Lou panował nieustający hałas; odgłosy ludzi spędzających czas z innymi ludźmi: flirty po pracy, kłótnie po pracy, stoliki ciasno skupionych i plotkujących z zapalem dziewczyn, grupki młodych mężczyzn, którzy rozglądają się wokół i kręcą nerwowo. Na stołach przeważały drinki przykryte podstawkami

do piwa; puste krzesła oznaczały, że osoby należące do szklanek są na dworze, gonione potrzebą papierosa i nowej znajomości.

Lou się rozejrzał, próbując nawiązać z kimś kontakt wzrokowy. Z początku wybrzydzał przy wyborze powiernika - wolał opowiedzieć swoją historię jakiejś atrakcyjnej kobiecie - ale w końcu postanowił przystać na kogokolwiek. Kogoś na pewno zainteresuje cud, który się zdarzył.

Jedyną osobą, która odpowiedziała na jego spojrzenie, był barman.

— Nalej mi jeszcze jednego — wybełkotał Lou, kiedy barman się do niego zbliżył. — Czysty jack z lodem.

— Dopiero co ci nałalem — odrzekł barman, tym razem lekko rozbawiony — i nawet go jeszcze nie tknąłeś.

— No i? — Lou zamknął jedno oko, by zobaczyć go wyraźniej.

— No i po co ci dwa drinki naraz?

Usłyszawszy to Lou wybuchnął chrapliwym śmiechem wypełnionym ostrym grudniowym wiatrem, który na widok rozpiętego płaszcza i odsłoniętej szyi Lou w jednej chwili wpadł w poszukiwaniu ciepła, niczym kot przez klapkę w drzwiach na dźwięk fajerwerków.

— Chyba nie załapałem dowcipu. — Barman się uśmiechnął. Teraz, gdy przy barze zapanował spokój, nie musiał już wydawać drinków i mógł poświęcić go człowiekowi, który wypił ich za dużo.

— Ech, nikogo tu to nie obchodzi — zezłościł się znowu Lou, machając lekceważąco ręką na otaczający go tłum. — Interesuje ich tylko koktajl *sex on the beach*, kredyt na trzydzieści lat i St. Tropez. Słuchałem ich i mówią tylko o tym. Barman się roześmiał.

— Mów ciszej. Co ich nie obchodzi?

Lou utkwiał w barmanie swoje najlepsze poważne spojrzenie.

— Klonowanie.

Wyraz twarzy barmana uległ zmianie, w oczach błysnęła ciekawość; w końcu słyszy coś innego niż biadolenie.

— Klonowanie? Rozumiem. Interesujesz się tym, tak?

— Interesuję? To coś więcej niż zainteresowanie. — Lou zaśmiał się protekcjonalnie, po czym mrugnął do rozmówcy. Kolejny raz łyknął whisky i przygotował się do opowiedzenia swojej historii. — Możliwe, że trudno ci będzie w to uwierzyć, ale — wziął głęboki wdech - zostałem sklonowany. Pewien gość dał mi pigułki i połknąłem jedną — powiedział, a następnie czknął. — Pewnie mi nie wierzysz, ale tak było. Widziałem na własne oczy. — Wskazał palcem na swoje oko, źle ocenił odległość i dźgnął się w gałkę. Kilka chwil później, kiedy piekący ból ustąpił, Lou otarł łzy i wrócił do swojej opowieści. — Jest mnie dwóch — oświadczył i podniósł cztery palce, potem trzy, następnie jeden, aż wreszcie dwa.

— Czyżby? — spytał barman, biorąc szklankę i wlewając do niej guinnessa. — A gdzie drugi ty? Pewnie jest całkiem trzeźwy.

Lou znowu zaśmiał się chrapliwie.

— Jest w domu z moją żoną. — Zachichotał. — I z dziećmi. A ja jestem tutaj, z nią. — Wskazał kciukiem w lewo.

— Z kim?

Lou spojrzał w bok i przy okazji prawie spadł ze stołka.

— O, ona... gdzie ona jest? — Odwrócił się znów do barmana. — Może poszła do łazienki, jest piękna, fajnie nam się rozmawiało. To dziennikarka, napisze o tym. Zresztą nieważne. Ja się tu świetnie bawię — zaśmiał się znowu — a on siedzi w domu z moją żoną i dziećmi. A jutro, kiedy się zbudzę, wezmę kolejną pigułkę. To nie narkotyki, tylko lek ziołowy, na mój ból głowy. — Wskazał na głowę z poważną miną. — Ja zostanę w łóżku, a on pójdzie do pracy. Ha! Zrobię tyle rzeczy, na przykład... — Skupił się, ale nic nie przyszło mu do głowy. — Na przykład, no wiesz, tak wiele różnych rzeczy. I odwiedzę tyle miejsc. To pieprzony cud. Wiesz, kiedy ostatnio miałem dzień wolny?

— Kiedy?

Lou się zastanowił.

— W zeszłe święta. Żadnych telefonów, żadnego komputera. W święta.

W oczach barmana pojawiło się powątpiewanie.

— Nie byłeś w tym roku na wakacjach?

— Tydzień. Z dziećmi. — Zmarszczył nos. — Wszędzie pełno pieprzonego piasku. Na laptopie, w telefonie. I jeszcze to. — Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej BlackBerry i cisnął nim o bar.

— Ostrożnie.

— To cholerstwo wszędzie się za mną ciągnie; dostanie się do niego piasek, a ono wciąż działa. Narkotyk naszego społeczeństwa. — Dziabnął urządzenie palcem, niechcący wciskając jakieś klawisze, które aktywowały wyświetlacz. Z ekranu uśmiechnęła się do niego Ruth z dziećmi. Pączek szczerzył się w swoim głupkowskim bezzębnym uśmiechu, Lucy zerkała dużymi brązowymi oczyma spod grzywki, Ruth trzymała oboje. Przyglądał im się przez chwilę z uśmiechem. Wyświetlacz zgasł, zdjęcie zniknęło w ciemności i zostało tylko BlackBerry. — Na Bahamach — ciągnął — pip-pip, i już mnie mieli. Pip-pip, pip-pip, i już mnie mają. — Zaśmiał się znowu. — I to czerwone światełko. Widzę je we śnie, pod prysznicem, za każdym razem, gdy zamykam oczy: czerwone światełko i pip-pip. Nienawidzę tego pieprzonego pip-pip.

— To weź dzień wolny — zasugerował barman.

— Nie mogę. Za dużo pracy.

— Cóż, teraz, kiedy zostałeś sklonowany możesz brać tyle wolnego, ile zechcesz — zażartował barman, rozglądając się dla pewności, że nikt go ze stołu.

— Tak. — Lou uśmiechnął się z rozmarzeniem. — Jest tyle rzeczy, które chcę zrobić.

— Co na przykład? Co najbardziej chciałbyś teraz zrobić?

Lou zamknął oczy. Jego zawroty głowy skorzystały z sytuacji i niemal zwały go ze stołka.

— Oj! — Otworzył szybko oczy. — Chcę wrócić do domu, ale nie mogę. On mi nie pozwala. Dzwoniłem do niego wcześniej i mówiłem, że jestem zmęczony i

chcę wracać. Ale on nie pozwolił. — Prychnął. — Pan Wszechmogący powiedział nie.

— Kto powiedział nie?

— Drugi ja.

— Drugi ty zabronił ci wracać? — Barman próbował się nie roześmiać.

— On jest w domu, a nie może być nas tam dwóch. Ale jestem już zmęczony. — Opadły mu powieki. Po chwili uniosły się znowu, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Pochylił się do barmana i zniżył głos. — Wiesz, obserwowałem go przez okno.

— Drugiego ciebie?

— Wreszcie łapiesz. Pojechałem do domu i patrzyłem na niego z zewnątrz. Kręcił się po domu z pościelą i ręcznikami, wbiegał na górę, zbiegał na dół, biegał od pokoju do pokoju, jakby miał się za kogoś wyjątkowego. — Znowu prychnął. — W jednej chwili widzę, jak opowiada przy kolacji swoje głupie dowcipy, a w następnej ściele w domu łóżka. Wydaje mu się, że daje sobie radę z jednym i z drugim. Więc wróciłem tutaj.

— Może daje sobie radę. — Barman się uśmiechnął.

— Może daje sobie radę z czym?

— Z jednym i z drugim. — Mrugnął barman. — Idź do domu — powiedział, po czym zabrał pustą szklankę Lou i poszedł na drugi koniec baru obsługiwać innego klienta.

Kiedy młody mężczyzna składał swoje zamówienie, Lou zastanowił się nad tym głęboko. Jeśli nie może wrócić do domu, nie ma dokąd iść.

— Już dobrze, kochanie, tata jest przy tobie — powiedział Lou, przytrzymując włosy Lucy i masując jej kark, kiedy pochyliła się nad toaletą i zwymiotowała dwudziesty raz tej nocy. Siedział na zimnych kafelkach, w podkoszulku i bokserkach, oparty o wannę; małe ciało córki znowu się skręciło i wyrzuciło z siebie jeszcze więcej wymiocin.

— Tatusiu. — Jej głos brzmiał słabiotko przez łzy.

— Już dobrze, skarbie, jestem tu — powtórzył sennie. — Zaraz będzie po wszystkim.

To musi się zaraz skończyć, ile jeszcze może wyprodukować taka mała istotka?

Co dwadzieścia minut budził się ze snu w łóżku Lucy i pomagał jej w łazience. Dosłownie w kilka chwil lodowate ciało córki stawało się rozpalone, a potem znowu zimne. Zwykle Ruth wstawiała w nocy do dzieci i czuwała, także w chorobie, ale dziś, niestety, ona przeżywała to samo co Lucy. Nieżyt żołądka, świąteczny prezent dla tych, których organizmy są gotowe pożegnać rok przed kalendarzem.

Lou zaniósł Lucy z powrotem do łóżka; jej małe rączki obejmowały go mocno za szyję. Zdążyła już zasnąć, wyczerpana tym, co przyniosła jej noc. Położył ją na łóżku, owinął na nowo zimne ciało kocami i ulokował przy jej głowce ulubionego misia, tak jak pokazała mu Ruth, zanim wybiegła do toalety. Komórka Lou na różowej szafce księżniczki znowu zaczęła wibrować. O czwartej nad ranem był to jego piąty telefon od siebie. Zerknął na wyświetlacz, na którym pojawiła się jego twarz.

— Co znowu? — szepnął do telefonu.

Próbował zapanować nad głosem i gniewem.

— Lou! To ja, Lou! — usłyszał po drugiej stronie własny pijany bełkot, a następnie głośny rechot.

— Przestań do mnie dzwonić — powiedział trochę głośniej.

W tle rozlegała się dudniąca muzyka, krzyki i niezrozumiały gwar. Lou słyszał brzęk szklanek, nawoływanie i wybuchy śmiechu, jeden za drugim, dochodzące z różnych stron. Opary alkoholu niemal przenikały przez aparat w jego dłoni do spokojnego niewinnego świata córki. Odruchowo zasłonił słuchawkę ręką, by świat dorosłych nie wtargnął w jej krainę snów.

— Gdzie jesteś?

— Na Lesson Street. Gdzieś tam! — odkrzyknął. — Poznałem pewną dziewczynę. Niesamowita laska! Będziesz ze mnie dumny. Nie, będziesz dumny z siebie! — I znowu rehot.

— Co?! — warknął głośno Lou. — Nic nie rób! — zawołał.

Powieki Lucy zatrzepotały niczym dwa małe motylki, a spod nich spojrzwały na niego ze strachem duże brązowe oczy. Ale kiedy go zobaczyła — swojego tatusia — niepokój zniknął z jej twarzy, na ustach zagościł lekki uśmiech i oczy znów zamknęły się ze zmęczenia. To zaufanie, wiara w niego, którą zobaczył w tym jednym spojrzeniu, sprawiły, że w tamtej chwili coś się w nim zmieniło. Zrozumiał, że jest jej opiekunem, że może przegonić strach i przywołać uśmiech, i poczuł się lepiej niż kiedykolwiek. Lepiej, niż kiedy zrobił interes przy kolacji; lepiej niż na widok miny Alfreda, kiedy on pojawił się w restauracji. To nowe uczucie obudziło w nim nienawiść do człowieka po drugiej stronie linii, taką odrazę, że miał ochotę go ogłuszyć. Jego córka jest w domu, potwornie wymiotuje, jest tak osłabiona, że nie ma siły otworzyć oczu i ledwo trzyma się na nogach, a on siedzi gdzieś na mieście pijany, ugania się za panienkami i oczekuje, że Ruth poradzi sobie ze wszystkim bez niego. Nienawidził tamtego człowieka.

— Kiedy ona jest naprawdę gorąca, gdybyś mógł ją zobaczyć — wybełkotał tamten Lou.

— Nawet o tym nie myśl — powiedział groźnie, a w jego głosie zabrzmiał niebezpieczny ton. — Przysięgam na Boga, że jeśli cokolwiek zrobisz...

— Co wtedy? Zabijesz mnie? — Zarżał ponownie. — Sam byś wykopał pod sobą dołek, przyjacielu. To dokąd mam, u diabła, iść, he? Masz jakiś pomysł? Nie mogę wrócić do domu, nie mogę pójść do pracy.

Wtedy drzwi się otworzyły i stanęła w nich wyczerpana Ruth.

— Oddzwonię do ciebie.

Lou rozłączył się pośpiesznie.

— Kto dzwonił o tej porze? — spytała cicho.

Miała na sobie szlafrok i obejmowała się rękami. Jej oczy były

zaczerwienione i zapuchnięte, włosy związane w kucyk; wydawała się tak krucha, że mógłby ją powalić podniesiony głos. Drugi raz tej nocy serce Lou zmiękło i podszedł do niej z otwartymi ramionami.

— To tylko jeden znajomy — szepnął, głaszcząc ją po włosach. — Upił się na mieście. Bardzo bym chciał, żeby przestał wydzwaniać. To kretyn — dodał cicho. Zatrzasnął klapkę telefonu i rzucił go na stertę pluszowych misiów. — Jak się czujesz? — Odsunął się i przyjrzał się uważnie jej twarzy. Miała rozpalone czoło i drżała.

— Nic mi nie jest. — Uśmiechnęła się słabo.

— Nieprawda, wracaj do łóżka, a ja przyniosę ci myjkę.

Pocałował ją czule w czoło. Przymknęła oczy i rozluźniła się w jego objęciach.

Miał ochotę przerwać ich uścisk, unieść pięść w górę i wrzasnąć z radości, bo pierwszy raz od bardzo dawna poczuł, że żona z nim nie walczy. Przez ostatnie sześć miesięcy, kiedy ją obejmował, robiła się sztywna i spięta, jakby w ten sposób chciała mu pokazać, że nie akceptuje jego postępowania, że protestuje i nie zamierza popierać takiej postawy. Teraz upajał się tą chwilą, kiedy pozwoliła się przytulić; ciche, ale jakże ważne zwycięstwo dla ich małżeństwa.

Pośród misiów zaczął wibrować telefon, podskakując w ramionach Paddingtona. Na wyświetlaczu znowu pojawiła się twarz Lou i musiał odwrócić wzrok, nie mogąc znieść widoku samego siebie. Teraz rozumiał, jak czuła się Ruth.

— Twój kolega dzwoni — powiedziała Ruth, odsuwając się od niego nieznacznie, żeby mógł sięgnąć po komórkę.

— Nieważne. — Zignorował telefon i przyciągnął ją z powrotem do siebie. — Ruth — powiedział łagodnie, unosząc jej brodę, żeby na niego spojrzała. — Przepraszam.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem, po czym przyjrzała mu się uważnie w poszukiwaniu haczyka. Musi być w tym jakiś haczyk. Lou Suffern powiedział, że

przeprasza. To słowo nie figuruje w jego słowniku.

Kątem oka Lou zobaczył, że komórka znowu dzwoni. Wskoczyła z łap Misia Paddingtona, spadła na głowę Kubusia Puchatka i dalej. Kolejne pluszaki przekazywały ją sobie niczym gorący kartofel. Telefon milkł i zaraz znowu się włączał, z ekranu uśmiechała się do Lou jego twarz, śmiała się z niego i mówiła mu, że wypowiadając te słowa, okazał słabość. Walczył z tą stroną siebie, z tą pijaną, głupią, dziecinną, nierozsądną stroną siebie. Nie odebrał telefonu, nie puścił żony. Przełknął z trudem ślinę.

— Kocham cię, wiesz?

Poczuła się tak jak wtedy, gdy usłyszała to po raz pierwszy. Jakby cofnęli się w czasie do pierwszych spędzonych wspólnie świąt, kiedy siedzieli przy choince w domu jej rodziców w Galway, przy kominku, na swojej ulubionej poduszce leżał zwinięty w kłębek kot, zwariowany pies, który był na tym świecie już kilka lat za długo, siedział w ogródku na tyłach domu i czekał na wszystko, co się ruszało i co się nie ruszało. Lou powiedział jej to wtedy, przy sztucznym białym drzewku, o które zaledwie kilka godzin wcześniej pokłócili się rodzice Ruth — pan O'Donnell chciał prawdziwą sosnę, a pani O'Donnell nie chciała bez przerwy odkurzać igieł. Na jarmarcznej choince powoli rozświetlały się małe zielone, czerwone i niebieskie żaróweczki, a następnie równie wolno gasły. Mimo brzydoty dekoracji, działało to kojąco jak unosząca się i opadająca klatka piersiowa. Była to pierwsza chwila, jaką mieli dla siebie, jedyna chwila, zanim Lou położy się spać na kanapie, a Ruth zniknie w swoim pokoju. Nie planował tego powiedzieć, właściwie planował, że nigdy tego nie powie, ale jakoś samo wyskoczyło, naturalnie niczym noworodek. Lou męczył się przez chwilę, obracał słowa na języku, wypychał je i wciągał z powrotem, nie dość dzielny, by je wypowiedzieć. Ale w końcu słowa padły, a jego świat natychmiast się zmienił. Dwadzieścia lat później, w pokoju ich córki, miał wrażenie, że przeżywa drugi raz tę samą chwilę, widząc taką samą radość i zaskoczenie w twarzy Ruth.

— Och, Lou — powiedziała cicho, zamykając oczy i rozkoszując się tym

momentem.

Nagle otworzyła oczy i pojawiła się w nich obawa, która sprawiła, że Lou ze śmiertelnym przerażeniem czekał, co powie żona. Ile wie? Spanikował i myśli o dotychczasowym zachowaniu zaatakowały go niczym ławica upiornych piranii; wróciły, żeby go dręczyć i podgryzać mu zadek. Pomyślał o drugiej połowie siebie, pijanej na mieście, która prawdopodobnie właśnie niszczy jego nową więź z żoną, burzy to, co z takim trudem udało im się odbudować. Miał wizję dwóch Lou: jeden budował kamienny mur, a drugi kręcił się za nim z młotkiem i burzył wszystko, gdy tylko było gotowe. W rzeczywistości Lou właśnie to robił cały ten czas. Jedną ręką budował rodzinę, a drugą przez swoje zachowanie niszczył wszystko, co z takim trudem udało mu się stworzyć.

Ruth puściła go szybko i pobiegła do łazienki. Usłyszał, jak podnosi deskę, a zawartość jej żołądka trafia do muszli. Nie zносиła, żeby ktoś był przy niej w takich chwilach, więc — jak zwykle wielozadaniowa — zdołała podnieść nogę i zatrasnąć drzwi kopnięciem.

Lou westchnął i padł na stertę misiów na ziemi. Podniósł telefon, który zaczął wibrować po raz piąty.

— Co znowu? — spytał zrezygnowany, spodziewając się, że usłyszy po drugiej stronie swój własny pijany głos. Ale tak się nie stało.

Rozdział dwudziesty

Chłopak z Indykiem 4

— Sranie w banię — powiedział Chłopak z Indykiem, kiedy Raphie przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza.

Zamiast to skomentować Raphie postanowił zaczekać, aż z ust Chłopaka z Indykiem padnie coś bardziej konstruktywnego.

— Totalne sranie w banię — powtórzył nastolatek.

— No dobra, dość tego — orzekł Raphie. Wstał od stołu, zgarnął swój kubek i ten styropianowy, a także papierki po czekoladkach, które zdążył spałaszować w trakcie opowiadania. — Zostawię cię, żebyś mógł w spokoju poczekać na matkę.

— Nie, stój! - odezwał się Chłopak z Indykiem.

Raphie dalej zmierzał w stronę drzwi.

— Nie możesz tak przerwać historii — powiedział z niedowierzaniem chłopak. — Nie możesz mnie zostawić bez zakończenia.

— Cóż, taka jest kara za niewdzięczność. — Raphie wzruszył ramionami. — I za wybijanie okien indykami.

Wyszedł z pokoju przesłuchań.

W ciasnej kuchni stała Jessica i popijała kolejną kawę. Jej oczy były bardzo czerwone, a worki pod nimi pociemniały.

— To już przerwa na kawę? — Udał, że nie widzi, jak źle wygląda.

— Siedziałeś tam całe wieki.

Podmuchała i wypila łyczek. Mówiła, nie odrywając ust od kubka, ani wzroku od tablicy informacyjnej, którą miała przed sobą.

— Jak twoja twarz?

Skinęła głową — jedyny komentarz na temat ran i zadrapań, jaki ktokolwiek mógłby od niej uzyskać. Zmieniła temat:

— Dokąd doszedłeś?

— Do pierwszego rozdwojenia Lou Sufferna.

— Co na to chłopak?

— Zdaje się, że użył określenia „sranie w banię”, a zaraz potem „totalne sranie w banię”.

Jessica uśmiechnęła się lekko, znowu podmuchała i łyknęła kawy.

— Dotarłeś dalej, niż myślałam. Powinieneś pokazać mu taśmy z tamtej nocy.

— Nagrania z kamery w pubie już przyjechały? — spytał Raphie, włączając czajnik. — Kto, do cholery, pracuje tam w święta? Mikołaj?

— Nie, tego jeszcze nie mamy. Ale na nagranej wideokonferencji widać, jak z gabinetu Lou wychodzi ktoś o identycznym jak on wyglądzie. Niektórzy w Patterson Developments nie potrafią ani dnia żyć bez pracy. Chryste, przecież dziś są święta.

— Może na nagraniu widać tego Gabe'a. Jest podobny do Lou.

— Może.

— A właśnie, gdzie on jest? Miał tu dzisiaj być.

Jessica wzruszyła ramionami.

— Lepiej, żeby zaraz ruszył tyłek i wziął ze sobą prawo jazdy, tak jak mu kazałem. — Raphie zagotował się ze złości. — Albo...

— Albo co?

— Albo go zgarnę.

Powoli odsunęła kubek od ust, a spojrzenie tajemniczych oczu utkwiała w Raphiem.

— Za co miałbyś go zgarnąć?

Raphie nie odpowiedział i nalał sobie kolejną kawę, po czym dodał dwie kostki cukru. Jessica, wyczuwając jego nastrój, nie zaprotestowała. Napełnił styropianowy kubek wodą i ruszył na korytarz, powłócząc nogami.

— Dokąd idziesz? — zawołała za nim.

— Skończyć opowieść.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Bohater chwili

— **Pobudeczka.** — Śpiewny głos przeniknął do pijackiego snu, w którym Lou po raz setny przeżywał wszystko od nowa: wycierał czoło Lucy, wkładał Pączkowi do buzi smoczek, przytrzymywał głowę Lucy nad toaletą, przytulał

zonę, której ciało rozluźniało się w jego objęciach, potem znowu rozgrzane czoło Lucy, Pączek wypluwający smoczek, uśmiech Ruth, kiedy powiedział, że ją kocha.

Poczuł zapach świeżej kawy. Z trudem otworzył oczy. To, co zobaczył, sprawiło, że poderwał się ze strachu i uderzył już i tak pękającą z bólu głową o betonową ścianę.

Potrzebował chwili, żeby się odnaleźć. Nie wszystkie wizje roztaczające się o poranku przed jego otwartymi oczami były przyjemne. Zamiast kubka podstawionego mu właśnie pod nos niekiedy za pobudkę służył dźwięk wody spuszczonej w toalecie. Często czekanie, aż tajemnicza spuszczonej wyjdzie z łazienki i pokaże mu swoje oblicze, oznaczało długie minuty pełne niepokoju i niekiedy, choć rzadko, Lou decydował się zniknąć z łóżka i budynku — jednocześnie — zanim kobieta miała szansę mu się objawić.

Tego ranka, po tym jak rozdwoił się po raz pierwszy, Lou Suffern stanął w obliczu zgoła innej sytuacji: zobaczył przed sobą mężczyznę w zbliżonym do siebie wieku, który wciska mu kubek kawy, a na jego twarzy maluje się satysfakcja. To zdecydowanie coś nowego. Na szczęście tym młodym mężczyzną był Gabe i Lou poczuł znaczną ulgę, ustaliwszy, że obaj są całkiem ubrani i nie ma mowy o żadnym spuszczeniu wody. Z obolałą głową i smrodem martwych, gnijących szczurów urabiającym mu jamę ustną, tak jak kandydat na prezydenta urabia salę pełną wyborców, Lou rozejrzał się wokół.

Leżał na ziemi. Wydedukował to z bliskości betonu i odległości od sufitu ze zwisającymi kablami. Mimo śpiwora podłoga była bardzo twarda. Odczuwał ból w karku, wywołany dość niefortunną pozycją, w jakiej jego głowa opierała się ścianę. Nad nim pięły się aż po sufit metalowe półki: twarde, szare, zimne i przygnębiające wyglądały jak żurawie, które zaśmiecają dublińskie niebo, stalowi najeźdźcy, sędziowie rozwijającego się miasta. Po jego lewej stała lampa bez klosza; to ona odpowiadała za bezlitosne białe światło, które nie tyle może rozpraszało się po wnętrzu, ile celowało prosto w twarz Lou, niczym pistolet w

dłoni wyborowego strzelca. Było zupełnie oczywiste, że znajduje się w kanciapie Gabe'a w suterenie. Gabe stał nad nim i wyciągał rękę z kubkiem gorącej kawy. Był to znajomy widok, lustrzane odbicie sytuacji sprzed zaledwie tygodnia, kiedy to Lou zatrzymał się na ulicy i zaproponował kawę Gabe'owi. Tyle że tym razem obraz wydał mu się niepokojący, zniekształcony jak w krzywym zwierciadle, bo Lou uświadomił sobie, że teraz to on znajduje się na dole, a Gabe na górze.

— Dzięki. — Wziął kubek i objął porcelanę zmarzniętymi rękami. Zadrzał. — Strasznie tu zimno.

Raczej zaskrzeczał to niż powiedział, a kiedy usiadł, poczuł, jak ciężar całego świata miażdży mu czaszkę; kac drugiego dnia z rzędu przypomniawszy, że choć z wiekiem przybywa wiele powodów do radości — na przykład nos, który w dzieciństwie był za duży dla jego twarzy, po trzydziestce wreszcie stał się proporcjonalny - obecny stan do nich nie należy.

— Tak, ktoś obiecał mi piecyk elektryczny. Wciąż na niego czekam. — Gabe wyszczerzył zęby w uśmiech. — Nie martw się, ponoć sine usta są modne w tym sezonie.

— Och, przepraszam, powiem Alison, żeby się tym zajęła — wymamrotał Lou i łyknął kawę. Jako że wykorzystał pierwsze chwile po przebudzeniu, by ustalić, gdzie się znajduje, i udało mu się uzyskać jasność co do sytuacji własnego w niej położenia, teraz się rozluźnił i upił kawy. Ale jeden łyk kofeiny uzmysłowił mu kolejny problem.

— Co ja tu, u diabła, robię? — Usiadł prosto, naraz czujny, i spojrzał po sobie w poszukiwaniu wskazówek. Miał na sobie potwornie wymięty garnitur z poprzedniego dnia; koszulę, krawat i marynarkę pokrywały kontrowersyjne, choć raczej niewymagające wyjaśnienia plamy. Właściwie brud był wszechobecny. — Co to za smród?

— To chyba ty. — Gabe się uśmiechnął. — Znalazłem cię wczoraj w nocy na tyłach budynku, jak wymiotowałaś do kontenera na gruz.

— O Boże — wyszeptał Lou, ukrywając twarz w dłoniach. Zaraz jednak

podniósł wzrok, zdezorientowany. — Przecież wczoraj byłem w domu. Lucy i Ruth zachorowały. A gdy wreszcie zasnęły obudził się Pączek. — Potarł zmęczoną twarz. — To był tylko sen?

— Nie — odrzekł radośnie Gabe, zalewając kawę rozpuszczalną wrzątkiem. — To też ty. Wczoraj wieczorem byłeś bardzo zajęty, nie pamiętasz?

Po chwili do Lou wróciły wydarzenia poprzedniego dnia, ale nagle wspomnienia z wieczoru — pigułka, rozdwojenie — zaatakowały szturmem jego umysł i zbombardowały myśli, siejąc w nich spustoszenie.

— Ta dziewczyna, którą poznałem...

Urwał, jednocześnie chcąc i nie chcąc poznać odpowiedzi. Jedna jego część była przekonana o swojej niewinności, podczas gdy druga chciała wywlec się na zewnątrz i stłuc za to, że może znowu zaryzykował małżeństwo. Jego ciało zlało się zimnym potem, dodając nową nutę do bogatej mieszanki zapachowej.

Gabe pozwolił mu trochę pocierpieć, spokojnie dmuchał w kawę i popijał ją drobnymi łyčzkami niczym mysz skubiąca kawałek gorącego sera.

— Poznałeś jakąś dziewczynę? — spytał niewinnie, z szeroko otwartymi oczami.

— Ja, ee, poznałem... nieważne. Czy kiedy mnie znalazłeś, byłem sam? — To samo pytanie, inne słowa. Jednocześnie.

— W rzeczy samej, byłeś całkiem sam. Choć nie samotny, z przyjemnością sam sobie dotrzymywałeś towarzystwa, bełkocząc coś o jakiejś niewieście — droczył się z nim Gabe. — Zdaje się, że ją zgubiłeś i nie mogłeś sobie przypomnieć, gdzie ją wsadziłeś. W każdym razie nie znalazłeś jej na dnie kontenera, choć może po usunięciu warstwy pawia, którego tam złożyłeś, odkrylibyśmy twoją tekturową kobietę.

— Co mówiłem? Nie wdawaj się w szczegóły, tylko powiedz, czy wspominałem o... no wiesz... Cholera, jeśli coś zrobiłem, Ruth mnie zabije. — Oczy zaszyły mu łzami. — Jestem pieprzonym dupkiem. — Sfrustrowany kopnął skrzynkę stojącą na końcu śpiwora.

Gabe przestał się uśmiechać; szanował tę stronę Lou.

— Nic nie zrobiłeś.

— Skąd wiesz?

— Wiem.

Lou popatrzył na niego, czujnie, ciekawie, nieufnie, wszystko jednocześnie. Miał wrażenie, że w tej chwili Gabe jest wszystkim: rodzicem, porywaczem, którego zaczyna lubić, jedyną osobą, która rozumie jego sytuację, ale też sama go w niej postawiła. Niebezpieczna relacja.

— Gabe, musimy pogadać o tych pigułkach. Nie chcę ich już. — Wyjął z kieszeni opakowanie. — Ubiegła noc pod wieloma względami była dla mnie prawdziwym objawieniem, naprawdę. — Na wspomnienie swojego pijanego głosu w telefonie przetarł znużone oczy. — Czy teraz jest mnie dwóch?

— Nie, znowu jesteś jeden — odrzekł Gabe. — Roladkę figową?

— Ruth. — Lou go zignorował. — Ruth się obudzi i zobaczy, że mnie nie ma. Będzie się martwić. Czy ja po prostu zniknąłem?

— Obudzi się i zobaczy, że pojechałeś do pracy, tak jak zawsze.

Dotarło to do niego i trochę się uspokoił.

— Ale to nie w porządku. To wszystko nie ma sensu. Naprawdę musimy porozmawiać o tym, skąd je masz.

— Rzeczywiście, musimy — odparł poważnie Gabe, odbierając fiolkę od Lou i chowając do kieszeni. — Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie czas.

— Co masz na myśli? Na co czekasz?

— Mam na myśli to, że jest prawie ósma trzydzieści i musisz zdążyć na spotkanie, zanim wparuje tam Alfred i usunie cię w cień.

Usłyszawszy to, Lou odstawił kawę gwałtownie na półkę, między przedłużacz i stertę pułapek na myszy, i zerwał się na równe nogi, tak przejęty, że z miejsca zapomniał o poważnych wątpliwościach związanych z dziwnymi pigułkami, a także o tym, żeby dociekać, skąd, na Boga, Gabe wie o jego spotkaniu o ósmej trzydzieści.

— Masz rację, muszę lecieć, ale później pogadamy.

— Nie możesz pójść w takim stroju. — Gabe zaśmiał się, mierząc wzrokiem brudny i wygnieciony garnitur Lou. — Poza tym czuć od ciebie pawia. I koci mocz. Wierz mi, znam się na tym, mój nos zdążył się wyrobić.

— Poradzę sobie — powiedział Lou, patrząc na zegarek i jednocześnie zdejmując marynarkę. — Wezmę szybki prysznic w gabinecie i przebiorę się w zapasowy garnitur.

— Nie możesz. Ja go noszę, zapomniałeś?

Lou spojrzał na Gabe'a i przypomniał sobie, że kiedy go zatrudnił, dał mu swoje zapasowe ciuchy. Na pewno Alison nie uzupełniła jeszcze braku; za krótko pracuje w firmie, żeby o tym wiedzieć.

— Cholera! Cholera, cholera, cholera!

Zaczął chodzić w kółko po małym pomieszczeniu, obgryzając wymanikiurowane paznokcie; odrywał i pluł, odrywał i pluł.

— Nie przejmuj się, moja sprzątaczką się tym zajmie — powiedział rozbawiony Gabe, patrząc, jak przeżute kawałki płytki paznokciowej lądują na cementowej podłodze.

Lou go zignorował.

— Sklepy otwierają dopiero o dziewiątej, skąd ja, u diabła, wezmę garnitur?

— Bez obaw, zdaje się, że mam coś w mojej garderobie — oświadczył Gabe i zniknął w pierwszym przejściu, po czym pojawił się z nowiutkim garniturem osłoniętym folią. — Jak mówiłem, nigdy nie wiadomo, kiedy będzie ci potrzebny nowy garnitur. Wyobraź sobie, że to twój rozmiar. Zupełnie jakby zrobiono go dla ciebie. — Mrugnął do Lou. — Niech zewnętrzna godność odzwierciedla wewnętrzną godność twojej duszy — powiedział, wręczając mu garnitur.

— Ee, dobra. Dzięki — odrzekł niepewnie Lou i szybko przejął ubranie z wyciągniętych rąk Gabe'a.

W pustej windzie dla pracowników przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. W niczym nie przypominał człowieka, który pół godziny temu obudził się na

podłodze. Co ciekawe, mimo że garnitur od Gabe'a nie był żadnej znanej marki — coś, do czego Lou nie przywykł — okazał się idealnie dopasowany, jak żaden dotąd. Błękit koszuli i krawata w zestawieniu z granatową marynarką podkreślał oczy, które wydawały się niewinne niczym u cherubinka.

Dla Lou Sufferna ten dzień należał do bardzo dobrych. Znowu był zadbanym, przystojnym sobą, w idealnie wypolerowanych przez Gabe'a butach, które tańczyły jak dawniej po chodnikach. Jego stopom wróciła pełna energii lekkość, lewą rękę trzymał luźno w kieszeni, a prawa kołysała się swobodnie przy boku, w rytm kroków, gotowa w każdej chwili odebrać telefon i/lub ucisnąć komuś dłoń. Był bohaterem chwili. Po rozmowie z żoną i Lucy został w oczach córki ojcem roku, a szanse, że w ciągu następnej dekady czy dwóch mógłby zostać mężem roku, też zaczęły powoli rosnać. Był szczęśliwy, tak szczęśliwy, że zaczął gwizdać i nie przestał, nawet kiedy Alison go poinformowała, że na linii czeka siostra. Radośnie sięgnął po słuchawkę i przysiadł na rogu biurka sekretarki.

— Dzień dobry, Marcio — powiedział wesoło.

— No proszę, jesteś dziś w dobrym nastroju. Wiem, że masz dużo pracy, Lou, nie będę cię długo trzymać. Chciałam ci tylko dać znać, że dostaliśmy zaproszenia na urodziny taty, są... bardzo ładne... bardzo wyrafinowane... ja wybrałabym coś innego, ale... nieważne, rzecz w tym, że kilka osób zadzwoniło z informacją, iż do nich zaproszenia jeszcze nie dotarły.

— Pewnie zapodziały się gdzieś na poczcie — powiedział Lou. — Wyślemy nowe.

— Ale to już jutro, Lou.

— Co?

Lou zmarszczył czoło i zmrużył oczy, wpatrując się w kalendarz na ścianie.

— Tak, urodziny taty są jutro — powiedziała Marcia z nutą paniki w głosie. — Jeśli teraz wyślesz zaproszenia, nie dojdą na czas. Chciałam się tylko upewnić, czy wszyscy mogą po prostu przyjść. W końcu to tylko impreza rodzinna.

— Nie martw się, prześlij mi jeszcze raz nazwiska i zrobimy listę gości przy

drzwiach. Wszystko jest pod kontrolą.

— Może wezmę parę rzeczy na wypadek...

— Wszystko jest po kontrolą — powtórzył stanowczo.

Patrzył, jak koledzy kierują się do sali posiedzeń; Alfred został w tyle w swoich jasnych spodniach i marynarce z dużymi złotymi guzikami, niczym kapitan statku wycieczkowego.

— Jak będzie wyglądać to przyjęcie? — spytała nerwowo Marcia.

— Jak będzie wyglądać? — Lou się zaśmiał. — No, Marcio, przecież chcemy, żeby to była niespodzianka.

— Czy ty wiesz, jak ono będzie wyglądać?

— Czy ja wiem? Martwisz się o moje umiejętności organizacyjne?

— Martwię się, że powtarzasz każde moje pytanie, żeby dać sobie więcej czasu na zastanowienie — odparła bez wahania.

— Oczywiście że wiem, co jest zaplanowane na przyjęcie. Myślisz, że powierzyłbym organizację wszystkiego Alison? — Zaśmiał się. — Ona przecież nigdy nawet nie widziała taty — powtórzył to, co usłyszał od kilku członków rodziny.

— To ważne, żeby zajmował się tym ktoś z rodziny, Lou. Ta Alison wydaje się miła, ale przecież nie zna taty, prawda? Dzwoniłam do niej kilka razy i oferowałam pomoc, ale nie była specjalnie rozmowna. Chcę, żeby tata wspaniale się bawił.

— I tak będzie. Zapewniam cię. — Poczł nerwowy ucisk w żołądku. — Wszyscy będziemy się dobrze bawić, obiecuję. Wiesz, że przyjdę trochę później, bo mam przyjęcie w biurze. Muszę tu trochę pobyć, ale dołączę do was jak najszybciej.

— Wiem, Lou, to zupełnie zrozumiałe. Boże, chcę tylko, żeby tata był szczęśliwy. Zawsze skupia się na tym, żebyśmy to my byli zadowoleni. Zależy mi, żeby wreszcie się odprężył i miło spędził czas.

— Tak. — Lou przełknął ślinę, a na jego serce padł cień strachu. — Mnie też.

Dobra, teraz muszę lecieć, mam spotkanie. Do zobaczenia jutro, dobrze?

Oddał słuchawkę Alison, a jego uśmiech zniknął.

— Wszystko jest pod kontrolą, prawda?

— Co?

— Przyjęcie — powiedział stanowczo. — Urodziny mojego taty.

— Lou, cały tydzień próbowałam się z tobą skonsultować...

— Czy wszystko jest pod kontrolą? Rozumiem, że gdyby nie było, powiedziałaś mi. Zgadza się?

— Oczywiście. — Alison uśmiechnęła się nerwowo. — Miejsce, które wybrałaś, jest bardzo, ee... jak by to ująć... fajne i mają tam własny zespół. Mówiłam ci już o tym — dodała pośpiesznie — kilka razy w tym tygodniu. Zostawiłam ci też na biurku spis opcji w kwestii jedzenia i muzyki, żebyś mógł coś wybrać, ale ponieważ tego nie zrobiłaś, sama musiałam zdecydować...

— Dobrze, Alison, uwaga na przyszłość: kiedy pytam, czy coś jest pod kontrolą, chcę tylko usłyszeć „tak” albo „nie” — wyjaśnił stanowczo acz uprzejmie. — Naprawdę nie mam czasu na pytania i karteczki na biurku, chcę tylko wiedzieć, czy możesz załatwić daną sprawę czy nie. A jeśli nie możesz, to nic, znajdziemy ci jakieś inne zadanie. Dobrze?

Pokiwała szybko głową.

— Świetnie. — Klasnął w ręce i zeskoczył z jej biurka. — Lepiej już pójde na spotkanie.

— Proszę. — Podała mu teczkę. — I gratuluję tych dwóch interesów, wszyscy o tym mówią.

— Tak?

— Tak — potwierdziła z szeroko otwartymi oczami. — Niektórzy twierdzą, że dostaniesz stanowisko Cliffa.

To było dla uszu Lou jak muzyka, ale nie pokazał tego po sobie.

— No, Alison, nie uprzedzajmy faktów. Wszyscy życzymy Cliffowi szybkiego powrotu do zdrowia.

— Oczywiście, ale... cóż. — Uśmiechnęła się. — Widzimy się na jutrzejszej imprezie?

— Pewnie — odpowiedział z uśmiechem, i dopiero gdy maszerował w stronę sali posiedzeń, dotarło do niego, co Alison miała na myśli.

Kiedy Lou wszedł do sali wszyscy siedzący wokół stołu wstali i zaczęli bić brawo; białe uśmiechy od ucha do ucha niezupełnie pasowały do zmęczonych porannych oczu i można się w nich było dopatrzeć pewnego napięcia, wyraźnie widocznego w wołających-o-masaż barkach. Tak wyglądało życie wszystkich kolegów Lou. Za mało snu; niemożność ucieczki przed technicznymi atrybutami pracy, jak: laptopy, notesy elektroniczne i komórki, przedmioty, które wiecznie odwracają ich uwagę i które każdy członek ich rodzin ma ochotę spuścić z wodą w toalecie. Oczywiście, na swój sposób, nacechowany wyczerpaniem i przeciążeniem kontaktami z energią elektromagnetyczną, współpracownicy cieszyli się z jego sukcesu. Ich celem było przetrwać, spłacić hipotekę, przygotować prezentacje, wykonać normę, zadowolić szefa, dotrzeć do biura wystarczająco wcześnie, by zdążyć przed korkami, i zostać w nim tak długo, żeby tłok na jezdni zdołał się rozproszyć. Wszyscy w tym pomieszczeniu poświęcali całe dnie, starając się rozładować przedświąteczny nawał pracy, w tym czasie sterta problemów osobistych w ich skrzynkach mailowych pięła się coraz wyżej. Te zostaną rozwiązane w czasie przerwy świątecznej. Wreszcie przyjdzie czas na sprawy rodzinne, odsuwane na bok przez cały rok; okres domowego szaleństwa.

Aplauzowi przewodził rozpromieniony pan Patterson i przyłączyli się do niego wszyscy oprócz Alfreda, który potrzebował wyjątkowo dużo czasu, żeby się podnieść. Kiedy inni już stali, on powoli odsuwał krzesło. Gdy inni klaskali, on poprawiał krawat i zapinał złote guziki. Zanim brawa ucichły, udało mu się klasnąć raz, jedno klaśnięcie, które zabrzmiało bardziej jak pęknięcie balonu.

Lou ruszył wokół stołu; ścisnął dłonie, klepał po plecach, całował policzki. Kiedy dotarł do Alfreda, ten zdążył już usiąść, ale podał Lou bezwładną lepką

dłoń.

— Ach, bohater chwili — powiedział radośnie pan Patterson, ściskając serdecznie prawą ręką dłoń Lou, a lewą kładąc mu na ramieniu. Cofnął się o krok i spojrzał na Lou z dumą, tak jak dziadek patrzy na wnuka w dzień Pierwszej Komunii, promieniejąc zadowoleniem i podziwem.

— Później musimy pogadać — powiedział konfidencjonalnie w szumie ogólnych rozmów. — Wiesz, że po świętach nastąpią zmiany, to żadna tajemnica. — Powiedział to poważnie, żeby zachować szacunek wobec Cliffa.

— Tak. — Lou skinął ze zrozumieniem, w głębi duszy zachwycony, że został osobiście dopuszczony do sekretu, mimo że wszyscy i tak o nim wiedzą.

— A więc porozmawiamy sobie, dobrze? — powtórzył stanowczo pan Patterson, po czym zajął swoje miejsce, a pozostałe głosy ucichły. Koniec pogaduszek.

Lou usiadł, ale miał wrażenie, że unosi się w powietrzu i trudno mu się było skupić na dalszym ciągu porannej dyskusji. Kątem oka widział, że Alfred usłyszał ostatnie słowa pana Pattersona.

— Wyglądasz na zmęczonego, Lou. Świętowałeś wczoraj? — zwrócił się do niego Alfred.

— Zajmowałem się córką. Zatrucie żołądkowe. Dopadło też moją żonę, więc to była długa noc. — Uśmiechnął się na myśl o Lucy leżącej w łóżku, z twarzą w połowie zasłoniętą włosami.

Alfred wydał z siebie chrapliwy śmiech, który rozniósł się po sali.

— Mój syn miał to w zeszłym tygodniu — powiedział pan Patterson, ignorując wybuch Alfreda. — Najwyraźniej krąży jakiś wirus.

— O tak, krąży — powtórzył Alfred, patrząc na Lou.

Agresja biła od niego falami, prawie jak żar unoszący się nad pustynną autostradą. Sączyła się z jego duszy, psuła atmosferę wokół i Lou zastanawiał się, czy pozostali też to dostrzegają. Zaczął współczuć Alfredowi; rozumiał, jaki jest zagubiony i przestraszony.

— Nie tylko mnie należą się gratulacje — oświadczył. — Alfred też uczestniczył w spotkaniu w sprawie Nowego Jorku. I świetnie się spisał.

— Pewnie. — Alfred się rozpromienił; ożywił się i zaczął się bawić krawatem, co zaniepokoiło Lou. — Miło ze strony Lou, że wreszcie pod koniec do mnie dołączył, akurat zdążył zobaczyć, jak zamykam sprawę.

Wszyscy wokół stołu się roześmieli, ale w Lou ten komentarz wywołał nieco inną reakcję, dość bolesną. W tej chwili znowu był Aloysiusiem, ośmiolatkiem w miejscowej drużynie futbolowej, zdjętym z boiska w finałowym meczu kilka minut przed ostatnim gwizdkiem, bo jego własny kolega, z zazdrości, że Lou zdobył więcej bramek, kopnął go między nogi i posłał na murawę, gdzie Lou z trudem łapał powietrze, czerwony, oszołomiony i bliski torsji. Tak jak teraz w słowach Alfreda, wtedy zabolął go nie tyle kopniak w krocze, ile to, kto mu go zadał i dlaczego. Leżał na boisku z rękami wciśniętymi między nogi i z czerwoną, rozpaloną twarzą. Z porów wyciekała mu frustracja, a wokół tłoczyli się koledzy z zespołu, patrzyli na niego i zastanawiali się, czy udaje.

— Tak, już pochwaliliśmy Alfreda — powiedział pan Patterson, nie patrząc na niego. — Ale dwa interesy jednocześnie, jak ci się to, na Boga, udało? Wszyscy wiemy, że masz talent do wielozadaniowości, ale cóż to był za niezwykle efektywny pokaz zarządzania czasem, no i oczywiście umiejętności negocjacyjnych.

— Tak, niezwykle — zgodził się Alfred. Jego ton był z pozoru żartobliwy, ale w głębi krył się jad. — Niemal niewyobrażalny. Może nienaturalny. Jak to zrobiłeś, Lou? Dzięki speedowi?

Rozległo się kilka nerwowych chichotów, kasznięcie, a potem zapadła cisza. Pan Patterson rozładował napięcie, rozpoczynając spotkanie, ale już się stało. Komentarz Alfreda zawisł w powietrzu. W dotychczasowy podziw wkradła się niepewność, w umysłach kolegów zostało zasiane ziarno wątpliwości i czy wierzyli w to, czy nie, odtąd, ilekroć Lou coś osiągnie, gdy ktoś będzie o nim mówił, współpracownicy wspomną w myślach przelotnie, być może

podświadomie, słowa Alfreda. I tak ziarno będzie rosło, zacznie przebijać się przez brudną glebę, aż w końcu wystawi z niej swoją szpetną główkę.

Tyle ciężkiej pracy, opuszczania uroczystości rodzinnych, wybiegania z domu, by zdążyć do biura, szybkich cmoknięć w policzek Ruth, a długich uścisków dłoni z nieznanymi — i wreszcie nadeszła jego chwila. Dwie minuty gratulacji i aplauzu. A po nich ziarno wątpliwości.

— Wyglądasz na szczęśliwego — orzekł Gabe, kładąc paczkę na biurku.

— Gabe, przyjacielu, jestem twoim dłużnikiem — oświadczył Lou. Właśnie wychodził ze spotkania i omal go nie uściskał. Następnie zniżył głos. — Mogę dostać z powrotem te... tę fiolkę? Rano byłem bardzo zmęczony i poruszony. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale naprawdę wierzę w te ziołowe lekarstwa.

Gabe nie odpowiedział. Dalej rozkładał koperty i paczki na okolicznych biurkach, a Lou patrzył za nim z widniejącą na twarzy nadzieją, jak pies, który czeka na spacer.

— Rzecz w tym, że chyba będę potrzebował ich znacznie więcej. — Lou mrugnął. — Rozumiesz?

Gabe wyglądał na zdezorientowanego.

— Cliff nie wraca — wyjaśnił cicho Lou, próbując ukryć podniecenie. — Jest całkiem spalony.

— Ach, ten nieszczęsny człowiek, który przeżył załamanie nerwowe — powiedział Gabe, nie przerywając pracy.

— Tak! — Lou prawie pisnął z radości. — Nie mów nikomu, że ci powiedziałem.

— Że Cliff nie wróci?

— Tak, o tym i... no wiesz. — Rozejrzał się wokół. — O innych sprawach. Może o nowej posiadzie, o bardzo prawdopodobnym awansie. Eleganckiej podwyżce. — Wyszczrzył zęby. — Pan Patterson chce o tym ze mną wkrótce porozmawiać. — Odchrząknął. — Tak więc, cokolwiek dla mnie szykuje, będę

potrzebował tych małych ziołowych skarbów, bo nie dam rady utrzymać dotychczasowego tempa pracy i nie skończyć rozwiedziony albo w piachu.

— A, tak, o nich mówisz. Nie możesz ich dostać.

Gabe zaczął się oddalać korytarzem. Lou ruszył szybko za nim, ujadając na niego jak jack russell terrier na listonosza.

— No przestań, zapłacę ci za nie, ile zechcesz. Ile chcesz?

— Nic nie chcę.

— Dobra, pewnie chcesz je zachować dla siebie, rozumiem. Powiedz mi chociaż, skąd mogę je wziąć.

— Znikąd. Wyrzuciłem je. Miałeś rację, to nie w porządku. One źle działają na psychikę. A kto wie, jakie mogą mieć fizyczne skutki uboczne? Pewnie na dłuższą metę przysporzyłyby tylko bólu. Wydaje mi się, że nie stworzono ich do stałego użytku, Lou. Może to eksperyment naukowy, który wy dostał się z laboratorium.

— Co zrobiłeś? — spanikował Lou, ignorując wszystko, co powiedział Gabe.

— Gdzie?

— Do kontenera na gruz.

— To je odzyskaj. Wleź do środka i wyciągnij je — polecił gniewnie Lou. — Jeśli wyrzuciłeś je rano, jeszcze tam są. No, Gabe, pospiesz się. — Szturchnął go w plecy.

— Pigułki przepadły, Lou. Otworzyłem fiolkę i wysypałem je do kontenera, a zważywszy, co ty złożyłeś w nim w nocy, trzymałbym się od niego z daleka.

Lou chwycił go za ramię i poprowadził do windy dla pracowników.

— Pokaż mi.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz Gabe wskazał Lou kontener: duży, w kolorze brudnej żółci. Lou przystąpił do ataku. Zajrzawszy do środka zobaczył na wierzchu fiolkę, tak blisko, że mógł jej dotknąć, a obok stertę pigułek w jakiejś zielonkawobrazowej mazi. Smród był tak okropny, że Lou zatkał nos, by powstrzymać odruch wymiotny. Tabletki były zanurzone w obrzydliwej

substancji i Lou zrobiło się słabo. Zdjął marynarkę i rzucił ją Gabe'owi. Podwinął rękawy koszuli i szykował się, by wsadzić rękę w cuchnącą breję, ale w ostatniej chwili się zawahał.

— Jeśli nie odzyskam tych pigułek skąd mogę wziąć inne?

— Znikąd — odrzekł Gabe. Stał przy tylnych drzwiach i przyglądał mu się ze skrzyżowanymi rękami i znudzoną miną. — Już ich nie produkują.

— Co? — Lou odwrócił się gwałtownie. — Kto je robił? Zapłacę im, żeby zrobili więcej.

Ten napad paniki trwał dłuższą chwilę; Lou przepytывał Gabe'a, jak może zdobyć pigułki, aż w końcu zdał sobie sprawę, że pozostało mu jedynie zmierzyć się z tym, co ma przed sobą. Znowu błędnie uznał, że musi się skupić na śmietniku, zamiast na swoim życiu.

— Cholera. Może uda się je umyć. — Stał bliżej i nachylił się. Smród sprawił, że zebrało mu się na wymioty. — Co to jest, u diabła? — Zaczął się krztusić i musiał się cofnąć o kilka kroków. — Niech to szlag.

Kopnął kontener i zaraz tego pożałował, kiedy ból dotarł do jego świadomości.

— O, patrz — powiedział Gabe obojętnie. — Zdaje się, że upuściłem jedną na ziemię.

— Co? Gdzie?

Lou natychmiast zapomniał o bólu dużego palca i rzucił się z powrotem do śmietnika, tak jak dziecko pędzi do ostatniej komórki do wynajęcia. Rozejrzał się po ziemi wokół kontenerów. Dostrzegł coś białego w szczelinie między kostkami bruku. Pochyliwszy się, zobaczył, że to pigułka.

— Aha! Znalazłem jedną!

— Tak, musiałem je wrzucić z odległości, bo smród był nie do wytrzymania — wyjaśnił Gabe. — Kilka spadło na ziemię.

— Kilka? Ile?

Lou padł na czworaka i rozpoczął poszukiwania.

— Naprawdę powinieneś wrócić do pracy, Lou. Masz dobry dzień. Czemu na tym nie poprzestajesz? Wyciągnij z tego naukę i idź dalej.

— Wyciągnąłem z tego naukę — odparł Lou z nosem przy ziemi. — Nauczyłem się, że dzięki tym pigułkom jestem tu prawdziwym bohaterem. A-ha, znalazłem drugą.

Uznał, że tylko te dwie może odzyskać, zawinał je więc w chusteczkę, schował do kieszeni, po czym wstał i otrzepał kolana.

— Dwie na razie wystarczą — powiedział, wycierając czoło. — Widziałem jeszcze dwie pod śmietnikiem, ale wrócę po nie później.

Odwróciwszy się Lou, którego spodnie były teraz wybrudzone, a włosy rozczochrane, zobaczył, że ma dodatkowe towarzystwo. Obok Gabe'a stał Alfred z założonymi rękami i triumfem wypisanym na twarzy.

— Upuściłeś coś, Lou? Patrzcie tylko. Prawdziwy bohater chwili.

Rozdział dwudziesty drugi

Nastał ten czas...

— Przyjdiesz, prawda, Lou? — spytała Ruth, starając się ze wszystkich sił, by w jej głosie nie było słycać paniki.

Chodziła boso po sypialni i w zetknięciu z drewnianą podłogą jej skóra wydawała dźwięk podobny do odgłosu małych stópek chlupoczących w wodzie. Długie ciemne włosy nakręciła na wałki, a ciało owinęła ręcznikiem; na jej ramionach lśniły w świetle słonecznym kropelki wody.

Lou przyglądał się kobiecie, która od dziesięciu lat jest jego żoną, kręcąc głową wte i wewte niczym widz na meczu tenisowym. Mieli pojechać do centrum oddzielnymi samochodami i o różnych godzinach; Lou miał pójść na imprezę w biurze, a potem dołączyć do rodziny na przyjęciu ojca. Niedawno wrócił z pracy,

wziął prysznic i ubrał się w dwie minuty, ale zamiast wybiec w pośpiechu, jak to miał w zwyczaju, postanowił położyć się na łóżku i poobserwować Ruth. Właśnie odkrył, że patrzeć sprawia znacznie większą frajdę niż ucieczka z domu czy też krążenie po parterze w niecierpliwym oczekiwaniu na żonę i narastającym gniewie, jak to się działo, ilekroć udawali się gdzieś razem. Przed chwilą przyłączyła się do niego Lucy i teraz leżała obok, przytulona do swojego kocyka. Prosto z wanny, miała na sobie pajacyk i tak mocno pachniała truskawkami, że Lou miał ochotę ją zjeść.

— Oczywiście, że przyjdę. — Uśmiechnął się do Ruth.

— Chodzi mi tylko o to, że miałaś wyjść z domu pół godziny temu, co oznacza, że już mamy opóźnienie. — Przebiegła obok i zniknęła w garderobie. Końcówka zdania zniknęła razem z nią. Do sypialni zaczęły napływać stłumione dźwięki, ale słowa zostały w garderobie, rozwieszane na drążkach i poskładane elegancko na półkach. Lou położył się na plecach, włożył dłonie pod głowę i zaśmiał się.

— Ale ona szybko mówi — szepnęła Lucy.

— To prawda.

Wyciągnął rękę i założył córce za ucho kosmyk, który opadał jej na twarz.

Ruth wynurzyła się z garderoby w bieliźnie.

— Wyglądasz pięknie — powiedział z uśmiechem Lou.

— Tatusiu! — Lucy zachichotała histerycznie. — Ona jest w majtkach!

— Tak, i wygląda w nich pięknie.

Nie spuszczał oczu z Ruth, a Lucy zaczęła się tarzać po łóżku, rozbawiona jego słowami.

Ruth się odwróciła i posłała mu szybkie badawcze spojrzenie. Widział, jak ze zdziwieniem przetyka ślinę, nieprzyzwyczajona do takiego zainteresowania, może nawet zaniepokojona, że płynie ono z poczucia winy; część jej bała się mieć nadzieję, lękała się, że to tylko kolejna zapowiedź późniejszego rozczarowania. Zniknęła w łazience, a po chwili wróciła i, wciąż w bieliźnie, zaczęła skakać po

sypialni.

Na ten widok Lucy i Lou wybuchnęli śmiechem.

— Co ty robisz? — spytał Lou.

— Przyspieszam wchłanianie się balsamu — odparła z uśmiechem, biegnąc w miejscu.

Lucy zerwała się i przyłączyła do niej na chwilę, chichocząc i tańcząc, aż uznała, że mama jest już sucha, i wróciła na łóżko do ojca.

— Co tu jeszcze robisz? — spytała łagodnie Ruth. — Przecież nie chcesz się spóźnić do pana Pattersona.

— Tu jest znacznie fajniej.

— Lou — zaśmiała się — doceniam to, że po raz pierwszy od dziesięciu lat nie jesteś w ciągłym biegu, ale naprawdę musisz już iść. Wiem, że mówisz, że tam będziesz, ale...

— Będę — przerwał jej, urażony.

— Dobrze, ale nie bądź bardzo późno — ciągnęła, kręcąc się po pokoju. — Większość gości twojego ojca jest po siedemdziesiątce. Mogą zasnąć albo pójść do domu, zanim ty uznasz, że twój wieczór właśnie się zaczyna. — Zniknęła znowu w garderobie.

— Będę tam — powiedział, bardziej do siebie samego.

Usłyszał, jak Ruth przekopuje szuflady, zatrząskuje szafki. Wpadła na coś, zakląła, upuściła coś innego, a kiedy się wyłoniła miała na sobie czarną sukienkę koktajlową.

Zwykle Lou mówił jej automatycznie, że pięknie wygląda, prawie na nią nie patrząc. Czuł, że to jego obowiązek, że ona to właśnie chce usłyszeć, że dzięki temu szybciej wyjdą z domu, a ona nie będzie się wiercić przez całą podróż, ale dziś nie mógł wydusić z siebie słowa. Była piękna. Czuł się tak, jakby przez całe życie mówiono mu, że niebo jest niebieskie, a teraz pierwszy raz podniósł wzrok i zobaczył to na własne oczy. Czemu nie patrzył na nie codziennie? Położył się na brzuchu i oparł głowę na dłoni. Lucy zrobiła to samo. Oboje przyglądali się

cudownemu zjawisku, jakim jest Ruth. Dziesięć lat takiego widoku, a on krążył po parterze i warczał na nią gniewnie.

— I pamiętaj. — Podciągnęła suwak sukienki na plecach, znowu przebiegając obok. — Wykupiłeś ojcu na urodziny rejs.

— Myślałem, że kupujemy mu członkostwo w klubie golfowym.

— Lou, on nie znosi golfa.

— Naprawdę?

— Dziadek nie znosi golfa — potwierdziła Lucy.

— Zawsze chciał popłynąć na Saint Lucię. Pamiętasz tę historię o Douglasie i Ann, jak wygrali wycieczkę z pudełka płatków śniadaniowych, bla, bla, bla?

— Nie. — Lou zmarszczył brwi.

— Konkurs z pudełka płatków. — Ruth zatrzymała się w drodze do garderoby i spojrzała na niego ze zdumieniem.

— No i?

— Lou, on opowiada tę historię na okrągło. Douglas wziął udział w konkursie i wygrali wycieczkę na Saint Lucię... Nic ci nie świta? — Szukała w jego twarzy przebłysku pamięci.

Lou pokręcił głową.

— Jak możesz o tym nie wiedzieć? — Ruszyła do garderoby. — To jego ulubiona opowieść. Będzie wzruszony.

— Nie będzie. — Uśmiechnął się. — Tata się nie wzrusza.

Ruth zniknęła i wróciła z jednym butem na nodze, a drugim pod pachą. Góra, dół, góra, dół, przeszła przez sypialnię do toaletki.

Lucy zachichotała.

Ruth założyła biżuterię — kolczyki, bransoletkę — i dopiero wtedy wyjęła pantofel spod pachy i wsunęła go na stopę.

Lou znowu się uśmiechnął i obserwował, jak chwiejnym krokiem idzie do łazienki.

— A właśnie. — Podniosła głos, kiedy się w niej znalazła. — Kiedy będziesz

rozmawiać z Mary Walsh, nie wspominaj o Patricku. — Wystawiła głowę z łazienki. Połowa jej włosów była na wałkach, a połowa rozpuszczona i skręcona. Miała smutną minę. — Opuścił ją.

— Dobrze. — Lou skinął głową, próbując zachować jak największą powagę.

Kiedy głowa Ruth wycofała się do łazienki Lou zwrócił się do Lucy.

— Patrick opuścił Mary Walsh — powiedział. — Wiedziałaś o tym?

Lucy pokręciła energicznie głową.

— Ty kazałaś mu to zrobić?

Znowu pokręciła głową, roześmiana.

— Kto by pomyślał, że tak się stanie?

Lucy wzruszyła ramionami.

— Może Mary.

— Może. — Lou zachichotał.

— A, i proszę, nie pytaj Laury, czy schudła. Zawsze to robisz, a ona tego nie znosi.

— Przecież to miłe pytanie. — Zmarszczył brwi.

Ruth się roześmiała.

— Skarbie, Laura tyje bez przerwy od dziesięciu lat. Kiedy mówisz coś takiego uważa, że jej dokuczasz.

— Laura jest grubaską — szepnął Lou do Lucy, a ta padła ze śmiechu.

Zobaczył, która godzina i wziął głęboki oddech. Co dziwne, poczuł, że strach ściska mu żołądek.

— No dobrze, naprawdę muszę iść. Do zobaczenia jutro — zwrócił się do Lucy i pocałował ją w główkę.

— Teraz jesteś dużo fajniejszy, tatusiu — powiedziała radośnie.

Lou zamarł w pół drogi między łóżkiem a podłogą.

— Co powiedziałaś?

— Powiedziałam, że teraz jesteś dużo fajniejszy. — Wyszczrzyła się, pokazując brak dolnego zęba. — Jutro idziemy na łyżwy ja, mamusia i Pączek.

Pójdiesz z nami?

Wciąż zaskoczony jej słowami i wrażeniem, jakie na nim zrobiły, odpowiedział po prostu:

— Tak, pewnie.

Ruth wróciła do pokoju, owiana zapachem perfum, z włosami ułożonymi w miękkie fale i nieskazitelnym makijażem. Lou nie mógł oderwać od niej wzroku.

— Mamo, mamo! — Lucy zaczęła skakać po łóżku. — Tata idzie z nami jutro na łyżwy.

— Lucy, usiądź, nie wolno ci skakać po łóżkach. Uspokój się, kochanie. Mówiłam ci, że tata jest bardzo zajęty i nie ma czasu na...

— Idę z wami — przerwał jej stanowczym tonem.

Ruth przystanęła z otwartymi ustami.

— Aha.

— Może być?

— Tak, pewnie, ja tylko... Tak. Oczywiście. Świetnie. — Pokiwała głową, po czym znów przeszła do łazienki, wyraźnie zaskoczona. Drzwi zamknęły się za nią cicho.

Dał jej pięć minut, ale potem nie mógł już dłużej czekać.

— Ruth. — Zapukał delikatnie. — Nic ci nie jest?

— Wszystko w porządku. — Odchrząknęła, a jej głos zabrzmiał raźniej, niż planowała. — Ja tylko... wydmuchuję nos.

Rozległ się głośny dźwięk wydmuchiwania nosa.

— No dobrze, to do zobaczenia — powiedział. Chciał wejść do środka i uściskać ją na pożegnanie, ale wiedział, że gdyby ona też tego chciała, drzwi byłyby otwarte.

— Trzymaj się — odparła, znowu nieco mniej raźnie. — Do zobaczenia na przyjęciu.

Drzwi pozostały zamknięte, więc Lou wyszedł.

W firmie Patterson Developments roilo się od współpracowników Lou Sufferna w różnym stanie rozkładu. Była dopiero siódma trzydzieści, a niektórzy mieli już bardzo konkretne plany na wieczór. W przeciwieństwie do Lou, który wrócił po pracy do domu, większość udała się prosto do pubu, a potem wróciła na imprezę kontynuować zabawę. Niektóre kobiety w skąpych sukienkach ledwo rozpoznawał — nigdy nie podejrzewał ich o takie ciała pod eleganckimi kostiumami. Inne z kolei, jak się okazało, mają ciała stworzone tylko do kostiumów. Codzienna monotonia została zburzona: wokół panowała atmosfera typowa dla wieku dojrzewania, pragnienie, żeby się popisać i udowodnić innym, kim się naprawdę jest. Był to czas na łamanie zasad, na mówienie, co się czuje; niebezpieczna sprawa. W każdym progu wisiała jemiola — gdy tylko Lou wysiadł z windy, otrzymał dwa pocałunki od czających się na korytarzu łowczyńi okazji.

Mężczyźni pozdejmowali marynarki i powkładali grające krawaty, czapki Mikołaja i rogi renifera. Ozdoby choinkowe zawisły na damskich, a także na niektórych męskich, uszach. Wszyscy ciężko pracowali i zamierzali zdrowo się zabawić.

— Gdzie jest pan Patterson? — spytał Lou Alison, zastawszy ją na kolanach piątego z kolei Mikołaja, na jakiego się natknął. Sekretarka miała szkliste oczy i wzrok pozbawiony ostrości. Była ubrana w obcisłą czerwoną sukienkę, która uwypuklała wszystkie krągłości jej ciała. Lou zmusił się, żeby odwrócić wzrok.

— A co ty chcesz na święta, chłopczyku! — ryknął jakiś głos spod kostiumu.

— O, cześć, James — powiedział uprzejmie Lou.

— Awansu! — wrzasnął ktoś w tłumie.

Kilka osób zachichotało.

— Nie tylko awansu. On chce posadę Cliffa! — krzyknął ktoś w porożu renifera i tłum się roześmiał.

Skrywając pod uśmiechem frustrację i lekki wstyd Lou zawtórował zgromadzonemu, a kiedy rozmowa zesła na inne tory, wymknął się dyskretnie.

Wycofał się do swojego biura, w którym panowały cisza i spokój, ani śladu lamet czy jemioly. Usiadł z głową w dłoniach, czekając na wezwanie od pana Pattersona i słuchając Grandma Got Run Over by a Reindeer, pół wyśpiewywanego, pół wykrzykiwanego przez tłum w korytarzu. Nagle muzyka stała się głośniejsza, gdy drzwi do gabinetu się otworzyły, po czym znowu ścichła, gdy się zamknęły. Lou zgadł, kto to, zanim podniósł wzrok.

Alison podeszła do niego z kieliszkiem czerwonego wina w jednej ręce i szklanką whisky w drugiej, kołysząc biodrami pod seksowną sukienką; wyglądała jak języczek wiszący w tyle gardła. Kostki nóg chygotały się jej na wysokich platformach; wino zachlupotało kilka razy i oblało jej kciuk.

— Ostrożnie.

Oczy Lou śledziły każdy jej ruch, ale głowa pozostawała nieruchoma; czuł jednocześnie pewność i niepewność.

— To nic.

Postawiła kieliszek na biurku i possała zmysłowo kciuk, zlizując wino. Przyglądała się Lou uwodzicielsko.

— Przyniosłam ci whisky. — Podała mu szklankę i stanęła tuż obok. — Na zdrowie.

Stuknęła się z nim, a następnie, nie odrywając wzroku od jego oczu, upiła łyk wina.

Lou odchrząknął, poczuł, że potrzebuje trochę przestrzeni, i odsunął krzesło od biurka. Alison źle go zrozumiała i przesunęła się wzdłuż blatu, tak że znalazła się dokładnie naprzeciw niego. Jej klatka piersiowa wylądowała na linii jego spojrzenia. Lou oderwał od niej wzrok i przeniósł go na drzwi. Był w niebezpiecznej sytuacji. To wyglądało fatalnie. Czuł się wspaniale.

— Nie dokończyliśmy tego, co tu wcześniej zaczęliśmy. — Uśmiechnęła się. — Wszyscy mówią o sprzątanu biurka przed świętami. — Jej głos był niski i zmysłowy. — Pomyślałam, że przyjdę i pomogę ci.

Zepchnęła z biurka kilka teczek. Spadły na podłogę, a ich zawartość rozsypała się na dywanie.

— Ups. — Usiadła z uśmiechem na biurku, a jej krótka czerwona sukienka uniosła się jeszcze wyżej, odsłaniając długie, gładkie, opalone nogi.

Na czole Lou pojawiły się kropelki potu. Jego umysł przeanalizował wszystkie możliwości. Wyjść w poszukiwaniu pana Pattersona albo zostać z Alison. Wciąż miał w kieszeni bezpiecznie zawinięte w chusteczkę dwie pigułki, które znalazł przy śmietniku. Mógłby połknąć jedną i zrobić jedno i drugie. Musi pamiętać o swoich priorytetach: być z Alison i pójść na przyjęcie taty. Nie, pójść do pana Pattersona i na przyjęcie taty. Jednocześnie.

Alison wyciągnęła nogę i powoli przysunęła stopą fotel Lou do biurka i do siebie, gdzie powitała go czerwona koronka między jej udami. Zsunęła się na brzeg blatu, przez co sukienka zadarła się jeszcze wyżej. Tak wysoko, że nie mógł nijak uniknąć widoku, który miał teraz przed sobą. Może wziąć pigułkę: być z Alison i być z Ruth.

Ruth.

Alison sięgnęła ręką, przyciągając go jeszcze bliżej. Położyła dłonie na jego twarzy. Poczul na skórze akryłowe paznokcie. Źródło stukotu o klawiaturę, które codziennie doprowadzało go do szału. Teraz znalazły się na jego twarzy, klatce piersiowej, zjeżdżały dalej w dół. Długie palce przebiegały po materiale garnituru, który miał odzwierciedlać wewnętrzną godność Lou.

— Jestem żonaty — wyrzucił z siebie, kiedy dłoń Alison dotarła do krocza.

Jego bojaźliwy głos zabrzmiał niemal jak głos dziecka. Słaby chłopiec, którego tak łatwo przekonać. Alison odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

— Wiem — zamruczała, a jej dłonie dalej błądziły po jego ciele.

— To nie był żart — oświadczył stanowczo, a ona nagle przerwała i spojrzała na niego.

Odpowiedział jej pełnym powagi spojrzeniem, a gdy tak mierzyli się wzrokiem kąciki ust Alison uniosły się w powstrzymanym uśmiechu.

Wreszcie, kiedy nie mogła już wytrzymać, wybuchnęła. Odchyliła się do tyłu, zanosząc się śmiechem, a jej długie blond włosy połaskotały blat.

— Och, Lou — powiedziała w końcu, wycierając kąciki oczu.

— To nie żart — powtórzył bardziej stanowczo, z godnością, pewnością siebie. Było mu teraz bliżej do mężczyzny niż pięć minut temu.

Kiedy Alison uświadomiła sobie, że Lou mówi serio jej uśmiech zgasł.

— To nie żart? — Uniosła brew i spojrzała mu prosto w oczy. — Mogłes nabrać ją, ale nie nas.

— Nas?

Machnęła ręką lekceważąco.

— Nas. Wszystkie. No wiesz.

Odsunął krzesło od biurka.

— Aha, chcesz, żebym wyraziła się jaśniej? No dobrze. Gemmę w księgowości, Rebecce w stołówce, Louise na szkoleniu, Tracey — twoją sekretarkę przede mną — i nianię, której imienia nigdy nie poznałam. Mam mówić dalej? — Uśmiechnęła się i znów łyknęła wina, obserwując go uważnie. Oczy lekko jej łzawiły, rogówki były zaczerwienione, jakby wino wędrowało wprost do gałek. — Pamiętasz je wszystkie?

— To było... — Lou przełknął ślinę i poczuł, że brakuje mu tchu. — To było dawno temu. Zmieniłem się.

— Niania była sześć miesięcy temu. — Alison się zaśmiała. — Chryste, Lou, jak bardzo twoim zdaniem taki mężczyzna jak ty może się zmienić w ciągu sześciu miesięcy, jeśli w ogóle?

Nagle Lou poczuł, że kręci mu się w głowie i ogarnia go obrzydzenie. Przerażony przeczesał spoconą dłonią włosy. Co on zrobił?

— Pomyśl tylko — ożywiła się. — Kiedy zostaniesz Numerem Dwa w firmie będziesz mógł mieć kogo zechcesz. Pamiętaj tylko, że ja miałam cię pierwsza.

Zaśmiała się, odstawiła kieliszek i sięgnęła stopą, żeby znowu przyciągnąć go do siebie.

— A jeśli wezmiesz mnie ze sobą, będę zaspokajać wszystkie twoje potrzeby.

Wyjęła mu szklanę z dłoni i postawiła na biurku. Potem ujęła go za rękę i pociągnęła, by wstał z krzesła, a on się jej poddał, odrętwiały i bez życia, niczym kukła. Potarła dłońmi jego klatkę piersiową, chwyciła go za kłapy i przysunęła bliżej. W chwili gdy ich usta miały się spotkać, Lou się zatrzymał, zmienił kurs i nachylił się do jej ucha. Wyszeptał cichutko:

— Moje małżeństwo to nie żart, Alison. Ty nim jesteś. I możesz tylko marzyć o tym, że kiedyś staniesz się taką kobietą jak moja żona.

Po tych słowach odsunął się i odszedł od biurka.

Alison zastygła na blacie z otwartymi ustami, usiłując obciągnąć sukienkę.

— Właśnie — skomentował ze spokojem, patrząc, jak poprawia ubranie. — Powinnaś to zasłonić. Daj sobie chwilę na zebranie myśli, ale zanim pójdziesz prosiłbym, żebyś pozbięrała z podłogi papiery i położyła je na biurku.

Włożył ręce do kieszeni, by ukryć, jak bardzo się trzęsą, wyszedł z gabinetu i trafił w środek występu karaoke Aleksa z księgowości, który właśnie ujawniał się po pijaku, śpiewając *All I Want for Christmas* Mariah Carey. Wokół Lou strzelały serpentyny, a pijani brodacі mężczyźni i kobiety obsypali go pocałunkami.

— Muszę iść — powiedział w przestrzeń, usiłując przedrzeć się do windy. Przeciskał się przez tłum; niektórzy go chwyтали, próbując porwać do tańca, inni blokowali mu drogę, rozlewając swoje drinki. — Muszę iść — powtórzył, tym razem trochę śmieiej. Głowa mu pękała i miał mdłości. Czuł się tak, jakby właśnie się obudził w ciele człowieka, który zabrał mu życie i kompletnie je spieprzył. — Muszę iść, dziś są siedemdziesiąte urodziny mojego taty — powiedział, przepychając się do windy. Kiedy w końcu do niej dotarł wcisnął guzik i nie odwracając się spuścił głowę i czekał.

— Lou!

Usłyszał swoje imię. Nie zareagował.

— Lou! Muszę z tobą chwilę porozmawiać!

Znowu zignorował głos. Skupił całą uwagę na wyświetlaczu pokazującym kolejne piętra i potrzasał nerwowo nogą, pragnąc wsiąść do windy, nim będzie za późno.

Poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

— Wołałem cię, Lou! — powiedział przyjazny głos.

Odwrócił się.

— Ach, dobry wieczór, panie Patterson. Przepraszam.

Lou był świadomy, że w jego głosie słyhać irytację, ale musiał się stamtąd wydostać. Obiecał Ruth, więc ponownie wcisnął guzik windy.

— Trochę mi się spieszy. Dziś są siedem....

— To nie potrwa długo, obiecuję. Proszę cię tylko na słówko.

Pan Patterson ścisnął go lekko za rękę.

— Dobrze. — Lou odwrócił się, przygryzając wargę.

— Cóż, liczyłem, że porozmawiamy w moim gabinecie, jeśli nie masz nic przeciwko. — Pan Patterson się uśmiechnął. — Wszystko w porządku? Jesteś jakiś zdenerwowany?

— Nic mi nie jest. Po prostu trochę mi się spieszy.

Pozwolił szefowi wziąć się pod rękę.

— Oczywiście. — Pan Patterson się zaśmiał. — Jak zawsze.

Poprowadził Lou do swojego biura i usiedli naprzeciw siebie na wiekowych kanapach z brązowej skóry w mniej oficjalnej części gabinetu. Lou miał mokre czoło. Czuł zapach własnego potu i miał nadzieję, że nie dociera on do pana Pattersona. Sięgnął po stojącą na stoliku szklanekę wody i drżącą ręką przyłożył ją do ust. Pan Patterson przyglądał się, jak pije, przełykając głośno.

— Chciałbyś coś mocniejszego, Lou?

— Nie, dziękuję, panie Patterson.

— Proszę, mów mi Lawrence. — Pan Patterson znowu pokręcił głową. — Naprawdę, Lou, kiedy się tak do mnie zwracasz czuję się jak nauczyciel w szkole.

— Przepraszam, panie Patter...

— Cóż, ja się napiję.

Wstał i podszedł do barku. Nalał sobie brandy z kryształowej karafki.

— Na pewno się nie skusisz? — spytał znowu. — Rémy XO. — Zakreślił prowokacyjnie kieliszkiem.

— No dobrze. Dziękuję.

Lou się uśmiechnął i odetchnął. Paniczna chęć znalezienia się na przyjęciu po drugiej stronie ulicy straciła nieco na sile.

— Świetnie. — Pan Patterson się rozpromienił. — A więc, Lou, porozmawiajmy o twojej przyszłości. Ile masz czasu?

Lou wypił pierwszy łyk drogiej brandy i jego myśli od razu wróciły do gabinetu, do obecnej chwili. Naciągnął rękaw koszuli na zegarek, by się nie rozpraszać. Przygotował się na swój wielki awans, na to, że jego wypolerowane buty pójdą w ślady Cliffa — nie do szpitala, w którym obecnie przebywa, ale do wspaniałego biura z panoramicznym widokiem na Dublin. Wziął kilka głębokich oddechów i zignorował zegar tykający na ścianie, próbując wyprzeć z myśli przyjęcie ojca. To będzie tego warte. Oni to rozumieją. Zresztą będą zbyt zajęci zabawą, by zauważyć, że go nie ma.

— Mam tyle czasu, ile trzeba. — Uśmiechnął się nerwowo, lekceważąc wewnętrzny głos, który krzyczał ze wszystkich sił.

Rozdział dwudziesty trzeci

Niespodzianka!

Kiedy Lou przybył — spóźniony — do lokalu, w którym odbywały się urodziny ojca, pomimo grudniowego chłodu, który przejmuje aż do kości, przeciska się między stawami i hula po całym ciele, był tak spocony, jakby dostał wysokiej gorączki. Brakowało mu tchu, a jednocześnie miał mdłości. Czuł ulgę i

radość. A także zmęczenie — wszystko naraz.

Postanowił urządzić przyjęcie ojca w słynnym budynku, który Gabe podziwiał w dniu, gdy się poznali. Ich wielokrotnie nagradzane dzieło miało kształt żagla i było podświetlone na niebiesko, co na pewno zrobiło wrażenie na tacie i krewnych z różnych stron kraju. Długi maszt łodzi wikingów przed budynkiem przystrojono świątecznymi lampkami.

Przy drzwiach Lou zobaczył Marcję, która krzyczała na postawnego, ubranego na czarno odźwiernego. Wokół stała grupa około dwudziestu osób zakutanych w płaszcze, czapki i szaliki, przytupujących w miejscu, żeby się rozgrzać.

— Cześć, Marcia — powiedział radośnie Lou, licząc, że zażegna konflikt. Bardzo pragnął powiedzieć jej o awansie, ale powstrzymał się; najpierw musi znaleźć Ruth i podzielić się z nią dobrą wiadomością.

Marcia odwróciła się w jego stronę. Miała czerwone oczy otoczone plamami rozmazanego tuszu do rzęs.

— Lou — fuknęła. Jej gniew bynajmniej nie zniknął, wręcz przybrał na sile i skierował się na niego.

Lou poczuł ucisk w żołądku, co było dość dziwne. Zwykle nie dbał, co siostra o nim myśli, ale dziś sprawy miały się inaczej.

— Co się dzieje?

Marcia odsunęła się od tłumu i ruszyła do niego z furią w oczach.

— Od godziny próbuję się do ciebie dodzwonić.

— Byłem na imprezie firmowej, przecież ci mówiłem. Coś nie tak?

— Ty jesteś nie tak — wyrzuciła roztrzęsiona, a jej głos balansował pomiędzy gniewem a głębokim smutkiem. Wzięła głęboki oddech, po czym powoli wypuściła powietrze. — To urodziny tatusia i ze względu na niego nie zepsuję ich jeszcze bardziej, kłócąc się z tobą, więc mam tylko jedną prośbę: powiedz temu bydlakowi, żeby wpuścił do środka naszą rodzinę. Naszą rodzinę — podniosła głos, aż przerodził się w wibrujący wrzask — która zjechała tu z całego kraju, by

świętować — jej głos znowu stał się płaczący — wyjątkowy dzień taty. Ale on, zamiast być ze swoimi bliskimi, siedzi na górze w praktycznie pustej sali, podczas gdy gościom odmawia się wstępu. Pięć osób pojechało już do domu.

— Co? Jak to? — Serce podskoczyło Lou do gardła. Popędził do odźwiernych. — Witam, Lou Suffern. — Wyciągnął rękę do dwóch mężczyzn, a oni uścisnęli ją z energią martwego śledzia. — To ja organizuję dzisiejsze przyjęcie.

Za jego plecami Marcia sapała i psioczyła pod nosem.

— W czym problem? — Rozejrzał się po tłumie i natychmiast rozpoznał twarze. Byli tu sami bliscy przyjaciele rodziny, których domy odwiedzał jako dziecko, wszyscy po sześćdziesiątce, niektórzy w wieku ojca, niektórzy jeszcze starsi. Stali na lodowatym chodniku w grudniowy wieczór — pary staruszków podtrzymujących się nawzajem, drżących z zimna, część o kulach, jeden mężczyzna w wózku inwalidzkim. W rękach mieli błyszczące torebki i kartki, butelki wina i szampana, prezenty popakowane elegancko i starannie na wielki wieczór. A teraz czekali na ulicy, gdyż odmówiono im wejścia na przyjęcie dożgonnego przyjaciela.

— Bez zaproszeń nie ma wstępu — wyjaśnił odźwierny.

Jedna para zatrzymała taksówkę i powoli skierowała się tam, gdzie zatrzymał się samochód. Marcia popędziła za nimi, próbując ich przekonać, żeby zostali.

Lou zaśmiał się gniewnie.

— Panowie, myślicie, że ci ludzie wkręcają się na cudzą imprezę? — Zniżył głos. — No, spójrzcie na nich tylko. Mój tata obchodzi dziś siedemdziesiąte urodziny, to jego przyjaciele. Najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka w kwestii zaproszeń. Moja sekretarka Alison miała zorganizować listę gości.

— Tych ludzi nie ma na liście. W budynku panują ściśle wytyczne w kwestii tego, kto wchodzi i kto...

— Pieprzyć wytyczne — syknął ze złością przez zaciśnięte zęby tak, by ci z tyłu go nie usłyszeli. — Obchodzimy urodziny mojego ojca, a to jego goście —

oświadczył stanowczo. — Jako ten, kto płaci za to przyjęcie i kto wznosił ten budynek, polecam wam wpuścić tych ludzi.

Po chwili wszyscy znaleźli się w środku. Czekając w imponującym holu na windy, które zabiorą ich na ostatnie piętro, próbowali choć trochę rozgrzać swoje wiekowe ciała.

— Możesz się już odprężyć, Marcio, wszystko załatwione.

Lou starał się udobruchać siostrę, gdy jechali we dwoje na górę. Kiedy załadowywali gości do wind, które zabrały ich do penthousu, Marcia ani razu na niego nie spojrzała ani się do niego nie odezwała.

— Daj spokój, Marcio. — Zaśmiał się lekko. — Nie bądź taka.

— Lou. — Pod jej spojrzeniem przestał się uśmiechać i z trudem przełknął ślinę. — Wiem, że masz mnie za irytującą histeryczkę, która musi wszystko kontrolować, i nie tylko, o czym z pewnością wolę nie wiedzieć, ale teraz nie histeryzuję. Jest mi potwornie przykro. Nie ze względu na siebie, ale na mamę i tatę. — Oczy znowu wypełniły jej się łzami, a w głosie, zwykle łagodnym i pełnym zrozumienia, pojawiła się nowa nuta. — Ze wszystkich samolubnych czynów, jakich się dopuściłeś, ten plasuje się na szczycie listy. Siedziałam cicho, kiedy ty traktowałeś rodziców tak, jakbyś miał ich na każde zawołanie, kiedy zdradzałeś żonę, wyśmiewałeś się z brata i flirtowałeś z jego żoną, szydziłeś ze mnie przy każdej nadarzającej się okazji. Byłam, wszyscy byliśmy naprawdę cierpliwi, Lou, ale to koniec. Nie zasługujesz na żadne z nas. Jak dla mnie, dziś naprawdę przesadziłeś. Zraniłeś mamę i tatę, i nie jesteś już moim bratem.

— Zaraz, zaraz, daj spokój, Marcio. — Słowa siostry zwały go z nóg. Nikt dotąd tak do niego nie mówił i naprawdę głęboko go to dotknęło. Przełknął ślinę. — Wiem, że ci ludzie nie powinni byli tam tkwić, ale przecież wszystko naprawiłem. Skąd ta cała gorycz?

Marcia roześmiała się gorzko.

— To, co widziałeś na zewnątrz to jeszcze nic. — Pociągnęła nosem. — Niespodzianka — powiedziała smutno, kiedy drzwi się otworzyły i powitał ich

widok sali.

Wyjrzawszy z windy Lou poczuł, że serce przeniosło mu się do żołądka, gdzie zaczął je boleśnie trawić kwas. Zobaczył stoły do blackjacka i ruletki, pomiędzy którymi paradowały skąpo odziane kelnerki z koktajlami na tacach. Impreza robiła wrażenie i Lou przypomniał sobie, że był na takiej, kiedy otwarto budynek, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to się nie nadaje dla jego siedemdziesięcioletniego ojca, który nie znosi własnych uroczystości, nie cierpi, gdy przyjaciele i rodzina zbierają się tylko dla niego, i za najlepszy uważa dzień spędzony na samotnym łowieniu ryb. Ojciec był skromnym człowiekiem, zażenowanym samą myślą o przyjęciu, ale rodzina namówiła go, żeby po raz pierwszy uczcił urodziny, wraz z rodziną i przyjaciółmi z całego kraju. Nie chciał tego, ale gdzieś po drodze przekonał się do pomysłu, a teraz stał w najlepszym garniturze na środku kasyna, gdzie obsługa ma na sobie krótkie spódniczki i czerwone muszki, didżej puszcza dance, a żeby w cokolwiek zagrać, potrzeba minimum dwadzieścia pięć euro. Na środku jednego ze stołów spoczywał prawie nagi mężczyzna pokryty ciastkami i owocami.

Pod ścianą stała zakłopotana rodzina Lou. Matka, prosto od fryzjera, miała na sobie nowy liliowy kostium, apaszkę zawiązaną wokół szyi i przewieszoną przez ramię torebkę, którą dzierżyła kurczowo w obu dłoniach, rozglądając się wokół niepewnie. Ojciec stał ze swoim rodzeństwem, które jeszcze żyło — bratem księdzem i siostrą zakonnica — i wyglądał na tak zagubionego, jak Lou nie widział go jeszcze nigdy w życiu. Wszyscy członkowie rodziny spojrzeli na niego, po czym odwrócili wzrok, nie chcąc z nim rozmawiać. Tylko ojciec uśmiechnął się blado i skinął mu głową na powitanie.

Lou rozejrzał się w poszukiwaniu Ruth. Stała na końcu sali i prowadziła uprzejmą pogawędkę z grupą równie skonsternowanych imprezowiczów. W pomieszczeniu panowała napięta atmosfera, i to Lou ponosił za to winę. Było mu potwornie wstyd. I chciał im to wynagrodzić; im wszystkim.

— Przepraszam — zagadnął mężczyznę w garniturze, który stał obok i

przyglądał się towarzystwu. — Czy to pan tu zarządza?

— Tak, Jacob Morrison, menedżer. — Wyciągnął rękę. — A pan to Lou Suffern, poznaliśmy się na otwarciu, kilka miesięcy temu. Z tego, co sobie przypominam, to była długa noc. — Mrugnął.

— Tak, pamiętam pana — odparł Lou, wcale go nie pamiętając. — Zastanawiam się, czy mógłby mi pan pomóc wprowadzić pewne zmiany.

— Och! — Jacob wydawał się zaskoczony. — Oczywiście, zrobimy wszystko, żeby pana zadowolić. O jakich zmianach mówimy?

— O krzesłach — odrzekł Lou, starając się, by nie zabrzmiało to niegrzecznie. — To siedemdziesiąte urodziny mojego ojca, czy moglibyśmy zorganizować trochę krzeseł dla niego i jego gości?

— Cóż. — Jacob się skrzywił. — Obawiam się, że to impreza na stojąco. Nie wliczyliśmy w koszty...

— Oczywiście za wszystko zapłacę. — Błysnął idealnie białymi zębami Lou. — A teraz zorganizujmy coś dla tych pup, które nie siedzą jeszcze w wózkach inwalidzkich.

— Już się robi.

Jacob zaczął się wycofywać, ale Lou przywołał go z powrotem.

— I jeszcze kwestia muzyki — powiedział. — Nie macie czegoś bardziej tradycyjnego?

— Tradycyjnego? — Jacob uśmiechnął się pytająco.

— Tak, tradycyjnej muzyki irlandzkiej. Dla mojego siedemdziesięcioletniego ojca — odrzekł przez zaciśnięte zęby Lou. — Zamiast tego acid jazz funky house'u, za którym mój siedemdziesięcioletni ojciec aż tak bardzo nie przepada.

— Zobaczę, co się da zrobić.

Atmosfera między nimi się zagęszczała.

— A co z jedzeniem? Czy Alison coś zorganizowała? Poza prawie nagim mężczyzną pokrytym śmietaną, koło którego stoi moja matka.

— Tak, oczywiście. Mamy zapiekankę wiejską, lasagne, tego typu rzeczy.

Lou po cichu zatriumfował.

— Wie pan, omówiliśmy wszelkie nasze wątpliwości z Alison — wyjaśnił Jacob.

— Tak?

— Tak, proszę pana, na ogół nie organizujemy siedemdziesiątych urodzin — powiedział z uśmiechem, który jednak zaraz znikł. — Mamy jeden standardowy wystrój, zwłaszcza w okresie świątecznym, i wygląda on właśnie tak. — Ogarnął salę dumnym gestem. — Motyw przewodni kasyna cieszy się dużym powodzeniem na imprezach firmowych.

— Rozumiem. Cóż, szkoda, że nie wiedziałem o tym wcześniej — powiedział uprzejmie Lou.

— Wyraził pan na to pisemną zgodę — zapewnił go Jacob. — Mamy dokumenty, w których zawarte są wszystkie szczegóły imprezy. Upewniliśmy się, że Alison dała je panu do podpisu.

— No tak. — Lou przełknął ślinę i rozejrzał się wokół. Jego wina. Oczywiście. — Ach, wyleciało mi z głowy. Dziękuję.

Kiedy Lou się zbliżył rodzina cofnęła się przed nim, jak przed jakimś smrodem. Ojciec, rzecz jasna, się nie ruszył i powitał swoje średnie dziecko z uśmiechem.

— Wszystkiego najlepszego, tato — powiedział cicho Lou, wyciągając do niego rękę.

— Dziękuję. — Ojciec się rozpromienił, ściskając dłoń syna. Pomimo tego wszystkiego, co narobił Lou, ojciec wciąż się uśmiechał.

— Przyniosę ci guinnessa — powiedział Lou, odwracając się i szukając wzrokiem baru.

— Nie mają tu guinnessa.

— Co?

— Jest jasne piwo, szampan i jakiś śmiesznie wyglądający zielony koktajl —

wyjaśnił ojciec, sącząc coś ze swojej szklanki. — Zostałem przy wodzie. Ale twoja matka się cieszy, lubi szampana, choć nie na tym się wychowała. — Spróbował rozładować sytuację, żartując.

Usłyszawszy, że o niej mowa matka Lou odwróciła się w ich stronę i zmroziła syna spojrzeniem.

— No, no — uspokoił ją łagodnie ojciec. — I tak nie mogę dziś pić. Jutro żegluję z Quentinem w Howth — powiedział dumnie. — Ściga się ze Śmiałymi Małpami i brakuje mu jednego człowieka, więc wasz szanowny ojciec go zastąpi. — Wskazał na siebie kciukiem.

— Nie będziesz się z nikim ścigał, Fred. — Matka przewróciła oczami. — Ledwo możesz ustać w wietrzny dzień na lądzie, a co dopiero na łodzi. Mamy grudzień, woda jest wzburzona.

— Mam siedemdziesiąt lat i mogę robić, co zechcę.

— Masz siedemdziesiąt lat i musisz przestać robić, co zechcesz, bo nie dożyjesz siedemdziesięciu jeden — odburknęła, wywołując śmiech wszystkich, łącznie z Lou.

— Będziesz musiał znaleźć sobie kogoś innego, skarbie. — Spojrzała na Quentina, który zrobił zawiedzioną minę.

— Ja to zrobię — zwróciła się do męża Alexandra, obejmując go ramionami. Lou poczuł ukłucie zazdrości i odwrócił wzrok.

— Przecież nigdy się nie ścigałaś. — Quentin się uśmiechnął. — Nie ma mowy.

— O której są te zawody? — spytał Lou.

— Poradzę sobie — odpowiedziała mu uśmiechem Alexandra. — To nie może się różnić od normalnego żeglowania. Wezmę bikini, a reszta załogi przyniesie truskawki i szampana.

Wszyscy się znowu roześmiali.

Jakby dopiero teraz usłyszał pytanie brata — ale wciąż nie patrząc mu w oczy — Quentin odpowiedział:

— Wyścig zaczyna się o jedenastej. Może zadzwonię do Stephena. — Wyjął z kieszeni komórkę.

— Ja z wami popłynę — oświadczył Lou. Wszyscy spojrzeli na niego z osłupieniem. — Ja popłynę — powtórzył z uśmiechem.

— Może najpierw zadzwoń do Stephena, kochanie — powiedziała łagodnie Alexandra.

— Tak — odrzekł Quentin i skierował uwagę z powrotem na komórkę. — Dobry pomysł. Poszukam tylko jakiegoś cichego miejsca. — Przeszedł szybko obok Lou i opuścił salę.

Lou poczuł się dotknięty, a rodzina odwróciła się od niego i zaczęła rozmawiać o miejscach, w których nigdy nie był, i ludziach, których nigdy nie poznał. Stał obok bezczynnie, kiedy oni śmieli się z żartów, których on nie rozumiał i które w rezultacie bawiły wszystkich prócz niego. Miał wrażenie, że porozumiewają się w zupełnie mu obcym, tajemnym języku. Po jakimś czasie zrezygnował z zadawania pytań, na które nie uzyskiwał odpowiedzi, a w końcu przestał też słuchać, uświadomiwszy sobie, że nikogo to nie obchodzi. Był zbyt oderwany od rodziny, żeby jednego wieczoru dostać się tam, gdzie obecnie brakowało wolnego miejsca.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dusza nadrabia zaległości

Ojciec stał obok Lou i rozglądał się po sali niczym dziecko, które się zgubiło. Był bez wątpienia zdenerwowany i zawstydzony faktem, że wszyscy przyszli tu dla niego, i po cichu liczył, że zaraz ktoś inny oświadczy, iż ma dziś urodziny, dzięki czemu będzie mógł podzielić się z tą osobą zainteresowaniem gości.

— Gdzie jest Ruth? — spytał ojciec.

— Ee. — Lou rozejrzał się po raz setny, nie mogąc jej znaleźć. — Rozmawia z gośćmi.

— Aha. Ładny widok. — Ojciec skinął głową w stronę okna. — Miasto bardzo się zmieniło za mojego życia.

— Tak, pomyślałem, że ci się spodoba — odrzekł Lou, zadowolony, że chociaż to jedno mu się udało.

— To gdzie jest twoje biuro? — Spojrzał na budynki po drugiej stronie Liffey, które mimo późnej pory wciąż jaśniały w mroku nocy.

— Dokładnie naprzeciwko — wskazał Lou. — Trzyście pięter w górę, na czternastym piętrze.

Ojciec zerknął na Lou, wyraźnie uważając, że to osobliwe, i po raz pierwszy Lou też to poczuł, zrozumiał, jak coś takiego może innych dziwić i dezorientować. To nim wstrząsnęło. Zawsze był taki pewny.

— Tam, gdzie palą się wszystkie światła — wyjaśnił. — Mamy imprezę firmową.

— Ach, więc to tam. — Ojciec pokiwał głową. — To tam wszystko się decyduje.

— Tak — potwierdził z dumą Lou. — Dostałem dziś awans, tato. — Uśmiechnął się. — Nikomu jeszcze nie mówiłem, to przecież twój wieczór... — Zamilkł.

— Awans? — Krzaczaste brwi ojca uniosły się nieznacznie.

— Tak.

— Więcej pracy?

— Lepsze biuro, więcej światła — zazartował Lou. Kiedy ojciec się nie zaśmiał spoważniał. — Tak, więcej pracy. Więcej godzin.

— Rozumiem — powiedział ojciec, po czym zamilkł.

Lou poczuł złość. Nie miałby nic przeciwko gratulacjom.

— Jesteś tam szczęśliwy? — spytał od niechcienia ojciec, wciąż wyglądając przez okno, w którym odbijało się przyjęcie za ich plecami. — Nie ma sensu

ciężko pracować na coś, co cię nie uszczęśliwia, bo przecież ostatecznie tylko to się liczy, prawda?

Lou zastanowił się nad tym, jednocześnie rozczarowany brakiem pochwały i zaintrygowany tokiem myślenia ojca.

— Przecież zawsze mi mówiłeś, że trzeba ciężko pracować — odezwał się, czując przyływ gniewu, z którego dotąd nie zdawał sobie sprawy. — Zawsze nas uczyłeś, że nie można nawet na chwilę spocząć na laurach, o ile dobrze pamiętam twoje słowa. — Uśmiechnął się, ale miał zaciśnięte usta i był zdenerwowany.

— Oczywiście, że nie chciałem, żebyście byli leniwi — odparł tata i nagle spojrzał mu prosto w oczy. — W żadnej sferze życia, nie tylko w pracy. Każdy linoskoczek potrafi iść prosto, trzymając się drążka. Sztuka polega na tym, by na zawrotnej wysokości złapać na linie równowagę bez drążka.

Pełną napięcia ciszę przerwała kobieta z obsługi, która podeszła do nich z krzesłem w rękach.

— Przepraszam bardzo, dla kogo to? — Rozejrzała się po rodzinie. — Szef powiedział, że ktoś prosił o krzesło.

— Ee, tak, ja. — Lou zaśmiał się gniewnie. — Ale prosiłem o krzesła. W liczbie mnogiej. Dla wszystkich gości.

— Niestety, nie mamy tu tylu krzesel — wyjaśniła kobieta przepaszającym tonem. — To kto chciałby to krzesło?

— Twoja matka — powiedział szybko ojciec, pragnąc uniknąć dyskusji. — Daj matce.

— Nie, ja mogę stać, Fred — zaproponowała żona. — To twoje urodziny, ty usiądź.

Lou zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Zapłacił dwanaście tysięcy euro, żeby jego rodzina kłóciła się o to, kto skorzysta z jedyne go krzesła.

— Aha, didżej powiedział, że z muzyki tradycyjnej ma tylko hymn narodowy. Chciałby pan, żeby go puścił? — zwróciła się do Lou kobieta.

— Co?!

— Gra go na koniec wieczoru, ale nie ma przy sobie żadnych innych irlandzkich utworów — wyjaśniła. — Powiedzieć mu, żeby puścił go teraz?

— Nie! — warknął Lou. — To niedorzeczne. Niech tego nie robi.

— Może mu pani to dać? — spytała uprzejmie Marcia, sięgając do kartonowego pudełka, które miała pod stołem.

Było wypełnione po brzegi papierowymi kapeluszami, serpentynami i transparentami. Lou dojrzał nawet tort. Marcia wręczyła kelnerce kolekcję płyt CD. Ulubione piosenki ojca. Podając je spojrzała przelotnie na Lou.

— Na wypadek, gdybyś nawalił — powiedziała, po czym odwróciła wzrok.

To był krótki komentarz, dyskretny i wypowiedziany niemal szeptem, ale zranił Lou bardziej niż wszystko inne, co powiedziała tego wieczoru. Wydawało mu się, że to on ma wszystko pod kontrolą, on wie, jak urządzać przyjęcia, on umie upomnieć się o wszystko, co się należy, i zorganizować niezapomnianą imprezę. Ale kiedy on był zajęty myśleniem o tym, co potrafi, rodzina przygotowywała plan B, zakładając, że zawali sprawę. I zmieściła ten plan w jednym tekturowym pudełku.

Nagle rozległy się okrzyki radości: z windy wysiedli Quentin i Gabe — którego Lou nie zapraszał — każdy ze stertą krzesel w rękach.

— Więcej w drodze! — oznajmił Quentin.

Na te słowa tłum jakby odzyskał animusz; znajome twarze, znacznie postarzałe od czasów młodości Lou, wymieniły się spojrzeniami i widać w nich było ulgę, nieznaczny ból i niewinne podniecenie.

— Lou! — rozpromienił się na jego widok Gabe. — Tak się cieszę, że przyszedłeś.

Rozstawił krzesła dla kilkorga starszych gości stojących nieopodal i podszedł z wyciągniętą dłonią, tak że Lou przez chwilę nie był pewny, czyje to przyjęcie. Gabe nachylił mu się do ucha.

— Rozdwoiłeś się?

— Co? Nie — burknął Lou, sfrustrowany.

— Och — zdziwił się Gabe. — Kiedy widziałem cię ostatni raz odbywałeś z Alison spotkanie w twoim gabinecie. Nie wiedziałem, że wyszedłeś z imprezy firmowej.

— Oczywiście, że wyszedłem. Czemu zawsze posądzasz mnie o najgorsze? Zakładasz, że musiałbym wziąć twoją pigułkę, żeby dotrzeć na urodziny własnego ojca? — powiedział, udając obrażonego.

Gabe tylko się uśmiechnął.

— Zabawne, jak życie potrafi się ułożyć, prawda? — Trącił Lou.

— Co masz na myśli?

— Cóż, w jednej chwili możesz być tu, w górze, a w następnej tam, na dole.

— Na widok agresywnej miny Lou, ciągnął: — Chodzi mi o to, że kiedy spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu, siedziałem tam na dole i marzyłem, żeby znaleźć się tutaj. A teraz spójrz na mnie. Zabawne, jak wszystko się odwraca. Jestem w penthousie, pan Patterson dał mi nową pracę...

— Co zrobił?

— No tak, dał mi pracę. — Gabe wyszczerzył się i mrugnął. — Awans.

Zanim Lou miał szansę zareagować podeszła do nich kelnerka z tacą.

— Czy ktoś z państwa miałby ochotę na przekąskę? — spytała z uśmiechem.

— Och, nie, dziękuję. Zaczekam na zapiekankę wiejską — odrzekła przyjaźnie matka Lou.

— To jest zapiekanka. — Kobieta wskazała na minikupkę ziemniaków w miniaturowej foremce.

Zapadła chwila ciszy. Serce Lou waliło tak mocno, że niemal przedarło się przez skórę.

— Czy później będzie jeszcze jakieś jedzenie? — spytała Marcia.

— Poza tortem? Nie. — Kelnerka potrząsnęła głową. — To wszystko na ten wieczór. Tace z przekąskami. — Uśmiechnęła się znowu, jakby nie wyczuwała wrogości promieniującej od rodziny.

— Cóż — powiedział ojciec Lou, próbując zachować pogodny ton. — Niech pani postawi tacę tutaj.

— Całą tacę? — Odwróciła się i posłała menedżerowi niepewne spojrzenie.

— Tak, jesteśmy bardzo wygłodzoną rodziną — oświadczył Fred, wyjmując jej tacę z rąk i kładąc ją na stole tak wysokim, że wszyscy musieli wstawać, żeby do niej sięgnąć.

— No dobrze. — Patrzyła, jak taca ląduje na blacie, a następnie zaczęła się powoli wycofywać z pustymi rękami.

— Wspomniała pani o torcie? — odezwała się Marcia, a jej głos stał się wysoki i skrzeczący.

Wyglądała jak opętana, przerażona brakiem kontroli, tym, że wszystko idzie niezgodnie z planem.

— Tak.

— Chciałabym go zobaczyć — oświadczyła, rzucając Lou rozpaczliwe spojrzenie. — Jaki ma kolor? Co na nim jest? Czy zawiera rodzyнки? Tatuś nie znosi rodzynek — usłyszeli jeszcze, zanim zniknęła w kuchni za kelnerką, ściskając w rękach swoje pudełko do ograniczania szkód.

— Kto cię zaprosił, Gabe? — Lou był rozdrażniony i nie chciał rozmawiać o awansie, w obawie że ciśnie Gabe'em na drugą stronę sali.

— Ruth — odrzekł Gabe, sięgając po minizapiekankę wiejską.

— Czyżby? Nie wydaje mi się. — Lou się zaśmiał.

— Czemu tak sądzisz? — Gabe wzruszył ramionami. — Zaprosiła mnie tej nocy, kiedy jadłem z wami kolację i nocowałem u was w domu.

— Czemu mówisz o tym w ten sposób? Nie mów tak — zaprotestował dziecinnie Lou. — Nie zostałeś zaproszony na kolację do mojego domu. Odwiozłeś mnie i zjadłeś resztki.

Gabe spojrział na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

— W porządku.

— A w ogóle, gdzie jest Ruth? Nie widziałem jej cały wieczór.

— Cały czas rozmawialiśmy na balkonie. Bardzo ją lubię — odparł Gabe, po brodzie stoczyła mu się grudka ziemniaków i wylądowała na pożyczonym krawacie. Krawacie Lou.

Lou zwarły się szczęki.

— Bardzo ją lubisz? Bardzo lubisz moją żonę? Cóż, to zabawne, Gabe, bo ja też bardzo lubię moją żonę. Mamy ze sobą cholernie dużo wspólnego, nieprawdaż?

— Lou. — Gabe zaśmiał się nerwowo. — Może nie tak głośno?

Lou rozejrzał się i widząc, że wszyscy na nich patrzą objął Gabe'a przyjaźnie ramieniem, by pokazać, że to tylko żarty. Kiedy oczy się odwróciły znów utkwił spojrzenie w twarzy Gabe'a i jego uśmiech znikł.

— Ty chcesz mojego życia, prawda, Gabe?

Gabe wydawał się zaskoczony, ale nim zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi windy i wypadł z niej Alfred, Alison i tłum ludzi z imprezy firmowej, którzy — pomimo ryku ulubionych piosenek ojca Lou w głośnikach — w swoich strojach Mikołaja i papierowych kapeluszach, zdołali bardzo dobitnie zaanonsować się obecnym, dmuchając w rozwijane gwizdki na każdego, kto choćby na nich spojrzał.

Lou zostawił rodzinę i ruszył pędem po schodach do windy, blokując Alfredowi drogę.

— Co wy tu wszyscy robicie?

— Przyszliśmy się zabawić, przyjacielu! — oświadczył Alfred, zataczając się, i dmuchnął mu w twarz gwizdkiem.

— Alfred, nie byłeś zaproszony — powiedział głośno Lou.

— Alison mnie zaprosiła. — Alfred się zaśmiał. — A ty chyba wiesz najlepiej, jak trudno jej odmówić. Ale nie mam nic przeciw temu, żeby przelecieć ją w następnej kolejności.

Uśmiechnął się, chwiejąc się pijacko. Nagle jego wzrok przeniósł się za ramię Lou i w jednej chwili zmienił mu się wyraz twarzy.

— Ruth! Jak się masz?

Lou omal nie stanęło serce, gdy się odwrócił i zobaczył żonę.

— Cześć, Alfred.

Ruth założyła ręce i utkwiała wzrok w mężu. Zapadła pełna napięcia cisza.

— Co za niezręczna sytuacja — powiedział niepewnie Alfred. — Chyba dołączę do reszty. A wy dwoje możecie się zatłuc bez świadków.

Alfred zniknął, zostawiając Lou samego z Ruth. Ból na jej twarzy przeszywał mu serce niczym sztylet. Zdecydowanie wołał gniew.

— Ruth — powiedział. — Cały wieczór cię szukam.

— Czyżby wybitna organizatorka przyjęć też do nas dołączyła? — rzuciła Ruth. Próbowwała być silna, ale głos jej drżał.

Lou spojrzał przez ramię i zobaczył Alison, minisukienkę i długie nogi, jak tańczy uwodzicielsko na środku sali ze Świętym Mikołajem.

Ruth spojrzała na niego pytająco.

— Nie zrobiłem tego — powiedział, tracąc nagle siły. Nie chciał być dłużej takim człowiekiem. — Przysięgam. Ona dziś próbowała, ale nie zrobiłem tego.

Ruth zaśmiała się gorzko.

— Och, z pewnością próbowała.

— Przysięgam, że tego nie zrobiłem.

— Nigdy? Niczego? — Przyjrzała mu się uważnie, wyraźnie się za to nienawidząc; była zawstydzona, zła, że musi pytać.

Lou przełknął ślinę. Nie chciał jej stracić, ale miał też dość kłamstw.

— Pocałowaliśmy się. Raz. Nic poza tym. — W panice zaczął mówić coraz szybciej. — Ale teraz jestem inny, Ruth, ja...

Przestała go słuchać i odwróciła się, próbując ukryć łzy. Podeszła do balkonu, a Lou za nią. Otworzyła drzwi i poczuł na twarzy powiew mroźnego powietrza. Na zewnątrz nie było nikogo; wszyscy palacze wrócili do środka i zajadali się minizapiekaniami, tyłoma, ilu potrzebowali, by zapełnić pustkę w żołądku.

— Ruth... — Spróbował złapać ją za rękę i wciągnąć z powrotem do środka.

— Puść mnie, Lou, naprawdę nie jestem teraz w nastroju, żeby z tobą rozmawiać — powiedziała gniewnie.

Wyszedł za nią na balkon i stanęli z dala od okna, tak by nikt ich nie widział. Ruth oparła się o barierkę i spoglądała na miasto. Przysunął się, objął ją mocno i nie chciał puścić, mimo że cała zeszywniała, gdy jej dotknął.

— Pomóż mi to naprawić — wyszeptał, bliski łez. — Błagam cię, Ruth, pomóż mi to naprawić.

Westchnęła, choć gniew wciąż był żywy.

— Co ty sobie, u diabła, myślałeś, Lou? Ile razy ci powtarzaliśmy, jak ważny jest ten wieczór?

— Wiem, wiem — wyjąkał, zbierając pośpiesznie myśli. — Chciałem udowodnić wam wszystkim, że mogę...

— Ani mi się waż znowu kłamać — przerwała mu. — Ani mi się waż skłamać, kiedy właśnie poprosiłeś mnie o pomoc. Nie chciałeś nam niczego udowadniać. Miałeś dość telefonów Marcii, dość jej prób zorganizowania wyjątkowego przyjęcia dla waszego ojca, byłeś zbyt zajęty...

— Proszę, nie muszę tego teraz słuchać. — Skrzywił się, jakby każde jej słowo wywoływało migrenę.

— Właśnie to musisz teraz usłyszeć. Byłeś zbyt zajęty pracą, żeby przejmować się ojcem i planami Marcii. Zleciłeś całą organizację obcej osobie, która nie wie nic o twoim tacie i jego siedemdziesięciu latach na tym świecie. Jej? — Podeszła do okna i wskazała na Alison, która wykonywała taniec limbo pod konstrukcją z czekoladowym fondue, pokazując wszystkim zainteresowanym czerwone koronkowe majtki. — Małej zdzirze, którą zapewne zerznąłeś, kiedy dyktowałeś jej listę gości — fuknęła.

Lou uznał, że lepiej nie informować Ruth, że tak naprawdę Alison jest wysoko kwalifikowaną absolwentką studiów biznesowych i — wyłączając planowanie przyjęć — bardzo kompetentną pracownicą. Bronienie jej honoru wydało się niewłaściwe; sama Alison swoim zachowaniem na imprezie biurowej i teraz, na

przyjęciu ojca, robiła niewiele, by go obronić.

— Nic takiego się nie wydarzyło, przysięgam. Wiem, że wszystko zawaliłem. Przepraszam. — Zdażył się już przyzwyczaić do nowego słowa.

— I w imię czego? Dla awansu? Dla podwyżki, której nawet nie potrzebujesz? Dla tylu godzin w pracy, że to zwyczajnie nie jest wykonalne? Kiedy się wreszcie zatrzymasz? Kiedy będziesz usatysfakcjonowany? Jak wysoko chcesz się wspiąć, Lou? Wiesz, w zeszłym tygodniu powiedziałeś, że tylko w pracy mogą cię zwolnić, a w rodzinie nie. Ale mam wrażenie, że wkrótce się przekonasz, że to drugie też jest jednak możliwe.

— Ruth. — Lou zamknął oczy, gotowy skoczyć z balkonu, jeśli ona go zostawi. — Nie opuszczaj mnie, proszę.

— Nie ja, Lou — odparła. — Mówię o nich.

Zbliżył się do okna i patrzył, jak jego rodzina przyłącza się do innych gości, którzy stworzyli pociąg i wędrują po całej sali, co parę kroków wymachując na bok nogami.

— Jutro płynę z Quentinem. W regatach. — Spojrzał na nią, licząc na pochwałę.

— Myślałam, że Gabe ma z nim popłynąć? — odrzekła zdezorientowana. — Zaproponował mu to przy mnie. A Quentin się zgodził.

Krew zagotowała się w Lou z wściekłości.

— Nie, stanowczo to ja z nim popłynę.

Już on tego dopilnuje.

— Ach tak? A zrobisz to przed czy po tym, jak pójdziesz ze mną i z dziećmi na łyżwy? — spytała, po czym odeszła, zostawiła go samego, plującego sobie w brodę, że zapomniał o obietnicy złożonej Lucy.

Kiedy Ruth otworzyła drzwi balkonowe muzyka wypadła na zewnątrz, a zimne powietrze wpadło do środka. Drzwi się zamknęły, ale Lou wyczuł czyjaś obecność. Nie wróciła do sali. Nie zostawiła go.

— Przepraszam za wszystko, co zrobiłem. Chcę to naprawić — powiedział

słabym głosem. — Jestem zmęczony. Chcę to naprawić. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że przepraszam. Zrobiłbym wszystko, żeby o tym wiedzieli i uwierzyli mi. Proszę, pomóż mi to naprawić — powtórzył.

Gdyby Lou się wtedy odwrócił zobaczyłby, że żona jednak go zostawiła; że uciekła w ciche miejsce, gdzie mogła jeszcze raz wylać łązy frustracji wywołanej przez człowieka, który zaledwie kilka godzin wcześniej przekonał ją w ich sypialni, że się zmienił. Nie, to Gabe wyszedł na balkon, kiedy Ruth wróciła do środka, i to on wysłuchał spowiedzi Lou.

Gabe wiedział, że Lou Suffern jest wyczerpany. Lou tyle lat pędził przez minuty, godziny i dni, przez wszystkie chwile, że przestał dostrzegać życie. Miny, gesty i emocje innych już od dawna nie były dla niego istotne ani zauważalne. Najpierw napędzała go pasja, ale potem, po drodze tam, dokąd chciał dotrzeć, zostawił ją za sobą. Działał tak szybko, bez chwili oddechu; przyjął takie tempo, że jego serce ledwo nadążało.

Kiedy wdychając mroźne grudniowe powietrze Lou uniósł twarz do nieba, by poczuć — i docenić — lodowate krople deszczu na skórze wiedział, że dusza go dogania.

Czuł jej obecność.

Rozdział dwudziesty piąty

Najlepszy dzień

W sobotę o dziewiątej, dzień po siedemdziesiątych urodzinach ojca, Lou Suffern siedział w ogrodzie na tyłach domu. Zadarł głowę i zamknął oczy przed porannym słońcem. Przeszedł przez ogrodzenie oddzielające część formalną o powierzchni niemal jednego hektara — gdzie ścieżki, kamyki, rabaty i wielkie donice wskazywały, dokąd iść — na surowy i dziki teren poza granicami ludzkiej

ingerencji. Wszędzie było widać plamy żółtego kolcolistu, jakby ktoś w Dalkey wziął markera do paintballa i wystrzelał niedbale serię, celując w północną stronę przyładka. Dom Lou i Ruth stał na samym jego szczycie, a z ogrodu na tyłach roztaczał się bezkresny widok na położone poniżej Howth, port i dalej na Oko Irlandii. Często z cypla widać było górę Snowdon w walijskim Parku Narodowym Snowdonia, odległą o sto trzydzieści kilometrów; ale w ten bezchmurny poranek Lou Suffern miał przed oczami przyszłość.

Usiadł na skale i odetchnął świeżym powietrzem. Ciekło mu ze zdrtwiałego nosa, policzki zamarzły, uszy bolały od szczypania wiatru. Palce mu zsiniały, jakby ktoś je ścisnął przy knykciach; nie najlepsza pogoda dla organizmu, ale idealna do żeglowania. W przeciwieństwie do wypielegnowanych roślin w ogrodach Lou i jego sąsiadów dziki kolcolist rósł tu jak chciał; pozwolono mu na to w wyrazie czułości, niczym drugiemu dziecku, które ma więcej przestrzeni i swobody. Roślina przemierzyła całe zbocze i oznaczyła je stanowczo jako swoje terytorium. Teren był pagórkowaty i nierówny, wznosił się i opadał bez ostrzeżenia, za nic nie przeproszał i w żaden sposób nie ułatwiał zadania wędrowcom. Przypominał ucznia w ostatnim rzędzie, cichego, ale niesfornego, który rozsiada się wygodnie, by obejrzeć zastawione przez siebie pułapki. Pomimo dzikości wzgórz oraz zgiełku i zamętu charakterystycznych dla wiosek rybackich, w miasteczku zawsze panuje atmosfera spokoju. Miejscowość ma w sobie coś z dziadkowej cierpliwości: latarnie wskazują mieszkańcom morza bezpieczną drogę do brzegu; klify przypominają szereg nieugiętych Spartan o falujących piersiach i naprężonych mięśniach, dzikich w obliczu żywiołów. Jest tu molo, które pełni funkcję rozjemcy między lądem a morzem i sumiennie pozwala ludziom wypuszczać się tak daleko, jak to możliwe; na wybrzeżu stoi wieża Martello niczym samotny podstarzały żołnierz, który nie chciał opuścić stanowiska na długo po tym, jak zapanował pokój. Mimo ciągłych ataków porywistego wiatru miasteczko okazało się wytrwałe i uparte.

Lou nie rozmyślał nad swoim życiem w samotności. Obok niego siedział on.

Byli inaczej ubrani: jeden gotowy do żeglugi z bratem, drugi do jazdy na łyżwach z rodziną. Obaj wpatrywali się w morze, obserwowali odbicie słońca na horyzoncie; jakby ktoś wrzucił do wody olbrzymią srebrną monetę na szczęście, która teraz migocze pod falami.

Siedzieli tak już dłuższą chwilę, w milczeniu; czuli się swobodnie w swoim towarzystwie.

Lou na trawie spojrzął na Lou na kamieniu i uśmiechnął się.

— Wiesz, jaki jestem teraz szczęśliwy? Z radości mam ochotę wyjść z siebie i stanąć obok. — Zachichotał.

Lou na kamieniu powstrzymał się od uśmiechu.

— Im więcej swoich żartów słyszę, tym silniej do mnie dociera, że nie jestem zabawny.

— Rzeczywiście. — Lou wyrwał z ziemi długie źdźbło suchej trawy i owinał je wokół sinych palców. — Ale widzę też, jaki ze mnie przystojniak.

Obaj się roześmieli.

— Często narzucasz innym swoje zdanie — powiedział Lou na kamieniu, przypomniawszy sobie, jak jego druga połowa niepotrzebnie dominuje w rozmowie.

— Zauważyłem. Powiniennem...

— I w ogóle nie słuchasz, co mówią inni — dodał, głęboko zamyślony. — A twoje opowieści są zawsze przydługie. Nie ciekawią ludzi tak bardzo, jak ci się wydaje. Nie pytasz innych o ich sprawy. Powinieneś zacząć.

— Mów za siebie — odparował Lou na trawie, niewzruszony krytyką.

— Mówię.

Znowu zamilkli, bo Lou Suffern odkrył ostatnio, jak wiele daje cisza i bezruch. Na niebie zapikowała i krzyknęła mewa, przyjrzała im się podejrzliwie, po czym odleciała.

— Pędzi opowiedzieć o nas kumplom — powiedział Lou na kamieniu.

— Nie bierzmy sobie do serca ich komentarzy; jak dla mnie one wszystkie

wyglądają tak samo — orzekł drugi Lou.

Znowu zachichotali.

— Nie wierzę, że śmieję się z własnych dowcipów. — Lou na trawie przetarł oczy. — Co za wstyd.

— Jak myślisz, co tu jest grane? — spytał poważnie Lou ze swojego kamienia.

— Jeśli ty nie wiesz, to i ja nie wiem.

— Tak, ale mam swoje teorie, co oznacza, że ty też.

Spojrzelili na siebie nawzajem, doskonale wiedząc, co myśli ten drugi.

Lou uważnie dobrał słowa i poobracał je najpierw na języku, po czym powiedział:

— Nie jestem przesądny, ale może powinniśmy zachować te teorie dla siebie, nie sądzisz? To jest tym, czym jest. Tego się trzymajmy.

— Nie chcę nikogo zranić — odezwał się Lou na trawie.

— Słyszałeś, co właśnie powiedziałem? — spytał ze złością Lou. — Masz o tym nie mówić.

— Lou! — zawołała z ogrodu Ruth, wrywając ich z zamyślenia.

— Idę! — odkrzyknął Lou, wyglądając zza ogrodzenia. Zobaczył Pączka, który dopiero co odkrył sztukę chodzenia i właśnie uciekł na wolność przez drzwi kuchenne, pędząc chwiejnie po trawie niczym jajko, z którego wykluły się tylko nogi. Zaczął gonić za piłką, usiłując ją złapać, ale za każdym razem gdy się zbliżył, rozbiegane stópki niechący kopały ją dalej. W końcu zorientował się, co i jak, zatrzymał się przed piłką i zaczął się powoli podkradać, jakby miała zaraz uciec sama z siebie. Podniósł nogę. Nieprzyzwyczajony do stania na jednej stracił równowagę i upadł do tyłu na trawę, lądując bezpiecznie na wywatowanej pupie. Lucy wybiegła na dwór w czapce i szaliku i pomogła mu wstać.

— Jest bardzo podobna do Ruth. — Usłyszał głos Lou przy uchu i uświadomił sobie, że Lou do niego dołączył.

— Wiem. Spójrz tylko na tę minę.

Patrzyli, jak Lucy beszta Pączka za jego niefrasobliwość. Roześmieli się

jednocześnie, gdy zrobiła minę.

Gdy Lucy próbowała wziąć brata za rękę i zaprowadzić z powrotem do domu Pączek odpowiedział wrzaskiem. Wyrwał się jej i wyciągnął rączki do góry w mininapadzie złości, a po chwili sam postanowił podreptać z powrotem do kuchni.

— A kogo ci to przypomina? — skomentował Lou.

— No dobra, czas się ruszyć. Ty zejdziesz do portu, a ja zawiozę Ruth z dziećmi do miasta. Tylko bądź na czas, dobrze? Musiałem przekupić Quentina, żeby się zgodził.

— Na pewno się nie spóźnię. Tylko nie złam nogi.

— A ty nie utoń.

— To będzie dobry dzień. — Lou wyciągnął rękę i uściskał sobie dłoń.

Uścisk dłoni przerodził się w niedźwiadka: Lou stał na zboczu i ścisnął się tak serdecznie, jak dawno już nikt go nie obejmował.

Lou zjawił się w porcie dwie godziny przed rozpoczęciem regat. Od dawna nie żeglował i chciał odświeżyć sobie gwarę, przypomnieć sobie, jak to jest być na łodzi. Musiał też nawiązać relację z resztą ekipy: porozumienie to najważniejsza sprawa, a on nie chciał nikogo zawieść. Nieprawda — nie chciał zawieść Quentina. Znalazł piękną „Alexandré”, dwunastometrową żaglówkę, którą Quentin kupił pięć lat temu i od tamtego czasu wkładał w nią wszystkie dodatkowe pieniądze i każdą wolną chwilę. Na łodzi Quentin i pięciu innych siedzieli już w zwartej grupie, zajęci omawianiem kursu i taktyki.

Lou dokonał szybkiej kalkulacji. Na pokładzie może być tylko sześciu zawodników; Lou był siódmy.

— Cześć — powiedział, podchodząc do nich.

— Lou!

Quentin spojrzał na niego ze zdziwieniem i Lou zrozumiał, czemu jest ich szóstka. Brat nie wierzył, że się pojawi.

— Chyba się nie spóźniłem? Mówiłeś, żebym przyszedł na dziewiątą trzydzieści. — Próbował ukryć rozczarowanie.

— Tak, oczywiście. — Quentin z kolei próbował ukryć zaskoczenie. — Pozwól, że przedstawię cię reszcie. Chłopaki, to mój brat Lou.

Na kilku twarzach odmalowało się zdziwienie.

— Nie wiedzieliśmy, że masz brata. — Jeden z kolegów Quentina uśmiechnął się i podszedł do Lou z wyciągniętą dłonią. — Witaj, jestem Geoff. Mam nadzieję, że wiesz, co i jak.

— Dawno nie żeglowałem. — Lou spojrzał niepewnie na brata. — Ale obaj z Quentinem mamy za sobą tyle kursów, że trudno by było zapomnieć. Z tym jest jak z jazdą na rowerze, prawda?

Wszyscy się roześmiali i zaprosili go na pokład.

— Gdzie mnie chcesz? — Lou spojrzał na brata.

— Naprawdę jesteś na to gotowy? — spytał Quentin, wzięwszy go na bok.

— Oczywiście. — Lou starał się nie obrazić. — Te same pozycje co dawniej?

— Fordek?

— Tak jest, kapitanie. — Lou zasalutował.

Quentin się roześmiał i zwrócił do reszty zespołu.

— No dobrze, chłopaki. Musimy działać zgodnie. Pamiętajcie, rozmawiajmy ze sobą, chcę stałego przepływu informacji na całej długości łodzi. Jeśli nie zrobicie czegoś, co mieliście zrobić, krzyczcie; wszyscy musimy dokładnie wiedzieć, co się dzieje. Jak wygramy, stawiam pierwszą kolejkę.

Wszyscy zawiwatowali.

— Dobra, Lou. — Spojrzał na brata i mrugnął. — Wiem, że od dawna na to czekałeś.

Choć nie była to prawda Lou uznał, że lepiej nie informować o tym Quentina.

— Wreszcie będziesz miał okazję zobaczyć, na co stać „Alexandré”.

Lou dał bratu żartobliwego kuksańca.

Ruth przepchała wózek Pączka pod Łukiem Fizylierów i wjechali do parku St Stephens Green, położonego w samym sercu Dublina. Ustawiono w nim lodowisko i tłumy zakupowiczów oraz ludzi z całego kraju ściągali tu, by włączyć się do wyjątkowej zabawy. Minawszy jezioro z kaczkami i pokonawszy most O'Connella, wkrótce znaleźli się w krainie czarów. Wypielegnowaną zieleń zastąpił barwny targ, niczym wyjęty z jakiegoś świątecznego filmu. Na stoiskach sprzedawano gorącą czekoladę i pianki żelowe, alejki pełne były babeczek z bakaliami i keksu, a w powietrzu unosił się zapach cynamonu, goździków i marcepana. Właściciele straganów poprzebierali się za elfy, z głośników ryczały świąteczne melodie, z dachów stoisk zwisały sople, a maszyny do robienia śniegu wyrzucały z siebie sztuczny puch.

Najwięcej uwagi przyciągało igloo Świętego Mikołaja: ustawiła się przed nim długa kolejka, a elfy w zielonych strojach i spiczastych butach robiły co w ich mocy, by zabawić czekający tłum. Gigantyczne czerwono-białe pasiaste laski z cukru tworzyły sklepienie prowadzące do igloo, z którego komina wydobywały się bańki i dryfowały ku niebu. Na trawniku dzieci bawiły się w przeciąganie potężnej kartonowej tuby z niespodzianką, a sędziował im elf. Obok postawiono siedmiometrową choinkę przybraną wielkimi bombkami i lametą. Z gałęzi zwisały balony z wodą, w które kolejka dzieci — ale głównie tatusiów — rzucała piłkami pokrytymi ostrokrzewem, by dobrać się do czekających w środku podarunków. Pod choinką gorączkowo biegał i zbierał zdobycze czerwony na twarzy i mokry od wody z pękających balonów elf, podczas gdy jego kolega napełniał kolejne balony i przekazywał następnemu elfowi, który wieszał je na gałęziach. Nie było tu mowy o weseleniu się przy pracy.

Pulchny paluszek Pączka co chwila celował gdzie indziej, gdy tylko coś przykuło jego uwagę. Lucy, która zwykle bez przerwy mówiła, nagle całkiem umilkła. Jej czekoladowe włosy zostały obcięte na wysokości brody, a grzywka kończyła się tuż nad brwiami, eksponując duże brązowe oczy. Miała na sobie dwurzędowy jaskrawoczerwony płaszcz do kolan z dużymi czarnymi guzikami

i czarnym futrzanym kołnierzem, kremowe rajstopki i błyszczące czarne buciki. Jedną ręką trzymała się wózka Pączka i sunęła obok, pogrążona we własnym niebie. Co jakiś czas dostrzegała coś i spoglądała w górę na Lou i Ruth z szerokim uśmiechem. Nikt nic nie mówił. Nie musieli. Każde wiedziało.

Kawałek za targiem znaleźli lodowisko wypełnione setkami ludzi, młodych i wiekowych. Kolejka ciągnęła się wzdłuż ogrodzenia, więc czekający mogli oglądać, jak łyżwiarze się wywracają, i witali chichotem co komiczniejsze przypadki.

— Może pójdziecie obejrzyć przedstawienie? — spytał Lou, wskazując na minipantomimę odgrywaną na pobliskiej estradzie. Dziesiątki dzieci siedziały na leżakach, urzeczony roztaczającym się przed nimi magicznym światem. — Ja postoję w kolejce.

Był to gest jednocześnie szlachetny i samolubny, bo Lou Suffern nie mógł przecież zmienić się z dnia na dzień. Starał się spędzić dzień z rodziną, ale BlackBerry już wypalało mu dziurę w kieszeni i potrzebował chwili, żeby sprawdzić wiadomości i żeby nie wybuchnąć.

— Dobrze, dzięki — powiedziała Ruth, popychając wózek z Pączkiem w jego kierunku. — To nie potrwa długo.

— Dokąd idziesz? — spytał ogarnięty paniką Lou.

— Obejrzyć występ.

— Nie zabierasz go?

— Nie. Przecież śpi. Poradzicie sobie.

Odeszła, trzymając za rękę podskakującą Lucy, a Lou utkwiał w Pączku przerażony wzrok i modlił się, by się nie obudził. Jednym okiem patrzył na BlackBerry, drugim na syna, a trzecim, o którego istnieniu nie miał dotąd pojęcia, na grupę nastolatków przed sobą; hormony wzięły nad nimi górę i zaczęli nagle krzyczeć i skakać, a każdy ich wrzask czy niezdarny ruch rękami niósł ze sobą groźbę, że wyrwie Pączka ze snu. Nagle Lou zdał sobie sprawę, jak ogłuszająco dudni w głośnikach *Jingle Bells*, przerwane nagle przez głos, który z hukiem,

niczym karambol z udziałem pięciu samochodów, poinformował, że zagubiony członek jakiejś rodziny czeka przy Centrum Elfów. Lou odbierał każdy pojedynczy dźwięk, każdy pisk dzieci na lodzie, każdy krzyk, gdy ich ojcowie lądowali na tyłkach, każdy trzask kości. Czujny, jakby w każdej chwili spodziewał się ataku, schował BlackBerry z jego migającym czerwonym światelkiem z powrotem do kieszeni. Kolejka się przesunęła i bardzo powoli popchnął wózek do przodu.

Jego uwagę przykuł młodzieniec o tłustych włosach, który stał z przodu i opowiadał przyjacielom historię z użyciem wielu wybuchowych dźwięków i pojedynczych epileptycznych gestów. Zbliżając się do punktu kulminacyjnego opowieści, chłopak odskoczył do tyłu i wpadł na wózek.

—Przepraszam — powiedział, odwracając się i masując sobie rękę. — Przepraszam pana. Nic mu się nie stało?

Lou skinął, przełknął ślinę. Chciał udusić dzieciaka, znaleźć jego rodziców i wyłożyć im, że powinni wpoić synowi sztukę opowiadania bez zamasztych gestów i erupcji śliny. Zerknął na Pączka. Potwór się obudził. Szkliste, zaspane oczy, jeszcze niegotowe na pobudkę ze snu zimowego, otworzyły się powoli. Spojrzały na lewo, na prawo i wszędzie wokół, a tymczasem Lou wstrzymywał oddech. Przez pełną napięcia chwilę mierzyli się z Pączkiem wzrokiem, po czym dziecko uznało, że nie podoba mu się przerażona mina ojca, wypluło smoczek i zaczęło wrzeszczeć. Wrze-szczeć.

— Eeee, ćśśś — powiedział zakłopotany Lou, spoglądając na syna.

Pączek rozdarł się jeszcze głośniejsze, a w zmęczonych oczach stanęły wielkie łzy.

— No, Pączku. — Lou posłał mu swój najlepszy porcelanowy uśmiech, który działała na wszystkich w pracy.

Pączek płakał coraz głośniejsze.

Lou rozejrzał się wokół zawstydzony, przepraszając każdego, z kim spotkał się wzrokiem, zwłaszcza zadowolonego z siebie ojca z niemowlakiem w

nosidełku na klatce piersiowej i dwójką dzieci trzymających go za obie ręce. Lou mruknął coś pod nosem, odwrócił się do mężczyzny plecami i podjął próbę ukrócenia piekielnego wrzasku, popychając wózek energicznie w przód i w tył i celowo najeżdżając przy tym na pięty tłustowłosemu młodzieńcowi, przez którego znalazł się w tym kłopotliwym położeniu. Następnie spróbował włożyć Pączkowi do buzi smoczek. Dziesięciokrotnie. Zakrył mu dłońią oczy, w nadziei, że ciemności obudzą w nim senność. Nic z tego. Ciało Pączka przeżyło się i wyginało, kiedy próbował uwolnić się z szelek jak Niesamowity Hulk ze swojego ubrania. Nie przestawał wyc, jak kot zawieszony za ogon, zanurzony w wodzie i duszony. Lou przegrzebał torbę Pączka i zaproponował mu różne zabawki, które dość gwałtownie, jedna po drugiej, wylatywały z wózka i lądowały na ziemi.

Zadowolony z siebie Mężczyzna Rodzinny z nosidełkiem pochylił się i pomógł Lou zbierać rozrzucone zabawki. Lou odebrał je, nie spotykając się z nim wzrokiem, i wymamrotał podziękowanie. Kiedy większość zawartości torby Pączka znalazła się na ziemi, Lou postanowił uwolnić drożdżowego potwora. Przez dłuższą chwilę walczył z podstępny zapięciem, podczas gdy krzyki syna przybierały na sile, przyciągając uwagę kolejnych osób, a gdy ktoś był bliski wezwania opieki społecznej, Lou wreszcie udało się oswobodzić dziecko. Pączek jednak nie przestał płakać i wrzeszczeć; pod nosem bulgotały mu gile, a buzia nabrała koloru soku z czarnej porzeczki.

Dziesięć minut pokazywania drzew, psów, dzieci, samolotów, ptaków, choinek, prezentów, elfów, przedmiotów, które się ruszają, przedmiotów, które się nie ruszają, wszystkiego, co wpadło Lou w oko, a Pączek wciąż płakał.

W końcu nadbiegła Ruth z Lucy.

— Co się dzieje?

— Obudził się, gdy tylko odeszłyście, i nie chce przestać płakać — wyjaśnił spocony Lou.

Pączek spojrzał na Ruth i natychmiast wyciągnął do niej rączki, niemal wyskakując Lou z objęć. W jednej chwili krzyki ucichły, Pączek zaklaskał, buzia

wróciła do normalnego koloru i zaczął szczebiotać. Wpatrywał się w mamę, bawił się jej naszyjnikami, zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Lou był przekonany, że kiedy nikt nie patrzył, Pączek uśmiechnął się do niego zawiadacko.

Patrząc jak brzeg się oddala Lou poczuł, że jest w swoim żywiole, i żołądek podszedł mu do gardła z podniecenia. Zmierzali do strefy startowej, na północ od Oka Irlandii. Zakutani członkowie rodziny i przyjaciele machali zachęcająco z latarni na końcu moła, z lornetkami w rękach.

W morzu jest coś magicznego. Przyciąga ludzi. Chcą przy nim żyć, chcą w nim pływać i bawić się, patrzeć na nie. To żywa istota, nieprzewidywalna jak wielki aktor teatralny: potrafi być spokojna i ciepła, witać widownię z szeroko otwartymi ramionami, a za chwilę objawić burzliwą stronę swojej natury, miotać ludźmi, chcąc ich przepędzić, atakować brzegi, niszczyć wyspy. Morze potrafi też dokazywać; w takich chwilach cieszy je liczne towarzystwo, podrzuca radośnie dzieci, przewraca dmuchane materace i windsurferów, a czasem wyciąga pomocną dłoń do żeglarzy — wszystko to z tajemniczym chichotem. Dla Lou nie było nic wspanialszego niż wiatr we włosach, ślizganie się po falach z twarzą skąpaną w deszczu lub słońcu. Minęło dużo czasu, odkąd ostatnio żeglował — oczywiście, często spędzali z Ruth wakacje na jachtach znajomych, ale już od dawna nie czuł się częścią zespołu w jakiegokolwiek sferze życia. Cieszył się na to wyzwanie; nie tylko na współzawodnictwo z trzydziestoma innymi łódkami, ale na walkę z morzem, z wiatrem, z żywiołami.

Znalazłszy się w strefie startowej przepłynęli w celu identyfikacji obok łodzi komisji regatowej. Linia startowa przebiegała między czerwono-białym słupkiem na łodzi komisji i pomarańczową walcowatą boją na lewej burcie. Lou ustawił się na dziobie. Krążyli po strefie startowej, starając się w idealnym momencie zająć właściwą pozycję, tak by przekroczyć linię w chwili startu. Wiał północno-wschodni wiatr o sile czterech stopni w skali Beauforta, a poziom wody

wzrastał, co potęgowało zły humor morza. Będą musieli na to uważać, żeby osiągnąć dobre tempo na lekko wzburzonych, nierównych wodach. Tak jak za dawnych czasów Lou i Quentin dokładnie wszystko omówili, więc obaj wiedzieli, co robić. Przedwczesne przekroczenie linii startowej oznaczało dyskwalifikację, i to Lou musiał wyczuć właściwą chwilę, odpowiednio ustawić łódź i komunikować się ze sternikiem, czyli z Quentinem. Jako nastolatkwie mieli tę sztukę opanowaną do perfekcji, wygrywali wiele zawodów i mogli się ścigać z zamkniętymi oczami, na podstawie samego kierunku wiatru; ale to było dawno temu, a w ostatnich latach ich umiejętność porozumiewania się ze sobą ucierpiała dość drastycznie.

Kiedy o jedenastej dwadzieścia pięć pojawiła się flaga ostrzegająca Lou się przeżegnał. Obrócili łódź, próbując zająć pozycję, dzięki czemu przekroczyliby linię startową jako jedni z pierwszych. O jedenastej dwadzieścia sześć podniesiono flagę przygotowania. O jedenastej dwadzieścia dziewięć opuszczono flagę minuty do startu. Lou zamachał gwałtownie rękami, usiłując pokazać Quentinowi, gdzie ustawić łódź.

— Ster prawo, prawo, Quentin! — wrzasnął, wyciągając prawą rękę. — Trzydzieści sekund!

Zbliżyli się niebezpiecznie do innego jachtu. Z winy Lou.

— Ee, ster lewo! LEWO! — krzyknął Lou. — Dwadzieścia sekund!

Każda łódź walczyła o dobrą pozycję, ale jako że było ich w sumie trzydzieści, tylko nieliczne mogły przekroczyć linię startu z korzystnego stanowiska niedaleko łodzi komisji. Reszta będzie musiała jak najlepiej wykorzystać skradziony wiatr w drodze do boi.

O jedenastej trzydzieści rozległ się sygnał startowy i przynajmniej dziesięć łodzi przekroczyło linię przed nimi. Nie najlepszy początek, ale Lou nie zamierzał się poddawać. Brakowało mu wprawy, powinien trochę poćwiczyć, ale nie miał na to czasu, to nie były żarty.

Pędzili przed siebie. Po prawej mieli Oko Irlandii, po lewej przyłodek, ale to

nie był dobry moment na podziwianie widoków. Lou nie ruszał się z miejsca, szybko analizował sytuację, rozglądał się na płynące obok jachty; we włosach miał wiatr, krew tętniła mu w żyłach i jak nigdy dotąd czuł, że żyje. Znowu poczuł, co to znaczy żeglować. Może był teraz nieco wolniejszy, ale nie stracił wyczucia. Łódź uderzała o fale, a oni płynęli pełną parą ku boi nawietrznej, półtora kilometra od linii startu.

— Do zwrotu! — krzyknął Quentin, sterując w skupieniu, podczas gdy reszta się przygotowała. Wybierający baksztagi Alan sprawdził, czy luz na nich został zebrany. Szotmen, Luke upewnił się, że luz na nowych szotach został wybrany i wykonał parę obrotów kabestanem. Lou nie ruszył się ani o centymetr; skupiony na tym, co ma zrobić w następnej kolejności, obserwował łodzie wokół, by żadna nie znalazła się zbyt blisko. Instynktownie wiedział, że robią zwrot na lewy hals i że nie będą mieli pierwszeństwa przed jachtami idącymi prawym. Nagle przypomniały mu się dawne taktyki i w głębi duszy był z siebie zadowolony, że wziął kurs na przejście boi z nawietrznej. Czuł, że Quentin nabiera do niego większego zaufania, gdy ukończyli zwrot i mknęli w stronę boi, napływając z czystym podejściem. Lou walczył o wiarę brata w równym stopniu, jak o pierwsze miejsce.

Quentin upewnił się, że jest wystarczająco dużo miejsca na zmianę halsu, i rozpoczął zwrot. Geoff, zajmujący miejsce w kokpicie, szybko przeszedł do genuy i gdy tylko zaczęła pracować wstecz, wypuścił ją. Jacht przeszedł linię wiatru, grota poluzowano o parę stóp, a bom przeszedł na drugą burtę. Luke ciągnął ze wszystkich sił, a gdy nie mógł już wybierać, wykonał parę obrotów kabestanem i dociągnął linę. Quentin obrał nowy kurs.

— Balast! — krzyknął Lou i wszyscy rzucili się wystawić nogi za nawietrzną burtę.

Quentin wydał okrzyk radości, a Lou się zaśmiał, targany przez wiatr.

Kiedy już opłynęli pierwszą boję i skierowali się ku drugiej ze sprzyjającym wiatrem Lou błyskawicznie zabrał się do podnoszenia spinakera, po czym

pokazał Quentinowi uniesione kciuki. Reszta zespołu natychmiast wzięła się do roboty i każdy skupił się na swoich obowiązkach. Lou był jeszcze trochę niezdarly i popełniał błędy, ale widział, że idzie mu coraz lepiej.

Patrząc, jak żagiel sięga szczytu masztu wrzasnął radośnie:

— Staw!

Alan ustawił spinaker, a Robert tymczasem dociągał. Płynęli szybko i Lou machnął zaciśniętą pięścią i zawył ze szczęścia. Kiedy żagiel wypełnił się wiatrem niczym rękaw lotniskowy, Quentin roześmiał się za sterem; i tak popędzili w zgodzie z żywiołem ku następnej boi. Quentin zerknął za siebie i ukazał mu się niesamowity widok: za nimi było ze dwadzieścia pięć łodzi; ich spinakery się wypełniły i jachty ruszyły w pogoń za „Alexandrá”. Nieźle. Spotkali się wzrokiem z Lou i obaj się uśmiechnęli. Nic nie powiedzieli. Nie było potrzeby. Obaj wiedzieli.

Po trzydziestu minutach w kolejce do lodowiska wreszcie nadeszła ich kolej.

— Bawcie się dobrze — powiedział Lou, zacierając ręce i przytupując, żeby się rozgrzać. — Ja idę do stoiska z kawą i będę was stamtąd oglądać.

Ruth się roześmiała.

— Lou, myślałam, że z nami pojeździsz.

— Nie. — Skrzywił się. — Właśnie spędziłem pół godziny, obserwując, jak starsi ode mnie faceci robią z siebie skończonych kretyńców. A co, jeśli ktoś mnie zobaczy? Chyba jednak wolę zostać tutaj. Zresztą to nowe spodnie i można je prać tylko chemicznie — dodał.

— Dobra — powiedziała Ruth. — W takim razie zajmiesz się Pączkiem, kiedy my z Lucy będziemy jeździć.

— Chodź, Lucy. — Chwytał córkę za rękę. — Idziemy po łyżwy.

Puścił oczko do rozbawionej Ruth i skierował się do wypożyczalni. Dotarł do lady przed Mężczyzną Rodzinnym, który niczym Flecista z Hameln, przewodził teraz jeszcze liczniejszej gromadce. Ha. Lou miał ciche poczucie zwycięstwa, że

zdażył przed tym gościem. Lodowisko było blisko i w Lou obudziło się dziecko.

— Jaki rozmiar? — spytał mężczyzna za ladą.

— Czterdzieści cztery, proszę — odparł Lou i spojrzał wyczekująco na Lucy.

W odpowiedzi córka utkwiała w nim swoje wielkie brązowe oczy.

— Powiedz panu, jaki masz rozmiar, skarbie. — Lou czuł na karku oddech Mężczyzny Rodzinnego.

— Nie wiem, tatusiu — odrzekła Lucy, niemal szeptem.

— Masz cztery lata, prawda?

— Pięć. — Zmarszczyła brwi.

— Ma pięć lat — powiedział mężczyźnie za ladą. — Tak więc poprosimy rozmiar dla pięciolatki.

— To naprawdę zależy od dziecka.

Lou westchnął i wyjął BlackBerry. Nie zamierzał stać od nowa w kolejce. Mężczyzna Rodzinny z dzieckiem w nosidełku zawołał przez głowę Lou:

— Poproszę dwie trzydziestki siódemki, jedno trzydzieści pięć i pół i jedną dwudziestkę dziewiątkę.

Lou przewrócił oczami i zaczął go bezgłośnie przedrzeźniać, czekając na połączenie.

— Halo?

— Jaki rozmiar ma Lucy?

Ruth się roześmiała.

— Dwadzieścia sześć.

— Dobra, dzięki. — Rozłączył się.

Kiedy znaleźli się na lodzie Lou chwycił się kurczowo bandy. Wziął Lucy za rękę i zaczął ją prowadzić. Ruth stała obok z Pączkiem, który wierzgał z podniecenia i podskakiwał, wyciągając ręce.

— Posłuchaj, kochanie. — Głos drżał Lou tak samo jak kostki. — To bardzo niebezpieczne, więc musisz uważać. Złap się bandy, dobrze?

Lucy przytrzymała się jedną ręką i powoli przyzwyczała się do lodu, podczas

gdy Lou wciąż chwiały się niebezpiecznie na cienkich ostrzach.

Lucy zaczęła przyspieszać.

— Skarbie — powiedział Lou z niepokojem, patrząc na zimny twardy lód i wyobrażając sobie, jak to by było upaść. Nie pamiętał, kiedy się ostatnio przewrócił — pewnie jako dziecko;

w jego przekonaniu to właśnie dzieciństwo było czasem na upadki.

Dystans między Lou i Lucy stale się powiększał.

— Goń ją, Lou! — zawołała zza bandy Ruth, przesuając się równo z mężem, a w jej głosie słychać było, że się uśmiecha.

— Założę się, że świetnie się bawisz. — Był tak skupiony, że ledwo mógł podnieść na nią wzrok.

— O tak.

Wysunął do przodu lewą stopę, ale wyjechała dalej, niż planował, i zrobił coś w rodzaju szpagatu. Czuł się jak jelonek Bambi, który pierwszy raz staje na chwiejnych nóżkach; próbował złapać równowagę, miotając się niczym mucha uwięziona w słoiku, a nieopodal rozległ się charakterystyczny śmiech Ruth. Ale robił postępy. Podniósł wzrok i skupił się na Lucy, która, wyraźnie widoczna w swoim czerwoniutkim płaszczku, była już w połowie lodowiska.

Nagle obok przeleciał Mężczyzna Rodzinny, wymachując rękami, jakby miał zaraz odjechać na bobsleju; pędził z taką prędkością, że o mało nie zwałił Lou z nóg. Za nim, trzymając się za ręce, mknęły wężykiem dzieci i... czyżby śpiewały? Tego już było za wiele. Lou puścił powoli bandę, a jego chwiejne nogi spróbowały złapać równowagę. Potem stopniowo przesunął stopę do przodu, omal nie przewracając się przy tym do tyłu; jego plecy wygięły się, jakby miał zaraz przyjąć pozycję kraba, ale jakoś się wybronił.

— Cześć, tato.

Lucy minęła go ze znaczną prędkością, zamykając swoje pierwsze okrążenie.

Lou oddalił się od bandy i początkujących, którzy przesuwali się wzdłuż niej centymetr po centymetrze, zdecydowany pokonać Mężczyznę Rodzinnego, który

śmigał po lodzie jak Struś Pędziwiatr.

Znalazłszy się w połowie drogi między bandą i środkiem, Lou był zdany na siebie. Poczul się nieco pewniej, odepchnął się i rozłożył ręce dla równowagi, tak jak robili to inni. Zaczął nabierać prędkości. Omijając dzieci i staruszków, rzucił się przed siebie pozbawionym gracji pędem: zgarbiony wymachiwał gwałtownie ramionami, bardziej jak hokeista niż pełen wdzięku łyżwiarz. Wpadł na grupę dzieci i kilkoro się przewróciło, a kolejne straciły równowagę. Usłyszał za sobą płacz. Przedarł się przez parę trzymającą się za ręce. Tak bardzo skupiał się na tym, by nie upaść, że nie miał czasu przeproszać. Minał Lucy, ale nie mógł się zatrzymać i pojechał dalej, coraz szybciej i szybciej. Kiedy tak pędził, światelka zdobiące pobliskie drzewa zaczęły się rozmywać, a głosy i kolorowe ubrania łyżwiarzy zlały się w jeden wir. Lou poczul się tak, jakby siedział na karuzeli, uśmiechnął się i zrelaksował, robiąc okrążenie za okrążeniem. Minał Mężczyznę Rodzinnego; minął Lucy po raz trzeci; minął Ruth, która zawołała go po imieniu i zrobiła mu zdjęcie. Nie mógł się zatrzymać; nie wiedział jak. Cieszył się wiatrem we włosach, światłami miasta, świeżością powietrza, niebem, które z nadchodzącym zmierzchem wypełniło się gwiazdami. Od bardzo dawna już nie czuł się tak wolny i szczęśliwy.

„Alexandra” i jej załoga obrali kurs po raz trzeci i ostatni. W ostatniej godzinie ich prędkość i koordynacja bardzo się poprawiły i Lou dopracował wszystkie swoje wcześniejsze niedociągnięcia. Czekają ich opłynięcie boi zawietrznej i musieli raz jeszcze zrzucić spinaker.

Lou upewnił się, że liny są luźne. Geoff założył genuę, Lou umieścił lik w likszparze i upewnił się, że szot genuy jest odknagowany. Robert ustawił się, żeby złapać wolny szot pod grotem i użyć go do wciągnięcia spinakera. Gdy tylko zajął pozycję, cała załoga przygotowała się na to, że teraz wszystko wydarzy się jednocześnie. Geoff wyluzował fał i pomógł zebrać spinaker. Joey całkowicie wyluzował bras, żeby spinaker mógł łopotać swobodnie poza łodzią. Gdy

spinaker był już w łodzi, Luke wybrał genuę do nowego kursu, Joey wybrał grot, Geoff opuścił spinakerbom, a Lou go sklarował.

Zrzuciwszy spinaker zbliżali się do mety. Wywołali komendanta regat na kanale 37 i oczekiwali na odpowiedź. Nie dopłynęli jako pierwsi, ale byli wszyscy bardzo szczęśliwi. Kiedy mijali metę, Lou spojrzął na Quentina i obaj się rozpromienili. Żaden nic nie powiedział. Nie było takiej potrzeby. Obaj wiedzieli.

Leżąc na plecach na środku lodowiska, mijany przez innych łyżwiarzy, Lou chwycił się za obolałą klatkę piersiową i spróbował zapanować nad własnym śmiechem, ale zwyczajnie nie mógł. Zrobił to, czego obawiał się całe życie, i wykonał najbardziej teatralny i komiczny upadek dnia. Lucy, też roześmiana, próbowała podciągnąć go do góry i pomóc mu wstać. Jeździli sobie powoli, trzymając się za ręce, kiedy zbyt pewny siebie Lou potknął się o własne nogi, przeleciał kawałek i wylądował na plecach. Na szczęście nie ucierpiało nic poza jego dumą, ale — co zaskakujące — nawet tym się nie przejął. Pozwolił Lucy uwierzyć, że ciągnąc go za rękę, pomaga mu się podnieść. Spojrzął w stronę Ruth i zobaczył błysk flesza, gdy zrobiła kolejne zdjęcie. Spotkali się wzrokiem i Lou się uśmiechnął.

Tego wieczoru nie rozmawiali w ogóle o spędzonym wspólnie czasie. Nie było potrzeby. Wiedzieli.

To był najlepszy dzień w ich życiu.

Rozdział dwudziesty szósty

Wszystko zaczęło się od myszy

W poniedziałkowy poranek po weekendzie jazdy na łyżwach i żeglugi Lou Suffern dryfował do gabinetu z większym biurkiem i lepszym światłem. Była

Wigilia i biurowiec był właściwie pusty, nie licząc kilku dusz w nieformalnych ubraniach, które snuły się po korytarzach i gratulowały mu, poklepując go po plecach i ściskając mocno dłoń. Udało mu się. Za nim szedł Gabe z pudłem dokumentów. Była to dla Lou ostatnia okazja przed przerwą świąteczną, żeby oswoić się z nowym stanowiskiem. Ruth chciała, żeby pojechał z nią i dziećmi do miasta pospacerować ulicami i ponapawać się świąteczną atmosferą, ale on uznał, że najważniejsze to przygotować się wcześniej, by po powrocie w nowym roku nie marnować czasu na aklimatyzację. Wigilia czy nie Wigilia, zamierzał rozeznaczyć się w nowym terenie właśnie teraz.

Dotarli z Gabe'em do większego gabinetu z lepszym światłem. Kiedy otworzyli drzwi i weszli do środka, mieli wrażenie, że rozległ się śpiew aniołów: blask porannego słońca rozświetlał drogę od drzwi do biurka i opromieniał nowy gigantyczny skórzany fotel Lou, który wyglądał jak jakaś zjawa. Udało mu się. I choć mógł odetchnąć z ulgą, zamierzał wziąć głęboki oddech przed czekającym go nowym zadaniem. Nieważne, ile osiągnął; pragnienie, by iść dalej, pozostawało niezaspokojone. Życie było niekończącą się drabiną, która znika gdzieś w chmurach, chwieje się niebezpiecznie i w każdej chwili może się przewrócić, pociągając go ze sobą. Nie mógł teraz spojrzeć w dół, bo zamarłby w miejscu. Musiał ciągle patrzeć w górę. W górę i przed siebie.

— Niezłe biuro, Lou — odezwał się Gabe.

— Owszem. — Lou wyszczerzył zęby, rozglądając się wokół.

— Ciepłe — dodał Gabe, spacerując po gabinecie z rękami w kieszeniach.

Lou zmarszczył brwi.

— Ciepłe to... nie najtrafniejsze słowo. — Rozłożył ręce i objął gestem ogromną przestrzeń. — Gigan-kurna-tyczne biuro. — Wybuchnął trochę szalonym śmiechem. Zmęczony i poruszony, dumny i odrobinę przestraszony, próbował ogarnąć to wszystko.

— To czym się teraz właściwie zajmujesz? — spytał Gabe.

— Jestem dyrektorem do spraw Rozwoju Biznesu, co oznacza, że mogę

mówić pewnym gnojkom, co mają robić.

— Gnojkom jak ty?

Głowa Lou błyskawicznie odwróciła się w stronę Gabe'a, niczym radar, który wychwycił sygnał.

— Kilka dni temu sam byłeś gnojkiem, któremu mówiono, co ma robić... nieważne. — Gabe zamilkł. — A jak to przyjął Cliff?

— Co przyjął?

— Utratę posady.

— Och. — Lou podniósł wzrok. Wzruszył ramionami. — Nie wiem. Nie mówiłem mu.

Gabe odpowiedział milczeniem.

— Cliff chyba nie czuje się jeszcze na tyle dobrze, żeby z kimkolwiek rozmawiać — dodał Lou, czując, że musi się wytłumaczyć.

— Przyjmuje już gości — odrzekł Gabe.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem. Powinieneś go odwiedzić. Może mieć dla ciebie parę dobrych rad. Mógłbyś się od niego wiele nauczyć.

Słyszając to Lou się roześmiał.

Gabe wpatrywał się w niego bez mrugnięcia oka, w milczeniu.

Lou odchrząknął z zakłopotaniem.

— Dziś Wigilia, Lou. Co ty tu robisz? — spytał Gabe łagodnym tonem.

— Jak to, co tu robię? — Lou uniósł dłonie w pytającym geście. — Na co ci to wygląda? Pracuję.

— Wyłączając ochronę jesteś jedyną osobą w budynku. Nie zauważyłeś? Wszyscy są tam. — Gabe wskazał na miasto.

— Cóż, oni wszyscy nie są tak zajęci jak ja. Poza tym, ty też tu jesteś, nieprawdaż?

— Ja się nie liczę.

— Świetna odpowiedź. W takim razie ja też się nie liczę.

— Postępuj tak dalej, a nie będziesz. Wiesz, jeden z największych biznesmenów wszech czasów, niejaki Walt Disney, na pewno o nim słyszałeś, ma tu i ówdzie parę firm — Gabe się uśmiechnął — powiedział, że „człowiek nigdy nie powinien zaniedbywać rodziny dla interesów”.

Zapadła długa niezręczna cisza, w trakcie której Lou zaciskał i rozluźniał szczękę, próbując zdecydować, czy poprosić Gabe'a, żeby wyszedł, czy też wyrzucić go własnoręcznie.

— Z drugiej strony — Gabe się zaśmiał — powiedział też, że „wszystko zaczęło się od myszy”.

— No dobrze, lepiej zabiorę się do pracy. Wesołych świąt. — Lou próbował zapanować nad głosem na tyle, żeby, nawet jeśli nie zabrzmiał radośnie, przynajmniej nie było w nim słyhać, że ma ochotę udusić Gabe'a.

— Dziękuję, Lou. Ja też życzę ci wesołych świąt. I gratuluję ciepłego gigan-kurna-tycznego biura.

Słyszając to Lou nie mógł się nie roześmiać. Drzwi się zamknęły i po raz pierwszy został sam w nowym gabinecie. Podeszedł do biurka, przejechał ręką po orzechowym blacie. Stał na nim tylko duży biały komputer, klawiatura i myszka.

Usiadł w fotelu, obrócił się w stronę okna i patrzył, jak w dole miasto przygotowuje się do świątecznych obchodów. Z jednej strony ciągnęło go na dwór, ale czuł się uwięziony za oknem, które pokazuje mu świat, ale nie pozwala go dotknąć. Często miał wrażenie, że zamknięto go w wielkiej kuli śnieżnej, a wokół prószą obowiązki i porażki. Przez ponad godzinę siedział w tym fotelu, za tym biurkiem, i rozmyślał. Rozmyślał o Cliffie; o wydarzeniach ostatnich tygodni, i tym najlepszym dniu, zaledwie dwa dni temu. Rozmyślał o wszystkim. Kiedy obudziła się w nim lekka panika, odwrócił się od okna i stawiał czoło rzeczywistości biura.

Utkwił wzrok w klawiaturze. Wpatrywał się w nią intensywnie. Potem powędrował wzrokiem za cienkim białym kabelkiem, który łączył ją z myszą. Pomyślał o Cliffie, o tym, jak znalazł go pod tym biurkiem, ściskającego tę

klawiaturę i wymachującego tą właśnie myszą z przerażeniem i obłędem w oczach.

Aby uczcić Cliffa — czego Lou, jak właśnie sobie uświadomił, nie zrobił przez cały czas nieobecności kolegi — zdjął buty, odłączył klawiaturę od monitora i odsunął fotel. Osunął się na ziemię i wlażł na czworakach pod biurko, ściskając przy piersi klawiaturę. Spojrzał przez okno od podłogi po sufit i patrzył, jak miasto pędzi mu przed nosem. Przesiedział tam kolejną godzinę, pogrążony w myślach.

Zegar na ścianie tykał głośno w otaczającej go ciszy. Nie było śladu po zgiełku i zamęcie panujących zwykle w firmie. Żadnych telefonów, szumu kserokopiarek i komputerów, żadnych kroków na korytarzu. Dopóki Lou nie spojrzał na zegar, w ogóle nie słyszał upływających sekund, ale gdy tylko skierował wzrok na tarczę, tykanie jakby przybrało na sile. Popatrzył na klawiaturę, a potem na myszkę. Nagle przeżył wstrząs, poczuł, że po raz drugi w tym roku obrywa w głowę, ale tym razem wreszcie zrozumiał przesłanie Cliffa. Z pewnością nie chciał, żeby jego też ścigało to, cokolwiek to było, czego Cliff tak bardzo się bał. Wygramolił się spod biurka, włożył stopy w wypolerowane czarne buty i wyszedł z gabinetu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Wigilia

Ruchliwy deptak Grafton Street przepełniony był ludźmi kupującymi prezenty w ostatniej chwili. Ręce walczyły o pozostałości na półkach, wszyscy wyzbywali się resztek pieniędzy i zdrowego rozsądku, podejmując pochopne decyzje podyktowane ograniczeniami czasowymi, a niekoniecznie preferencjami osoby obdarowywanej. Najpierw prezenty, potem decyzja dla kogo.

Choć raz, nie goniąc razem z resztą spanikowanego tłumu, Lou trzymał za rękę Ruth i spacerował po ulicach Dublina, podczas gdy inni przepychali się obok nerwowo. Miał mnóstwo czasu. Kiedy po wcześniejszej szorstkiej odmowie umówił się z nią na miście, Ruth była zdumiona, ale jak zwykle nie zadawała żadnych pytań. Powitała tę zmianę z cichą radością, ale też cynizmem, który nie pozwalał wyrazić tej radości na głos. Lou Suffern musiał jej jeszcze wiele udowodnić.

Przeszli się Henry Street. Stało tam mnóstwo stoisk, na których sprzedawcy porozkładali resztki towaru: zabawki i papier do prezentów, lametę i pojedyncze bombki, zdalnie sterowane samochody jeżdżące po chodniku, wszystko na pokaz przez ostatnie kilka godzin szaleńczych świątecznych zakupów. Na wiecznie zmieniającej się Moore Street, tradycyjne stragany obejmowały też barwną etniczną mieszankę stoisk azjatyckich i afrykańskich. Lou kupił brukselkę od zgryźliwych sprzedawców, których nieprzerwany strumień świadomości zapewniał świetną rozrywkę wszystkim przechodniom. Następnie udali się na wczesne nabożeństwo wigilijne i zjedli razem lunch w hotelu Westin przy College Green, zabytkowym dziewiętnastowiecznym budynku i dawnym banku, który przekształcono w pięciogwiazdkowy hotel. Siedzieli w jego największej sali i Pączek spędził cały ten czas przechylony, z główką zadartą do góry, wpatrując się z podziwem w ręcznie rzeźbiony misternie zdobiony sufit i cztery żyrandole lśniące ośmioma tysiącami egipskich kryształów; wykrzykiwał coś raz po raz, żeby usłyszeć swoje echo.

Tego dnia Lou zobaczył świat z innej strony. Zamiast patrzeć na niego z trzynastego piętra, zza przyciemnianego wzmocnionego szkła, z wielkiego skórzanego fotela, postanowił się przyłączyć. Gabe miał rację w kwestii myszy; miał też rację, że Cliff może czegoś nauczyć Lou — właściwie to nastąpiło już sześć miesięcy temu, gdy plastikowa mysz uderzyła go w twarz i obudziła dawno pogrzebane lęki i sumienie. Właściwie, jak Lou się nad tym zastanowił, Gabe miał rację w wielu sprawach. Głos, który tak go drażnił, w rzeczywistości

wypowiadał słowa, których Lou nie chciał słyszeć. Wiele zawdzięczał Gabe'owi. Kiedy zaczęło się zmierzchać i maluchy musiały wrócić do domu, zanim Mikołaj pojawi się na niebie, Lou pocałował Ruth i dzieci na pożegnanie, odprowadził rodzinę do samochodu, po czym skierował się z powrotem do biura. Miał jeszcze jedno do zrobienia.

Stał w holu i czekał na windę. Drzwi się otworzyły i miał właśnie wejść do kabiny, kiedy wysiadł z niej pan Patterson.

— Lou — powiedział zdziwiony — nie wierzę, że dziś pracujesz, ale z ciebie numer. — Spojrzał na pudło w jego rękach.

— O nie, nie pracuję. Nie w święta. — Lou się uśmiechnął. Starał się w ten sposób przekazać szefowi wiadomość, subtelnie nakreślić reguły funkcjonowania na nowym stanowisku. — Muszę tylko, ee — nie chciał narobić Gabe'owi kłopotów, zdradzając jego miejsce pobytu — zostawiłem coś w biurze.

— Rozumiem. Cóż, Lou. — Pan Petterson przetarł znużone oczy. — Obawiam się, że muszę ci coś powiedzieć. Długo się zastanawiałem, czy ci o tym mówić, ale doszedłem do wniosku, że tak będzie najlepiej. Je też nie przyszedłem tu dziś pracować. Wezwał mnie Alfred. Powiedział, że to pilne. Po tym, co się przydarzyło Cliffowi, wszyscy zrobiliśmy się trochę nerwowi, więc przyjechałem jak najszybciej.

— Zamieniam się w słuch — odrzekł Lou, coraz bardziej spanikowany. Drzwi windy się zamknęły, odcinając mu drogę ucieczki.

— Chciał ze mną porozmawiać o... cóż, o tobie.

— Tak — powiedział powoli Lou.

— Przyniósł mi to. — Pan Patterson sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pojemnik, który Gabe dał Lou. W środku była tylko jedna pigułka. Ten szczur Alfred najwyraźniej popędził do śmietnika po dowody, żeby go zniszczyć.

Oszołomiony Lou patrzył na pojemnik i próbował zdecydować, czy się wypierać. Tak intensywnie myślał nad jakąś historią, że nad górną wargą wystąpił mu pot. To pigułki ojca. Nie, matki. Na biodro. Nie. To jego, ma problemy z

kręgosłupem. Zdał sobie sprawę, że pan Patterson ciągle mówi, i zaczął słuchać.

— Powiedział, że znalazł je pod śmietnikiem. Sam nie wiem... — Pan Patterson zmarszczył brwi. — A przy tym twierdził, że ma pewność, że należą do ciebie. — Znowu przyjrzał się Lou, szukając w jego twarzy jakiejś wskazówki.

Serce Lou waliło mu w uszach.

— Wiem, że przyjaźnicie się z Alfredem — kontynuował nieco zdezorientowany pan Patterson; w tej chwili wyglądał na swoje sześćdziesiąt pięć lat. — Ale jego niepokój o ciebie zdawał się płynąć z niewłaściwych pobudek. Miałem wrażenie, że chciał ci w ten sposób narobić kłopotów.

— Ee... — Lou przełknął ślinę, mierząc wzrokiem brązową fiolkę. — To nie, ee, te pigułki nie, ee... — wyjąkał, usiłując sformułować zdanie.

— Ja się nie wtrącam w osobiste sprawy innych, Lou, to, co moi współpracownicy robią w wolnym czasie, jest wyłącznie ich sprawą, pod warunkiem, że nie będzie to miało złego wpływu na firmę. Dlatego nie byłem zachwycony, gdy Alfred mi to dał.

Kiedy Lou nie odpowiedział, a tylko dalej obficie się pocił, pan Patterson dodał:

— Ale może tego właśnie chciałeś? — spytał, próbując zrozumieć sytuację.

— Słucham? — Lou wytarł czoło. — Czemu miałbym chcieć, żeby Alfred je panu przyniósł?

Pan Patterson utkwiał w nim wzrok, a kąciki jego ust lekko zadrżały.

— Nie wiem, Lou, jesteś mądrym człowiekiem.

— Co? — spytał zupełnie zdezorientowany Lou. — Nie rozumiem.

— Powiedz, jeśli się mylę, ale założyłem — drżące kąciki uniosły się w uśmiechu — że próbowałeś specjalnie zmylić Alfreda. Że jakoś skłoniłeś go, by uwierzył, że te pigułki są czymś więcej niż są. Mam rację?

Lou opadła szczeka i spojrzał na szefa ze zdumieniem.

— Wiedziałem. — Pan Patterson zachichotał i pokręcił głową. — Jesteś dobry. Ale nie aż tak dobry. Poznałem po niebieskim znaczku — wyjaśnił.

— Jak to? Po jakim niebieskim znaczku?

— Nie udało ci się zdrapać całego symbolu — otworzył pojemnik i przechylił, wysypując zawartość na dłoń. — Widzisz niebieski znaczek? A jak się dokładnie przyjrzysz, widać też ślad po D. Wszędzie rozpoznam te pigułki. Tylko dzięki tym maleństwom tu wyrabiam.

Lou przełknął ślinę.

— Tylko ta miała niebieski znaczek?

Leniwy do końca, Alfred nie sięgnął do śmietnika, by ratować własną skórę, tylko zdrapał symbol ze zwykłej tabletki na ból głowy.

— Nie, były dwie pigułki. Obie z niebieskimi znaczkami. Wziąłem jedną, mam nadzieję, że to nie problem. Znalezione pod śmietnikiem czy nie, głowa tak mi pękała, że po prostu musiałem.

— Wziął pan jedną? — wykrztusił Lou.

— Oddam ci. — Machnął lekceważąco ręką. — Można je kupić w każdej aptece. Nawet w kiosku. Nie są na receptę.

— Co się stało, kiedy ją pan zażył?

— No, przestała mnie boleć głowa. — Pan Patterson zmarszczył brwi. — Choć, prawdę mówiąc, jeśli nie wrócę do domu w przeciągu godziny, już rodzina o to zadba, żeby mnie znowu rozboleła. — Spojrzał na zegarek.

Lou zatkało.

— W każdym razie chciałem ci tylko dać znać, że nie spodobało mi się postępowanie Alfreda i nie uważam, żebyś... robił cokolwiek, o co próbował cię oskarżyć. W tej firmie nie ma miejsca dla takich ludzi. Musiałem go zwolnić. W Wigilię, Chryste, ta praca robi z nas czasem potwory — powiedział zmęczonym głosem i nagle wydał się starszy, niż był.

Lou milczał, choć w jego umyśle panował straszny zgiełk. Albo Alfred podmienił pigułki, albo on dwukrotnie się rozdziwił po zażyciu środków na ból głowy. Wyjął z kieszeni chusteczkę, rozwinął ją i przyjrzał się ostatniej pigułce. Serce zamarło mu w piersi. Widać było na niej zarys symbolu tabletki na ból

głowy. Czemu wcześniej tego nie zauważył?

— Ach, widzę, że masz jeszcze jedną. — Pan Patterson zachichotał. — Zostałeś przyłapany na gorącym uczynku. Cóż, proszę, weź i tę. Do kolekcji. — Podał mu pojemnik.

Lou spojrział na pana Pattersona, po czym odebrał od niego opakowanie, zamykając i otwierając bezgłośnie usta, niczym złota rybka.

— Lepiej już pójdę. — Pan Patterson zaczął się wycofywać. — Muszę złożyć kolejkę, włożyć baterie w Małą Miss, która gada jak najęta, czego bez wątpienia będę zmuszony wysłuchiwać przez cały tydzień. Wesołych świąt, Lou. — Wyciągnął do niego rękę.

Lou przełknął głośno ślinę; jego myśli wciąż wirowały wokół pigulek od bólu głowy. Czyżby był na nie uczulony? Może rozdwojenie było jakimś skutkiem ubocznym? A może to wszystko mu się przyśniło? Nie. To się naprawdę wydarzyło, rodzina widziała go w obu przypadkach. A więc skoro to nie pigułki, musiał to być...

— Lou — powiedział pan Patterson, wciąż z wyciągniętą dłonią.

— Do widzenia — wychrypiał Lou, po czym odchrząknął. — To znaczy, wesołych świąt. — Uścisnął szefowi rękę.

Gdy tylko pan Patterson się odwrócił Lou popędził na schody pożarowe i zbiegł do sutereny. Było tam zimniej niż poprzednio, a światło na końcu korytarza zostało wreszcie naprawione i nie błyskało już jak stroboskop rodem z lat osiemdziesiątych. Spod drzwi znowu płynęły dźwięki *Driving Home for Christmas* Chrisa Rea i niosły się echem po zimnej sterylnej przestrzeni.

Lou wszedł bez pukania. Popchnął drzwi nogą, wciąż ściskając w rękach pudło. Pomieszczenie okazało się znacznie mniej zagracone niż ostatnim razem. Gabe był w drugim przejściu, zajęty zwijaniem śpiwora i koca.

— Cześć, Lou — powiedział, nie odwracając się.

— Kim jesteś? — spytał drżącym głosem Lou i postawił pudło na półce.

Gabe wstał i wyszedł z przejścia.

— Cóż — powiedział powoli, mierząc Lou wzrokiem od stóp do głów. — Ciekawy sposób na rozpoczęcie rozmowy. — Przeniósł wzrok na pudło i uśmiechnął się. — Prezent? Dla mnie? — spytał cicho. — Nie trzeba było.

Zrobił krok do przodu, a Lou zrobił krok w tył, wpatrując się w niego ze strachem.

— Hmm — mruknął Gabe, patrząc na niego i marszcząc brwi, po czym przeniósł uwagę z powrotem na świątecznie opakowane pudło na półce. — Mogę otworzyć teraz?

Lou nie odpowiedział. Twarz lśniła mu od potu, a oczy śledziły nerwowo każdy ruch Gabe'a.

Bez pośpiechu, ostrożnie, Gabe zaczął otwierać starannie zapakowany podarunek. W pierwszej kolejności chwycił za końce i powoli zdjął taśmę, uważając, żeby nie rozedrzeć papieru.

— Uwielbiam dawać ludziom podarunki — wyjaśnił tym samym swobodnym tonem. — Nieczęsto jednak się zdarza, żeby ludzie mi coś podarowali. Ale ty jesteś inny, Lou. Zawsze tak myślałem. — Uśmiechnął się do niego. W końcu rozwinął papier i jego oczom ukazał się grzejnik elektryczny do magazynu. — Bardzo ładnie z twojej strony. Dziękuję. Na pewno przyda mi się w następnym miejscu, ale, niestety, nie tutaj, bo muszę ruszać dalej.

Lou cofnął się pod ścianę, możliwie jak najdalej od Gabe'a, po czym odezwał się drżącym głosem:

— Pigułki, które mi dałeś, to środki od bólu głowy.

Gabe nie odrywał wzroku od grzejnika.

— Zakładam, że powiedział ci o tym pan Patterson.

To zaskoczyło Lou; spodziewał się, że Gabe zaprzeczy.

— Tak — odparł. — Alfred wyciągnął je spod śmietnika i zaniósł mu.

— A to szczur. — Gabe pokręcił głową z uśmiechem. — Stary przewidywalny Alfred. Podejrzywałem, że to zrobi. Cóż, możemy go pochwalić

za upór, naprawdę nie chciał, żebyś dostał tę pracę, prawda?

Kiedy Lou nie odpowiedział Gabe ciągnął:

— Założę się, że donoszenie Pattersonowi mu nie pomogło.

— Pan Patterson go zwolnił — potwierdził cicho Lou, wciąż próbując zrozumieć sytuację.

Gabe nie wydawał się ani trochę zaskoczony. Tylko zadowolony — przede wszystkim bardzo zadowolony z siebie.

— Powiedz mi o pigułkach — zażądał roztrzęsionym głosem Lou.

— Tak, to środki od bólu głowy, kupiłem je w kiosku. Zdrapanie literek zajęło mi całe wieki. Wiesz, ciężko dziś o tabletki nieoznaczone logo firmy.

— KIM JESTEŚ?! — wrzasnął przerażony Lou.

Gabe podskoczył, a na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego niepokoju.

— Nagle się mnie boisz? Bo dowiedziałeś się, że to nie pigułki cię sklonowały? O co chodzi z tą całą nauką? Każdy tak chętnie w nią wierzy, we wszystkie te nowe wynalazki, nowe pigułki na to, nowe pigułki na tamto. Schudnij, wyhoduj więcej włosów, bla, bla, bla, ale jeśli coś wymaga odrobiny wiary, od razu szalejecie. — Pokręcił głową. — Gdyby cuda można było przekształcić na równania chemiczne, wszyscy by w nie uwierzyli. To przykre. Musiałem udawać, że to dzięki pigułkom, bo inaczej byś mi nie zaufał. I miałem rację, prawda?

— Jak to zaufał, kim ty, u diabła, jesteś? O co tu chodzi?

— Cóż — odrzekł Gabe, patrząc na niego ze smutkiem. — To już chyba jasne.

— Jasne? Z mojego punktu widzenia nie mogłoby to być bardziej pokręcone.

— Te pigułki. To tylko taki naukowy przekręt. Przekręt nauki. — Uśmiechnął się.

Lou przetarł twarz. Był zmęczony, dezorientowany, przestraszony.

— Chodziło o to, żeby dać ci szansę, Lou. Każdy zasługuje na szansę. Nawet ty, wbrew temu co myślisz.

— Szansę NA CO?! — wrzasnął.

Następne słowa Gabe'a sprawiły, że Lou przebiegł po plecach zimny dreszcz i zapragnął jak najszybciej znaleźć się z rodziną.

— No, Lou, przecież znasz odpowiedź.

To były słowa Ruth. Należały do niej.

Lou zaczął cały dygotać, a Gabe mówił dalej.

— Szansę, by spędzić trochę czasu z rodziną, naprawdę ich poznać, zanim... po prostu z nimi pobyc.

— Poznać ich, zanim co? — spytał Lou.

Gabe milczał. Odwrócił wzrok. Był świadomy, że powiedział za dużo.

— ZANIM CO?! — wrzasnął Lou, stając tuż przed Gabe'em.

Gabe się nie odezwał, ale spojrzenie jego czystych błękitnych oczu przeszło Lou na wylot.

— Coś się im stanie? — W głosie Lou słychać było narastającą panikę. — Wiedziałem. Bałem się tego. Co z nimi? — Zazgrzytał zębami. — Jeśli coś im zrobiłeś...

— Twojej rodzinie nic nie jest, Lou — odrzekł Gabe.

— Nie wierzę ci. — Sięgnął do kieszeni i wyciągnął Black Berry. Spojrzał na ekran: żadnych nieodebranych połączeń. Wybrał szybko numer do domu, wycofał się z magazynu i, posławszy Gabe'owi ostatnie wściekłe spojrzenie, pobiegł, ile sił w nogach.

— Pamiętaj, zapnij pas! — krzyknął za nim Gabe, a jego głos dzwonił Lou w uszach, kiedy pędził na parking podziemny.

Ustawwszy BlackBerry na autowybieranie Lou wyjechał z parkingu z zawrotną prędkością. Na przednią szybę gwałtownie spadł obfity deszcz. Na opustoszałym już nabrzeżu włączył wycieraczki na najwyższe obroty i wcisnął pedał gazu. Dźwięk ostrzeżenia o niezapiętym pasie rozbrzmiewał coraz głośniejsze, ale Lou był tak przerażony, że go nie słyszał. Koła porsche ślizgały się lekko po mokrym asfalcie, kiedy pędził bocznymi ulicami, a potem nadbrzeżną drogą Clontarf prowadzącą do Howth. Po drugiej stronie zatoki sterczały

czerwono-białe pasiaste kominy elektrowni, wysokie na dwieście siedem metrów, niczym dwa uniesione palce. Deszcz lał jak z cebra, znacznie ograniczając widoczność, ale Lou znał te drogi bardzo dobrze, jeździł nimi całe życie, a teraz zależało mu tylko na tym, by jak najszybciej pokonać niewielki odcinek, który dzieli go od rodziny. Była szósta trzydzieści i na dworze panował zupełny mrok. Większość ludzi była na mszy lub w pubie; przygotowywali się do wyłożenia prezentów, do wystawienia szklanki mleka i świątecznego ciasta dla Mikołaja oraz kilku marchewek dla jego szoferów. Rodzina Lou była w domu i jadła kolację — na którą Lou obiecał dotrzeć — ale nikt nie odbierał telefonu. Oderwał wzrok od drogi i spojrzał na BlackBerry, by upewnić się, że dzwoni. Zarzuciło go lekko i najechał na linię oddzielającą jezdnie. Nadjeżdżający z naprzeciwka samochód zatrał głośno i Lou szybko wrócił na swój pas. Przeleciał obok Marine Hotel w Sutton Cross, gdzie odbywały się właśnie liczne imprezy świąteczne. Widząc przed sobą pustą drogę, docisnął gaz. Minał kościół w Sutton, szkołę na wybrzeżu, przejechał przez bezpieczne przyjazne sąsiedztwa, gdzie w oknach płonęły świece, lśniły choinki, a z dachów zwisali Mikołaje. Po drugiej stronie zatoki dziesiątki dublińskich żurawi błyszczały światłami choinkowymi. Lou pożegnał się z zatoką i wjechał na stromą drogę prowadzącą do jego domu na szczycie wzgórza. Deszcz lał strugami, nie było prawie nic widać. Przednia szyba zaczęła parować i Lou pochylił się, by wytrzeć ją rękawem kaszmirowego płaszcza. Wcisnął odpowiednie guziki na desce rozdzielczej w nadziei że to pomoże. W uszach dźwięczało mu dzyń, dzyń, dzyń ostrzeżenia o pasie, a w miarę jak samochód się nagrzewał, na szybie zbierało się coraz więcej pary. Mimo to Lou pędził dalej: pragnienie, by być z rodziną, zagłuszyło wszelkie inne emocje, które powinien był wtedy odczuwać. W ciągu dwunastu minut znalazł się na swojej ulicy.

Wreszcie telefon wydał z siebie sygnał, że ktoś dzwoni. Lou spojrzał w dół i zobaczył Ruth — jej zdjęcie na wyświetlaczu. Szeroki uśmiech, brązowe oczy, łagodne i ciepłe. Szczęśliwy, że jest bezpieczna, a przynajmniej na tyle

bezpieczna, by do niego zadzwonić, sięgnął z ulgą po BlackBerry.

Porsche 911 carrera 4S ma wyjątkowy napęd na cztery koła, dzięki któremu trzyma się nawierzchni znacznie lepiej niż samochody sportowe z napędem tylko na tylną oś. W przednie koła idzie od pięciu do czterdziestu procent mocy, zależnie od tego, jaką przyczepność mają tylne. Jeśli przyspieszy się na zakręcie na tyle mocno, że tylne koła buksują, układ elektroniczny przenosi moc na przód i kieruje samochód we właściwą stronę. W skrócie, napęd na cztery koła oznacza, że carrera 4S radzi sobie ze śliską drogą znacznie skuteczniej niż większość sportowych aut.

Niestety, Lou nie miał tego modelu porsche. Zamówił go i spodziewał się dostawy w styczniu; zaledwie za tydzień.

Kiedy więc spojrzął na ekran BlackBerry poczuł taką ulgę i radość na widok twarzy żony, że zapomniał na chwilę o drodze i wszedł w następny zakręt ze zdecydowanie zbyt dużą prędkością. Odruchowo zdjął nogę z gazu, co przeniosło ciężar auta do przodu i odciążyło tylne koła; następnie wcisnął z powrotem pedał gazu i skręcił ostro kierownicę, żeby wyrobić się na zakręcie. Tył samochodu stracił przyczepność i Lou przeleciał na drugą stronę drogi, gdzie zaczynało się strome urwisko.

Następne chwile były przepełnione czystym przerażeniem i zupełną dezorientacją. Szok uśmierzył ból. Samochód obrócił się raz, drugi, trzeci. Przy każdym obrocie Lou wydawał z siebie wrzask: jego głowa, tułów, nogi i ręce obijały się jak szalone, niczym lalka w pralce. Poduszka powietrzna wystrzeliła mu w twarz, rozkrwawiając nos i pozbawiając przytomności, tak że następne kilka minut było krwawe, acz spokojne.

Jakiś czas później Lou otworzył oczy i próbował ocenić sytuację. Nic z tego. Otaczała go ciemność i okazało się, że nie może się ruszyć. Jedno oko nic nie widziało, bo pokrywała je gęsta, oleista substancja; za pomocą jednej sprawnej ręki odkrył, że każda część ciała, której dotknął, była pokryta tą samą substancją. Poruszył językiem w ustach, poczuł rdzawy smak i zrozumiał, że to krew.

Spróbował poruszyć nogami, ale nie mógł. Spróbował poruszyć rękami i tylko jedna trochę działała. Był cicho i próbował zachować spokój, wymyślić, co teraz. Wtedy — gdy po raz pierwszy w życiu nie mógł sformułować ani jednej myśli, gdy szok minął i Lou pojął swoje położenie — ból uderzył w niego z pełną siłą. Nie mógł opędzić się od widoku Ruth. Lucy, Pączka, rodziców. Byli niedaleko, gdzieś na szczycie wzniesienia; prawie mu się udało. W ciemnościach, w rozbitym samochodzie, pośród kolcolistu i przetaczników, gdzieś na zboczu wzgórza w Howth, Lou Suffern zaczął cicho popłakiwać.

Raphie i Jessica patrolowali okolicę i jak zwykle sprzeczali się o kasetę country, którą Raphie lubi dręczyć Jessicę, kiedy minęli miejsce, gdzie samochód Lou wypadł z drogi.

— Czekaj, Raphie — przerwała jego zawodzenie o zbolałym sercu Jessica.

W odpowiedzi zawył jeszcze głośniej.

— RAPHIE! — wrzasnęła, wyłączając muzykę.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Dobra, dobra, puść swoje Mrożone Małpy, czy jak oni się tam zwa.

— Zatrzymaj się — powiedziała Jessica takim tonem, że Raphie natychmiast zahamował. Wskoczyła z samochodu i przebiegła parę metrów do miejsca, które przykuło jej uwagę połamanymi i powyginanymi drzewami. Wyjęła latarkę i poświęciła nią na zbocze.

— O Boże. Raphie, wezwij pomoc. — krzyknęła. — Karetkę i straż pożarną!

Nadbiegający Raphie zatrzymał się w pół kroku i zawrócił do radiowozu, gdzie zgłosił wypadek.

— Schodzę tam! — wrzasnęła Jessica, przelaząc przez połamane drzewa i w dół stromego zbocza.

— Nie, Jessica! — usłyszała głos Raphiego, ale nie posłuchała. — Wracaj tu, to zbyt niebezpieczne!

Jego krzyki do niej dochodziły, ale zaraz się wyłączyła i słyszała już tylko

własny oddech, szybki i gwałtowny, i głośne bicie serca.

Jessica, nowa w brygadzie, nigdy w życiu nie powinna była zobaczyć tak zmiążdżonego samochodu, do góry nogami, zupełnie nie do poznania. Ale tak się stało. Dla Jessiki był to, niestety, znajomy widok; widok, który prześladował ją w snach i na jawie. Teraz stanęła twarzą w twarz ze swoim koszmarem i wspomnienia odżyły. Zakręciło jej się w głowie, tak że musiała przykucnąć i włożyć ją między kolana. Jessica miała swoje tajemnice i jedna z nich właśnie ją dopadła. Modliła się, żeby w samochodzie nie było nikogo; auto zostało kompletnie zmiążdżone, brakowało tablicy rejestracyjnej, a w ciemnościach nie umiała powiedzieć, czy jest granatowe czy czarne.

Obeszła wrak. Lodowaty deszcz zdążył ją już całkiem przemoczyć. Ziemia była mokra i błotnista, przez co raz po raz traciła równowagę, ale jej serce tak kołatało w piersi, a umysł pogrążył się we wspomnieniu z przeszłości, że kiedy skreśliła kostkę, nie poczuła bólu; nie czuła zadrapań od gałęzi, ran od kamieni poukrywanych wśród kolcolistu.

Po drugiej stronie samochodu zobaczyła człowieka — a przynajmniej ciało — i zrobiło jej się słabo. Poświeciła latarką. Był zakrwawiony. Cały we krwi. Drzwi były wgniecione i nie mogła ich otworzyć, ale dzięki rozbitej szybie miała dostęp do jego górnej połowy. Próbowwała zachować spokój, kierując na niego promień latarki.

— Tony — szepnęła na widok jego twarzy. — Tony. — W oczach stanęły jej łzy. — Tony. — Chwyliła mężczyznę za głowę, próbując go ocucić. — To ja, Tony — powiedziała. — Jestem tutaj.

Mężczyzna jęknął, ale jego oczy pozostały zamknięte.

— Wydostanę cię stąd — szepnęła mu do ucha i pocałowała w czoło. — Zabiorę cię do domu.

Wtedy otworzył powoli oczy i Jessica doznała wstrząsu. Niebieskie. Nie brązowe. Tony ma brązowe oczy.

Spojrzał na nią. Ona spojrzała na niego. Obudziła się z kosmaru.

— Proszę pana — powiedziała, ale głos drżał jej bardziej, niż by chciała. Wzięła głęboki wdech i zaczęła jeszcze raz. — Proszę pana, czy pan mnie słyszy? Mam na imię Jessica, słyszy mnie pan? Pomoc jest w drodze. Wydostaniemy pana stąd.

Mężczyzna jęknął i zamknął oczy.

— Już jadą. — Na górze pojawił się zdyszany Raphie i zaczął do nich schodzić.

— Raphie, tu jest bardzo niebezpiecznie, strasznie ślisko, zostań tam, żeby cię widzieli.

— Ktoś przeżył? — spytał, ignorując jej słowa i posuwając się krok po kroku w dół zbocza.

— Tak! — odkrzyknęła. — Proszę pana, proszę dać mi rękę. — Poświeciła latarką na ramię mężczyzny i żołądek podszedł jej do gardła. Potrzebowała chwili, żeby uspokoić oddech, po czym znowu uniosła latarkę. — Proszę pana, proszę mnie chwycić za rękę. Jestem tutaj, czuje pan? — Złapała go mocno.

Zajęczał z bólu.

— Proszę się trzymać, wydostaniemy pana stąd.

Znowu jęk.

— Co? Nie rozumiem... proszę się nie martwić, karetka jest w drodze.

— Kto to? — zawołał Raphie. — Wiesz?

— Nie! — odkrzyknęła. Była całkowicie skupiona na mężczyźnie, nie chciała go stracić.

— Moja żona — wyszeptał tak cicho, że jego słowa można by pomylić z wydechem.

Przysunęła ucho do jego ust, tak blisko, że poczuła na płatku lepłą krew.

— Ma pan żonę? — spytała łagodnie. — Zobacz ją pan. Obiecuję, że ją pan zobaczy. Jak panu na imię?

— Lou — powiedział i zaczął cicho płakać, ale nawet na to nie miał siły i musiał przestać.

— Proszę, trzymaj się, Lou.

Próbowała powstrzymać łzy. Znowu przyłożyła mu ucho do ust, a on wyszeptał coś jeszcze.

— Pigułka? Lou, nie mam pigulek...

Nagle puścił jej rękę i zaczął szarpać za płaszcz, uderzać bezwładną ręką o pierś z takim trudem, jakby podnosił samochód. Stękał z wysiłku; skomlał z bólu. Jessica sięgnęła do przesiąkniętej krwią górnej kieszeni i wyjęła z niej opakowanie. W środku była jedna biała pigułka.

— To twoje lekarstwo, Lou? — spytała niepewnie. — Mam...? — Spojrzała w górę na Raphiego, który zastanawiał się, jak pokonać szczególnie trudny odcinek. — Nie wiem, czy powinnam ci dawać...

Lou wziął jej rękę i ścisnął z taką siłą, że natychmiast otworzyła fiolkę i wyrzuciła pigułkę na dłoń. Drżącymi palcami otworzyła Lou usta, umieściła pigułkę na języku i zamknęła je z powrotem. Obejrzała się szybko, by sprawdzić, czy Raphie widział. Był dopiero w pół drogi.

Kiedy znów spojrzała na Lou ten wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. Zobaczyła w nich takie wzruszenie, tak nieskończoną wdzięczność za ten jeden prosty gest, że jej serce wypełniła nadzieja. Wtedy Lou zrobił gwałtowny wdech i jego ciało zadrżało, po czym zamknął oczy i opuścił ten świat.

Rozdział dwudziesty ósmy

Ze względu na dawne czasy

W chwili kiedy Lou Suffern opuścił ten świat i przeszedł na tamten, stał też w ogrodzie frontowym przed swoim domem w Howth, przemoczony do suchej nitki. Doświadczenie sprzed kilku chwil sprawiło, że cały się trząsł. Nie miał wiele czasu, ale nie chciałby być teraz w żadnym innym miejscu.

Przeszedł przez drzwi wejściowe. Jego buty chlupotały na podłodze. W salonie ogień trzaskał w kominku, a pod choinką leżało mnóstwo prezentów, pięknie opakowanych i przewiązanych wstążkami. Na razie Lucy i Pączek byli jedynymi dziećmi w rodzinie, więc zgodnie z tradycją rodzice Lou, Quentin i Alexandra oraz znowu niezamężna Marcia nocowali u nich w domu. Zachowanie Lucy w bożonarodzeniowy poranek sprawiało wszystkim tyle radości, że nie sposób im było tego odmówić. Lou nie wyobrażał sobie spędzenia tego wieczoru bez nich; nie mogłoby go bardziej uszczęśliwić. Wszedł do jadalni, modląc się, żeby go zobaczyli, żeby ostatni cudowny podarunek od Gabe'a nie zawiódł.

— Lou. — Ruth podniosła wzrok znad stołu i zauważyła go pierwsza. Zerwała się z krzesła i podbiegła do niego. — Lou, skarbie, nic ci nie jest? Coś się stało?

Matka popędziła po ręcznik.

— Wszystko w porządku. — Pociągnął nosem. Wziął twarz żony w dłonie i nie odrywał od niej wzroku. — Już wszystko dobrze. Dzwoniłem — powiedział cicho. — Nie odebrałaś.

— Pączek znowu schował telefon — wyjaśniła, przyglądając mu się z niepokojem. — Jesteś pijany? — spytała szeptem.

Zaśmiał się.

— Nie. Jestem zakochany — odszepnął, po czym powtórzył to głośniejszym głosem, tak by wszyscy słyszeli. — Jestem zakochany w mojej pięknej żonie.

Pocałował ją w usta, zaciągnął się zapachem jej włosów, pocałował szyję, obsypał pocałunkami całą twarz, nie zważając, że rodzina patrzy.

— Przepraszam — wydusił z siebie z trudem przez łyżę.

— Za co? Co się stało?

— Przepraszam za wszystko, co ci zrobiłem. Za to, że się tak zachowywałem. Kocham cię. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

Oczy Ruth też wypełniły się łzami.

— Wiem, kochanie, już mi mówiłeś.

— Zdałem sobie sprawę, że kiedy nie ma cię przy mnie, jestem beznadziejny.
— Uśmiechnął się, a jego zapłakana matka, która zdążyła już wrócić z ręcznikami, zaśmiała się i klasnęła, po czym złapała męża za rękę.

— Was wszystkich. — Lou odsunął się od Ruth, ale nie puścił jej dłoni. —
Przepraszam was wszystkich.

— Wiemy, Lou — zapewnił go Quentin wzruszonym głosem. — Było minęło. A teraz przestań się zamartwiać i chodź zjeść kolację. Wszystko jest w porządku.

Lou spojrzał na rodziców, którzy potakiwali z uśmiechem. Ojciec miał łzy w oczach i kiwał energicznie głową na znak, że już dobrze. Marcia mrugała gwałtownie, by powstrzymać się od płaczu, skupiona na przesuwaniu zastawy z miejsca na miejsce.

Wysuszyli go, ukochali, wycalowali i nakarmili, choć zjadł niewiele. Lou w kółko zapewniał każde z osobna o swojej miłości, aż zaczęli się śmiać i kazali mu przestać. Poszedł na górę się przebrać, zanim, jak oznajmiła matka, dostanie zapalenia płuc. Kiedy był w sypialni, usłyszał płacz Pączka i natychmiast popędził do jego pokoju.

W środku panował mrok, rozświetlony jedynie lampką nocną. Pączek nie spał i stał przy barierce łóżeczka. Lou zapalił światło i wszedł do środka. W pierwszej chwili Pączek spojrzał na niego gniewnie.

— Cześć, mały — powiedział łagodnie Lou. — Czemu nie śpisz?

Pączek jęknął cicho.

— Chodź do mnie.

Lou pochylił się nad barierką, wziął go na ręce i zaczął kołysać w ramionach. Po raz pierwszy Pączek nie wydarł się na cały dom, kiedy ojciec się do niego zbliżył. Uśmiechnął się, włożył Lou palec do oka, do nosa, a w końcu do ust, gdzie próbował go złapać za zęby.

Lou się roześmiał.

— Hej, tego ci nie dam. Ale niedługo będziesz miał własne. — Pocałował

Pączka w policzek. — Kiedy urośniesz wydarzy się wiele rzeczy. — Spojrzał na syna, zasmucony, że to wszystko go ominie. — Opiekuj się mamą, dobrze? — wyszeptał drżącym głosem.

Pączek zachichotał, nagle podekscytowany, i wypuścił buzią bańki ze śliny.

Na ten dźwięk łyzy Lou szybko wyschły. Uniósł syna w górę, położył sobie jego brzuszek na głowie i zaczął łaskotać. Pączek śmiał się na cały głos i Lou nie mógł się nie przyłączyć.

Kątem oka zobaczył, że w drzwiach stoi Lucy i przygląda się im.

— No, Pączku — powiedział głośno. — A może pójdziemy do pokoju Lucy i wskoczmy na łóżko, żeby ją obudzić, co ty na to?

— Nie, tatusiu! — wykrzyknęła rozradowana Lucy, wpadając do pokoju. — Ja nie śpię!

— Och, ty też nie śpisz! Czyżbyście byli małymi elfami, które pomagają Mikołajowi?

— Nie. — Lucy się zaśmiała, a Pączek jej zawtórował.

— W takim razie lepiej wracaj pędem do łóżka, bo Mikołaj nie przyjdzie, jeśli zobaczy, że nie śpisz.

— A jak zobaczy ciebie? — spytała.

— Zostawi więcej prezentów.

Lucy zmarszczyła nos.

— Pączek śmierdzi kupką. Idę po mamusię.

— Nie, ja to zrobię. — Spojrzał na Pączka, który w odpowiedzi uśmiechnął się do niego szeroko.

Lucy spojrzała na ojca, jakby zwariował.

— Nie patrz tak na mnie. — Roześmiał się. — To nie może być bardzo trudne. No, kolego, pomóż mi. — Uśmiechnął się nerwowo do Pączka. Otwarta dłoń syna plasnęła go żartobliwie w twarz. Lucy zawyła z radości.

Lou położył Pączka na ziemi, żeby nie stoczył się z przewijaka, którego używa Ruth.

— Mamusia kładzie go tam.

— A tatuś nie — odrzekł Lou, próbując dojść, jak się rozpina pajacyk.

— Guziki są na dole.

Lucy usiadła obok.

— A, dzięki. — Rozpiął je i podwinął materiał do góry, by uchronić go przed zabrudzeniem. Rozpakował nową pieluszkę i powoli ją rozłożył. Obracał ją w rękach, zastanawiając się, co gdzie idzie.

— Aa, kupka! — Lucy rzuciła się do tyłu i zatkała nos. — Prosiaczek ma być z przodu — powiedziała nosowym głosem.

Lou pracował szybko nad opanowaniem sytuacji, a Lucy tarzała się po podłodze i teatralnie wachlowała sobie twarz. Zniecierpliwiony wolnym tempem ojca, Pączek zaczął wierzgać nóżkami, zmuszając go, żeby się wycofał. Bobas znalazł się na czworakach, z pupą wypiętą w twarz Lou, który zakradł się od tyłu i zaatakował go chusteczką pielęgnacyjną niczym miotłką do kurzu. Jego lekkie machnięcia nie poprawiały sytuacji. Musiał się do tego przyłożyć. Wstrzymał oddech i zabrał się do dzieła. Skorzystał z tego, że Pączek zajął się chwilowo piłką, która przykuła jego uwagę, a Lucy pomagała, podając kolejne akcesoria.

— Teraz musisz nałożyć ten krem.

— Dzięki. Zawsze będziesz się opiekować Pączkiem, prawda, Lucy?

Skinęła poważnie głowę.

— I mamusią?

— Taaaak. — Machnęła radośnie pięścią.

— A Pączek i mamusia będą opiekować się tobą — powiedział Lou, chwytając pulchne nóżki i wyciągając spod łóżeczka kwiczącego jak świnka Pączka.

— A my wszyscy będziemy się opiekować tatusiem! — wykrzyknęła triumfalnie Lucy, tańcząc w kółko.

— Nie martw się o tatusia — powiedział cicho i skupił się na tym, jak zakłada się pieluszkę. W końcu ją rozpracował i szybko zapiął guziki ubranka.

— Dzisiaj pozwolimy mu spać bez piżamki. — Starał się, by zabrzmiało to pewnie.

— Mamusia gasi światło, żeby zasnął — szepnęła Lucy.

— Dobrze, zrobmy to — odszepnął i wyłączył światło, zostawiając tylko puchatkową lampkę nocną, której światełka tańczyły po suficie.

Pączek wpatrywał się w nie, gaworząc i wydając z siebie różne zupełnie niepodobne do słów dźwięki.

Lou przykucnął w ciemnościach na dywanie, przytulił do siebie Lucy i patrzył, jak miś o bardzo małym rozumku ściga słoik z miodem. Czas jej powiedzieć.

— Wiesz, że gdziekolwiek będę i cokolwiek wydarzy się w twoim życiu, nieważne, czy będziesz smutna, wesoła, samotna, czy zagubiona, zawsze jestem przy tobie. Nawet jeśli nie będziesz mnie widzieć, pamiętaj, że zawsze tutaj jestem. — Dotknął główki córki. — I tu. — Przyłożył dłoń do jej serca. — Zawsze na ciebie patrzę i jestem dumny z ciebie i ze wszystkiego, co robisz. A jeśli kiedykolwiek będziesz miała wątpliwości co do moich uczuć, przypomnij sobie moje słowa. Kocham cię. Tatuś cię kocha, skarbie. Dobrze?

— Dobrze, tatusiu — odparła smutno. — A kiedy będę niegrzeczna? Wtedy też będziesz mnie kochał?

Lou się zastanowił.

— Kiedy będziesz niegrzeczna pamiętaj, że tatuś gdzieś tam jest i ma nadzieję, że zawsze starasz się być jak najlepsza.

— Ale gdzie będziesz?

— Jeśli nie tutaj, to gdzie indziej.

— A gdzie to jest?

— To tajemnica — odrzekł, próbując powstrzymać łzy.

— Tajemnica gdzie indziej — wyszeptała i Lou poczuł na twarzy jej ciepły oddech.

— Tak.

Lou przytulił ją mocno i starał się nie wydać żadnego dźwięku, kiedy po twarzy stoczyły mu się duże gorące łzy.

W jadalni na dole wszyscy płakali, słuchając rozmowy w pokoju Pączka przez elektroniczną nianię. Suffernowie wylewali łzy radości, gdyż wreszcie powrócił do nich syn, brat i mąż.

Tej nocy Lou Suffern kochał się z żoną, a później przytulił ją mocno i przeczesywał palcami jedwabiste włosy, aż pogrążył się we śnie, ale nawet wtedy koniuszki jego palców nie przestały śledzić konturów jej twarzy: przebiegały po małym zadartym nosku, wysokich kościach policzkowych, czubku brody, wzdłuż linii żuchwy, a potem aż do linii włosów, jakby był ślepcem, który widzi ją pierwszy raz.

— Będę cię zawsze kochał — wyszeptał, a ona się uśmiechnęła, w połowie drogi do krainy marzeń.

Marzenia legły w gruzach w środku nocy, kiedy Ruth obudził dzwonek do bramy. W półśnie stała w szlafroku i zapraszała Raphiego i Jessicę do domu. Towarzyszyli jej Quentin i ojciec Lou, gotowi chronić rodzinę przed niebezpieczeństwami nocy. Ale przed tym nie mogli jej uchronić.

— Dobry wieczór — powiedział posępnie Raphie, kiedy znaleźli się w salonie. — Przepraszam, że przeszkadzamy o tak późnej porze.

Ruth zmierzyła wzrokiem towarzyszącą mu młodą policjantkę od stóp do głów; patrzyła w jej ciemne oczy, które zdawały się zimne i smutne, na trawę i zaschnięte błoto na jej butach i nogawkach granatowych spodni, na małe zadrapania na twarzy i rozcięcie, które usiłowała ukryć pod włosami.

— O co chodzi? — Głos ugrzązł Ruth w gardle. — Proszę powiedzieć.

— Pani Suffern, myślę, że powinna pani usiąść — powiedział łagodnie Raphie.

— Trzeba zawołać Lou — wyszeptała, patrząc na Quentina. — Kiedy się zbudziłam nie było go w łóżku, pewnie jest w gabinecie.

— Ruth — zwróciła się do niej młoda policjantka, tak cicho, że serce Ruth zamarło, a ciało zwiotczało; pozwoliła Quentinowi posadzić się na kanapie, między nim a ojcem Lou. Złapali się za ręce, ścisnęli mocno i tak połączeni słuchali, jak słowa Raphiego i Jessiki w jednej chwili diametralnie odmieniają ich życie; dowiedzieli się bowiem, że syn, brat i mąż opuścił ich tak nagle.

Kiedy Mikołaj składał prezenty w domach w całym kraju, kiedy w oknach pogasły światła, kiedy wieńce na drzwiach stawały się palcem przy ustach, a rolety opadały niczym powieki, pograżając domostwa we śnie, wiele godzin przed tym, jak w innej okolicy przez okno innego domu przeleciał indyk, Ruth Suffern nie wiedziała jeszcze, że choć straciła męża, zyskała jego dziecko. W tę najmagiczniejszą noc w roku cała rodzina zrozumiała, jaki podarunek dał im Lou.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Chłopak z Indykiem 5

Skończywszy opowieść Raphie obserwował reakcję Chłopaka z Indykiem. Nastolatek przez chwilę milczał.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Dopasowywaliśmy dziś poszczególne elementy układanki. Rozmawialiśmy z rodziną i współpracownikami.

— A z Gabe'em?

— Krótko. Ma się stawić na posterunku.

— Pojechaliście dziś rano do domu Lou?

— Tak.

— I nie było go tam.

— Nie. Ale w miejscu, gdzie leżał pościel była jeszcze ciepła.

— Zmyśliłeś to?

— Ani słowa.

— Oczekujesz, że ci uwierzę?

— Nie.

— To po co mi to opowiedziałeś?

— Ludzie opowiadają historie, a od słuchaczy zależy, czy uwierzą. To nie jest zadanie opowiadającego.

— Ale czy opowiadający nie powinien wierzyć w swoją historię?

— Opowiadający powinien ją opowiedzieć. — Raphie mrugnął.

— Wierzysz w nią?

Raphie rozejrzał się po pokoju, upewniając się, że nikt nie wszedł niezauważony. Wzruszył z zakłopotaniem ramionami, jednocześnie kręcąc głową.

— Lekcja dla jednego człowieka to dla drugiego historia, ale często historia jednego człowieka dla drugiego może się okazać lekcją.

— Co to ma niby znaczyć?

Raphie uniknął odpowiedzi, pociągając łyk z kubka.

— Powiedziałeś, że to lekcja. Jaka?

— Jeśli trzeba ci to tłumaczyć, chłopcze... — zniecierpliwił się Raphie.

— No mów.

— Że trzeba doceniać swoich bliskich — powiedział Raphie, z początku lekko zażenowany. — Dostrzegać wszystkich wyjątkowych ludzi, którzy nas otaczają. Skupiać się na tym, co ważne. — Odchrząknął i odwrócił wzrok. Nie był stworzony do prawienia kazań.

Chłopak z Indykiem przewrócił oczami i udał, że ziewa.

Wtedy Raphie pokonał wstyd i dał sobie jeszcze jedną szansę, żeby dotrzeć do tego dzieciaka, zanim całkiem się podda. Powinien być w domu i zabierać się do dokładki świątecznego obiadu, a nie siedzieć tu z tym frustrującym chłopcem.

Pochylił się.

— Lou otrzymał od Gabe'a bardzo wyjątkowy podarunek. Nie zamierzam cię pytać, co to było, zamierzam sam ci powiedzieć i lepiej się skup, bo jak tylko skończę, idę sobie, a ty zostaniesz sam i przemyślisz to, co zrobiłeś, a jeśli nie będziesz słuchać uważnie, wyjdiesz stąd jako młody człowiek przepełniony złością, którą będziesz czuł do końca życia.

— Dobra — powiedział obronnie Chłopak z Indykiem i usiadł prosto na krześle, jakby został zbesztany przez dyrektora szkoły.

— Gabe podarował Lou czas, synu.

Chłopak z Indykiem zmarszczył nos.

— No tak, jesteś młody i wydaje ci się, że masz mnóstwo czasu, ale tak nie jest. Nikt go nie ma. Marnujemy go z bezrozumnym zapalem styczniowych łowców wyprzedazy. Za tydzień wylegną na ulice, zaleją sklepy, z otwartymi portfelami oddadzą się wyrzucaniu pieniędzy.

Raphie wycofał się na chwilę do muszli, którą miał na plecach; jego oczy skryły się pod siwymi krzaczastymi brwiami.

Chłopak z Indykiem nachylił się i rzucił mu szydercze spojrzenie, rozbawiony nagłym wzruszeniem policjanta.

— Ale można zarobić więcej pieniędzy, więc kogo to obchodzi?

Raphie wyrwał się z transu i spojrzał na chłopaka tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

— I to właśnie czyni czas tak cennym, czyż nie? Cenniejszym niż pieniądze, niż cokolwiek innego. Nie można zarobić więcej czasu. Godziny, dnia, miesiąca, które minęły, nie można nigdy odzyskać. Lou Suffernowi kończył się czas, a Gabe dał mu go więcej, żeby mógł wszystko pozałatwiać, doprowadzić ważne sprawy do końca. To był ten podarunek. — Serce zaczęło bić Raphiemu jak szalone. Spojrzał na swoją kawę i odsunął ją od siebie; poczuł kolejny ucisk w klatce piersiowej. — Powinniśmy więc wszystko ponaprawiać, zanim...

Zabrakło mu tchu i zamilkł, czekając, aż kurcz minie.

— Myślisz, że jest za późno, żeby, no wiesz — odezwał się nieśmiało

Chłopak z Indykiem, nawijając sobie na palec sznurek od kaptura — naprawić relacje z moim, no wiesz...

— Z twoim tatą?

Chłopiec wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

— Nigdy nie jest za późno... — Raphie urwał w pół zdania, skinął sam sobie, jakby właśnie coś do niego dotarło, skinął znowu z miną wyrażającą ostateczne przekonanie, po czym odsunął krzesło i wstał.

— Zaraz, dokąd idziesz?

— Naprawić pewne rzeczy, chłopcze. Naprawić pewne rzeczy. I radzę, żebyś ty zrobił to samo, kiedy zjawi się twoja matka.

Niebieskie oczy chłopca zamrugwały, wciąż pełne niewinności, choć teraz zagubionej gdzieś pod zmieszaniem i złością.

Raphie ruszył korytarzem i rozluźnił krawat. Usłyszał, że ktoś woła jego imię, ale się nie zatrzymał. Wyszedł ze strefy służbowej do pustego holu.

— Raphie! — zawołała Jessica, goniąc za nim.

— Tak. — Odwrócił się w końcu, nieco zdyszany.

— Nic ci nie jest? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. To przez twoje serce? Wszystko dobrze?

— Nic mi nie jest — zapewnił. — Wszystko jest w porządku. O co chodzi?

Jessica zmrużyła oczy i przyjrzała mu się uważnie. Wiedziała, że kłamie.

— Chłopak sprawia ci kłopoty?

— Nie, jest teraz łagodny jak baranek. Wszystko w porządku.

— To dokąd idziesz?

— He? — Spojrzał w stronę drzwi, próbując wymyślić kolejne kłamstwo, znowu uciec się do nieprawdy, tak jak to robi od dziesięciu lat. Po chwili jednak westchnął — było to długie westchnienie, które dusił w sobie bardzo długo — i poddał się. Kiedy z jego ust padła prawda, zabrzmiała dziwnie, ale dobrze.

— Chcę pójść do domu — powiedział. Nagle wydał się Jessice bardzo stary.

— Chcę, żeby ten dzień się skończył, bym mógł wrócić do domu, do żony. I

córki.

— Masz córkę? — spytała ze zdziwieniem.

— Tak — odparł. Proste słowo, przepełnione wzruszeniem. — Mam. Mieszka na szczycie Howth. Dlatego co wieczór tam jeżdżę. Lubię mieć na nią oko. Nawet jeśli ona o tym nie wie.

Patrzyli na siebie przez chwilę, świadomi, że tego ranka opanowało ich coś dziwnego, coś, co odmieniło ich na zawsze.

— Miałam męża — powiedziała w końcu Jessica. — Zginął w wypadku samochodowym. Byłam tam. Trzymałam go za rękę. Tak jak dziś rano. — Przełknęła ślinę i zniżyła głos. — Zawsze mówiłam, że zrobiłabym wszystko, by podarować mu choć kilka dodatkowych godzin. — Nareszcie, powiedziała to. — Dałam Lou pigułkę — powiedziała stanowczo, patrząc Raphiemu prosto w oczy. — Wiem, że nie powinnam była, ale dałam mu ją. Nie wiem, czy ta cała historia z pigułkami jest prawdziwa, nie możemy namierzyć Gabe'a, ale jeśli pomogłam Lou spędzić kilka godzin więcej z rodziną, to cieszę się, że tak postąpiłam.

Raphie skinął głową, przyjmując jej dwa wyznania. Napisze o tym w raporcie, ale nie musi jej tego mówić; ona wie.

Wpatrywali się w siebie, ale się nie widzieli. Ich myśli były gdzie indziej; cofnęły się do dawnych czasów, utraconych chwil, które nigdy nie wrócą.

— Gdzie mój syn?

Ich milczenie przerwał zdenerwowany kobiecy głos. Przez otwarte drzwi wpadł blask słońca i zalał ciemny posterunek. Mróz wkraść się do środka; kobieta przytupnęła parę razy i płatki śniegu w jej włosach, na ubraniu i butach opadły na podłogę.

— To jeszcze chłopiec. — Przełknęła ślinę. Głos jej drżał. — Czternastoletni chłopiec. Wysłałam go po sos w proszku. A teraz nie ma indyka — wyrzuciła z siebie jak oszalała.

— Ja się tym zajmę. — Jessica skinęła na Raphiego. — Ty wracaj do domu.

I tak zrobił.

Bywa, że jedna bardzo ważna rzecz ma wpływ zaledwie na garstkę ludzi. Ale bywa też, że mało istotna rzecz wpływa na całą ich rzeszę. Tak czy owak, jedno wydarzenie — duże czy małe — potrafi poruszyć cały łańcuch ludzi. Zdarzenia mogą nas połączyć. Bo widzicie, wszyscy jesteśmy z tej samej gliny. Kiedy coś się dzieje, budzi się w nas iskra, która łączy nas z tym wydarzeniem, łączy z innymi ludźmi, i tak połączonych rozświecła od wewnątrz, niczym lampki na choince, poskręcane, ale wciąż połączone z przewodem. Niektóre gasną, inne migoczą, jeszcze inne promienieją jasnym mocnym światłem, ale wszystkie są na jednym kablu.

Powiedziałam na początku, że to opowieść o kimś, kto odkrywa, kim jest. O kimś, kto się otwiera, a jego istota zostaje ujawniona tym, którzy się liczą. A ci, którzy się liczą, otwierają się na niego. Myśleliście, że mówiłam o Lou Suffernie, prawda? Błąd. Mówiłam o nas wszystkich.

W każdej lekcji można znaleźć wspólny mianownik, łączący nas wszystkich, niczym łańcuch. Na jego końcu wisi zegar, a na tarczy widać upływ czasu. Słyszymy go, to stłumione tykanie, które przerywa każdą ciszę, i widzimy go, ale często go nie czujemy. Każda sekunda odznacza się na życiu każdego człowieka: przychodzi i odchodzi, znika cicho bez fanfar, rozplywa się w powietrzu jak para bijąca z gorącego świątecznego puddingu. Dostatek czasu zapewnia nam ciepło; kiedy nasz czas minie, zostawia nas zimnymi. Czas jest cenniejszy niż złoto, cenniejszy niż diamenty, cenniejszy niż ropa czy jakiegokolwiek skarby. To czasu nigdy nie ma dość; to czas wprowadza zamęt w nasze serca, musimy więc wykorzystywać go mądrze. Czasu nie można spakować, przewiązać wstążką i złożyć pod choinką w bożonarodzeniowy poranek.

Czasu nie można dostać. Ale można go dzielić.

Spis rozdziałów

Rozdział 1	Rzesze tajemnic
Rozdział 2	Poranek półśmiechów
Rozdział 3	Chłopak z Indykiem
Rozdział 4	Obserwator butów
Rozdział 5	Trzynaste piętro
Rozdział 6	Umowa stoi
Rozdział 7	Po namyśle
Rozdział 8	Pączek i szarlotka
Rozdział 9	Chłopak z Indykiem 2
Rozdział 10	Następnego ranka
Rozdział 11	Żongler
Rozdział 12	Ostra jazda
Rozdział 14	Chłopak z Indykiem 3
Rozdział 15	Nareszcie w domu
Rozdział 16	Pobudka
Rozdział 17	Nocne strachy
Rozdział 18	Spełnione życzenie
Rozdział 19	Lou poznaje Lou
Rozdział 20	Chłopak z Indykiem 4
Rozdział 21	Bohater chwili
Rozdział 22	Nastał ten czas...
Rozdział 23	Niespodzianka!
Rozdział 24	Dusza nadrabia zaległości
Rozdział 25	Najlepszy dzień
Rozdział 26	Wszystko zaczęło się od myszy
Rozdział 27	Wigilia

Rozdział 28	Ze względu na dawne czasy
Rozdział 29	Chłopak z Indykiem 5